

WASILIJ GROSSMAN (1905-1964), urodził się w Berdyczowie na Ukrainie w inteligenckiej rodzinie o żydowskich korzeniach. Z wykształcenia chemik, pracował jako inżynier w Zagłębiu Donieckim. Debiutował w 1934 roku. W latach 1935-1940 wydał trzy zbiory opowiadań oraz dwie części trylogii Stiepan Kolczugin o rewolucji z 1905 roku i I wojnie światowej. Po wybuchu II wojny światowej został korespondentem wojennym. Za udział w bitwie pod Stalingradem odznaczono go orderem Czerwonej Gwiazdy. Pierwsza powieść Grossmana, *Za słuszną sprawę*, ukazała się w odcinkach w 1952 roku (wyd. pol. 1959). Do końca lat pięćdziesiątych autor pracował nad *Życiem i losem*. W 1961 roku maszynopis skonfiskowano. Jeden z egzemplarzy udało się przemyścić na Zachód; powieść została wydana w 1980 roku we Francji. Publikacji w Rosji doczekała się dopiero po rozpadzie ZSRR. Wszystko płynie to ostatnia powieść Grossmana; po raz pierwszy ukazała się w 1970 roku we Frankfurcie nad Menem, w Związku Radzieckim w oficjalnym obiegu w roku 1989, w Polsce - w drugim obiegu w 1984.

W SERII

Wasilij Grossman

Życie i los

COLETTE

Czyste, nieczyste

honore de balzac

Nieznane arcydzieło

EILEEN CHANG

Czerwona róża, biała róża

Leonardo Sciascia

Kontekst, Parodia

Alberto Morayia

Nuda

W przygotowaniu

Georges Simenon

Wdowa Couderc

I

W A S I L I J Grossman

Wszystko płynie

z przedmową

Roberta

Chandlera

Przełożyła Wiera Bieńkowska

Seria NOWY KANON

została przygotowana we współpracy

z „The New York Review of Books”

An !»v<*>»l Classics Book

Tytuł oryginału: Bce menem...

Copyright © Ekaterina Vasilyevna Korotkova

and Elena Fedorovna Kozhichkina 2010

Powieść ukazała się po raz pierwszy w 1970 roku

pod tytułem Bce menem...

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Przedmowa: Copyright © Robert Chandler, 2010

Wydanie III

Warszawa 2010

Wasilij Grossman znany jest nie tylko jako jeden z największych światowych powieściopisarzy wojennych, ale także jako jeden z pierwszych i najważniejszych świadków Holokaustu. Jego wydany w 1944 roku esej Piekło Treblinki, należący do najwcześniejszych tekstów opisujących niemieckie obozy zagłady, był cytowany jako świadectwo przed Trybunałem w Norymberdze. Być może nikt też bardziej przejmująco nie opłakiwał wymordowanych Żydów europejskich niż Grossman w powieści Życie i los, w liście, który Anna Siemionowna, literacki portret matki autora, pisze w ostatnich dniach swojego życia i który udaje jej się przeszmyglować z getta w okupowanym przez nazistów mieście. Ten fragment wystawiano wielokrotnie jako mono-

dram na scenach Paryża, Nowego Jorku i Moskwy.

Niewielu jest pisarzy, którzy w swoich powieściach przeznaczili historii więcej miejsca niż Grossman. Wszystko płynie objętościowo równa się jednej czwartej Życia i losu, ale zawiera jeszcze szerszą panoramę historyczną. Zasadniczą opowieść - o losach pięćdziesięcioletniego Iwana Grigorjewicza, który straciwszy trzydzieści lat życia w łagrach usiłuje odnaleźć swoje miejsce w postalinowskiej Rosji - przerywają rozdziały o moskiewskich więzieniach w 1937 roku, o cierpieniach kobiet w radzieckich obozach, o stalinowskiej krucjacie przeciwko naukowcom w latach czterdziestych, o antyżydowskiej kampanii z początku lat 7

pięćdziesiątych, o Leninie, Stalinie i korzeniach „rosyjskiego niewolnictwa”. Wiele twierdzeń Grossmana - zwłaszcza teza, że Stalin był w tym samym stopniu spadkobiercą rosyjskiej tradycji rewolucyjnej co tajnej policji, a jego paranoja rozwinęła się na gruncie konfliktu toczącego się między tymi dwiema siłami w jego psychice - nadal brzmi zdumiewająco śmiało. W powieści znalazło się miejsce nawet dla miniaturowego dramatu w formie rozprawy sądowej, rozgrywanego po przypadkowym spotkaniu Iwana z donosicielem, przez którego trafił do obozu: czytelnik ma wydać wyrok na czterech informatorów, czterech różnych „Judaszów”. Argumenty, których Grossman dostarcza oskarżeniu i obronie, są niespodziewane i przekonujące; jako sędziowie jesteśmy ciągle atakowani z najmniej spodziewanej strony i zmuszani do zmiany zdania. Rozprawa wreszcie kończy się refleksją, że wszyscy żywi, bez wyjątku, są zamieszani w sprawę, i tylko martwi - którzy przecież nie mogą przemówić - mieliby prawo ich osądzić.

Niektóre z tych dygresji są w powieści przedstawione jako myśli i zapiski bohatera, inne nie - historię o Wielkim Głodzie na Ukrainie w latach 1932-1933, podczas którego zmarło trzy do pięciu milionów ukraińskich chłopów, opowiada gospodyni Iwana, Anna Siergiejewna, zaraz po ich pierwszym miłosnym zbliżeniu. Jej opowieść stanowi najbardziej przejmujący rozdział książki. Okazuje się, że Anna Siergiejewna jako pomniejsza funkcjonariuszka partyjna sama brała udział we wprowadzaniu w życie rozporządzeń, które doprowadziły do tragedii. To atrakcyjna postać i czytelnik mimo woli identyfikuje

się nie tylko z późniejszą Anną, opowiadającą całą historię, ale też z młodą Anną z czasów Wielkiego Głodu - kolejny raz Grossman odmawia nam satysfakcji słusznego oburzenia. Ten

8

rozdział, dotyczący najslabiej znanego aktu ludobójstwa ostatniego stulecia, jest napisany z wyczuciem i niemal nieznośną rzeczowością. Jedyne Dante, w opowieści o hrabim Ugolino i jego synach zagłodzonych na śmierć w zamkniętej wieży, pisał o głodzie równie przerażająco.

Niemal każdy etap literackiej kariery Grossmana, nawet już po jego śmierci, zawierał przewlekłe oczekiwania i długie, żmudne walki - zupełnie tak, jakby trudne i bolesne tematy, które poruszał, wywoływały w redaktorach, wydawcach i urzędnikach podobną twardość i nieprzychylność. Za słuszną sprawę, dobra, choć bardziej konwencjonalna powieść wojenna, której kontynuację stanowi Życie i los, nosiła początkowo tytuł Stalingrad. Trzeba go było jednak zmienić po tym, jak Michaił Szolochow, wówczas wielki mąż literatury radzieckiej, spytał na zebraniu redakcyjnym: „A któż jemu dał prawo pisać o Stalingradzie?”. Chciał przez to powiedzieć, co jasno zrozumieli wszyscy obecni, że jakiś Żyd nie ma prawa opowiadać o jednym z najwspanialszych rozdziałów w historii Rosji - a zwłaszcza nie powinien o nim opowiadać tak prawdziwie. Od 1949 do 1952 roku Grossman i jego wydawcy starali się zadowolić cenzurę. Do dziś pozostało co najmniej dwanaście zredagowanych przez autora wersji powieści, a redaktorzy pisma „Nowyj Mir” trzy razy daremnie próbowali ogłosić ją w odcinkach, zanim mocno okrojona ukazała się w 1952 roku. Pełniejszą wersję wydano dwa lata później, a w 1956 roku książka ukazała się wreszcie w całości. W przypadku Życia i losu KGB skonfiskowało rękopisy, a kiedy później pisarz Władimir Wojnowicz wywiózł na Zachód mikrofilm zrobiony z jedyne go ocalałego egzemplarza, przez niemal pięć lat nikt nie chciał opublikować rosyjskiego wydania powieści - głównie, jak można się domyślać, z powodu

9

antysemickiego nastawienia emigracji rosyjskiej. Przyjaciele i wielbiciel Grossmana byli zbulwersowani. W 1961 roku, po „aresztowaniu” Życia i losu, Grossman powiedział, że czuł się, jakby go „zadusili w ciemnym zaułku”. Dwadzieścia lat później,

nie mogąc znaleźć wydawcy dla powieści, Wojnowicz stwierdził, że było to tak, jakby Grossmana zaduszono po raz drugi.

Gdy wreszcie w latach osiemdziesiątych ukazały się przekłady Życia i losu, nazwisko autora nie od razu stało się znane. Grossman nie miał głowy do postmodernizmu, a postmodernizm nie miał głowy do niego. Z pewnością przez kilka lat po upadku muru berlińskiego łatwo było sobie wyobrazić, że możemy się wyzwolić od brzemienia historii, że należy tylko przyjąć inne metafory, inny sposób patrzenia, a rzeczywistość zostanie odmieniona.

Jednak dzisiaj, gdy pogłębia się kryzys ekologiczny, a Zachód wpada w jeden nierozwiązywalny konflikt po drugim, trudno ignorować uporczywość rzeczywistości i realizm Grossmana wydaje się wartością większą niż kiedykolwiek. Jego pisarstwo bywa dowcipne i radosne, ale rzadko zabawne - Grossman unika fantazyjnych popisów, a pomysłowością językową posługuje się tylko wtedy, gdy zwyczajne słowa okazują się niewystarczające. Jeśli jednak zaakceptujemy sformułowaną przez Coleridge'a definicję wyobraźni jako „potęgi, która jest zdolna uwolnić duszę uwięzioną w faktach”, to musimy przyznać, że Grossman obdarzony był wyobraźnią o wielkiej mocy i trwałości.

Trudno uwierzyć, że jeden człowiek mógł mieć wystarczająco dużo siły, by tak rzeczowo pisać o tylu najstraszniejszych wydarzeniach dwudziestowiecznej historii: oblężeniu Stalingradu, Holokauście, Wielkim Głodzie na Ukrainie. Źródło tej siły nigdy nie będzie nam znane, ale sam Grossman przypisywał swoją wytrwałość pamięci o matce, Jekaterinie Sawieljewnie.

10

Wyrzucał sobie, że zbyt mało uczynił, by ocalić ją w 1941 roku - przekonać, aby zamieszkała z jego rodziną w Moskwie, dzięki czemu uniknęłyby zagłady z rąk Niemców. Jednak poczucie winy nie odebrało mu sił, ale jeszcze dodało jasności umysłu i determinacji. Widać to w ostrożnie optymistycznym zakończeniu historii Wiktora Sztruma (który pod wieloma względami jest autoportretem Grossmana), głównego bohatera Życia i losu. Zdradziwszy niewinnych ludzi, Sztrum wyraża nadzieję, że niezycjąca matka pomoże mu postąpić uczciwie następnym razem; jego ostatnie słowa w powieści brzmią: „No cóż, zobaczymy [...] może wystarczy mi siły. Twojej, mamó, twojej siły”.

Grossman wierzył, że jego matka w jakiś sposób żyje na

kartach Życia i losu. W liście napisanym w dwudziestą rocznicę jej śmierci mówi: „Jestem Tobą, kochana Mamo, i jak długo żyję, Ty będziesz żyć także. Gdy umrę, dalej będziesz żyła w tej książce, którą Tobie zadedykowałem i której losy są tak powiązane z Twoimi”. Pamięć o matce jest obecna również we *Wszystko płynie*. Anna Siergiejewna po raz pierwszy przychodzi w nocy do Iwana, gdy on przez sen przywołuje matkę; jej opowieść o Wielkim Głodzie podobna jest do ostatniego listu Anny Siemionowny z getta. Te dwa rozdziały należą do największych literackich osiągnięć Grossmana i obydwie są żałobnym oplakiwaniem milionów zamordowanych, całych światów, które uległy zagładzie. Obydwie są historycznie prawdziwe i jednocześnie napisane z wrażliwością najwspanialszej poezji.

Grossman nie zdążył ukończyć powieści *Wszystko płynie*. Zaczął ją pisać w roku 1955 i wciąż jeszcze poprawiał podczas swoich ostatnich dni w szpitalu we wrześniu 1964 roku. Struktura opowieści jest nieco rozchwiana, a ładunek faktów historycznych tak wielki, że większość innych książek załamałaby

11

się pod jego ciężarem. A jednak to prawdziwe dzieło sztuki literackiej; ma wprawdzie wagę dokumentu historycznego, ale jest czymś znacznie większym. Chociaż rozważania o Leninie i Stalinie sprawiają, że w ostatniej części tekstu tracimy z oczu Iwana Grigorjewicza, i choć Iwan z czasem staje się właściwie nieodróżnialny od samego Grossmana, to jego los nadal nas porusza. Konstrukcja powieści, mimo że dość schematyczna, również jest bardzo wymowna: jej podstawą jest przekonanie, że opowiadanie historii - opowiadanie losów - może być darem. W pierwszych rozdziałach Iwan i jego stryjeczny brat Nikołaj z wielkimi nadziejami oczekują pierwszego po latach spotkania. Iwan chciałby uwolnić się od ciężaru wszystkiego, co widział i przeżył w obozach; Nikołaj, znany naukowiec, liczy na zrzucenie z siebie poczucia winy za podłości i kompromisy, dzięki którym mógł pozostać „wolny”. Gdy się jednak spotykają, Nikołaj czuje się zagrożony obecnością Iwana i widmem jego obozowej przeszłości. Nie udaje im się prawdziwa rozmowa, wymiana opowieści - Iwan szybko wychodzi, jeszcze bardziej samotny i obciążony jeszcze większym ciężarem niż wcześniej.

W drugiej połowie książki Iwanowi udaje się na szczęście

znaleźć miłość i zrozumienie, a po nieudanej rozmowie między kuzynami następuje prawdziwa rozmowa Iwana i jego ukochanej. Opowieść Anny Sergiejewny o Wielkim Głodzie - ludobójstwie, w którym pośrednio brała udział - jest darem miłości. Mówi o wszystkim jasno, z całkowitym zaufaniem, nie ukrywając niczego. Nie próbuje zrzucić swojego cierpienia na Iwana - podobnie Grossman nie stara się pozbyć własnego cierpienia, zrzucając je na barki czytelnika. Po prostu robi wszystko, co potrafi, by ocalić pamięć o życiu i śmierci milionów ludzi, którzy zbyt szybko zostali zapomniani.

12

Iwan przyjmuje ten ogromny dar, dar miłości i zaufania, i odwdzięcza się ukochanej tym samym. Anna zostaje mu w końcu zabrana - przez chorobę i śmierć - ale to nie kończy ich rozmowy. Jak Grossman nie przestał pisać listów do matki, tak Iwan w wyobraźni nie przestaje rozmawiać z Anną i dla niej w starym szkolnym zeszytce jej siostrzeńca zapisuje swoje przemyślenia o Leninie, Stalinie i rosyjskiej „duszy pańszczyźnianej”. Iwan rozumie, jak ważna jest dla niego ta nieprzerwana rozmowa; w przedostatnim rozdziale powieści, już po śmierci Anny, mówi do niej:

Wiesz, w najgorszych czasach wyobrażałem sobie ramiona kobiece, myślałem o tym, jakie są dobre, o tym, że w tych ramionach znajdę zapomnienie, nie będę wspominał tego, co przeżyłem, tak jakby tego wcale nie było. A okazało się, że właśnie tobie muszę opowiedzieć o tym, co było najcięższe, ty także przez całą noc o tym mówiłaś. Okazuje się, że szczęściem jest podzielić się z tobą ciężarem, którym z nikim innym podzielić się nie mogę.

Ta wymiana darów nie może oczywiście przywrócić Annie życia ani oddać Iwanowi trzydziestu lat spędzonych w łagrach. Wystarczy jednak, by potwierdzić tezę Grossmana, że wolność nie umiera, że jest istotą człowieczeństwa. Przy całym cierpieniu pomieszczonym na stronach powieści, Wszystko płynie także jest darem, ostatnim podarunkiem Grossmana dla świata. Jedno z najważniejszych przesłań książki to przekonanie, że jeśli zdołamy się na zaufanie i prawdomówność, nasze opowieści przestaną być dla nas ciężarem. Że każda historia, prawdziwie opowiedziana i prawdziwie wysłuchana, może się stać darem.

ROBERT CHANDLER

(przełożyła Małgorzata Glasenapp)

I

Pociąg z Chabarowska miał przyjść do Moskwy około dziewiętej rano. Młodzieniec w piżamie podrapał się w rozczochraną głowę i spojrział przez okno na poranny jesienny półmrok.

Ziewając, zapytał pasażerów z ręcznikami i mydelniczkami, stojących na korytarzu:

- Kto tu jest ostatni, obywatelu?

Powiedziano mu, że za jegomościem, trzymającym w ręce zwiniętą tubkę pasty do zębów i oblepione kawałkiem gazety mydło, zajęła kolejkę jakaś tęga kobieta.

- Dlaczego tylko jedna toaleta otwarta? - denerwował się młodzieniec. - Niedługo już stacja końcowa, stolica, a konduktorzy zajmują się handlem i nie mają czasu kulturalnie obsłużyć podróżnych.

Po kilku minutach zjawiała się tęga kobieta w szlafroku i młodzieniec powiedział:

- Stoję za panią, a na razie pójdę do siebie, żeby nie przeszkadzać w przejściu.

Wróciwszy do swojego przedziału, otworzył pomarańczową walizkę i z przyjemnością popatrzył na jej zawartość.

Każdy z towarzyszy podróży był czymś zajęty; jeden - starszy mężczyzna o tłustym, szerokim karku - spał, głośno chrapiąc,

17

drugi - rumiany i młody, ale łysy - przeglądał jakieś papiery w teczce, a trzeci - chudy starzec - siedział nieruchomo, podpierając głowę brązowymi pięściami i patrząc w okno.

Młodzieniec zapytał rumianego pasażera:

- Pan nie będzie już czytać? Muszę schować tę książeczkę do walizki.

Chciał, by sąsiad podziwiał jego walizkę: były tam wiskozowe koszule, Krótki słownik filozoficzny, kąpielówki i okulary przeciwsłoneczne w białej oprawie. Z boku leżały wiejskie placuszki domowej roboty, przykryte rejonową gazetą.

- Proszę bardzo. Ja tę Eugenie Grandet już raz czytałem.

Zeszłego roku, w sanatorium.

- Mocna rzecz, nie ma co - powiedział młodzieniec i włożył książkę do walizki.

Podczas podróży pasażerowie grali w preferansa, a popijając

i pojadając, rozprawiali o filmach, płytach, kompletach mebli, o sanatoriach w Soczi, o socjalistycznym rolnictwie; spierali się, kto jest lepszy w ataku - Spartak czy Dynamo...

Rumiany podróżny pracował w mieście obwodowym jako instruktor Centralnej Rady Związków Zawodowych, a rozczo-chrany, który wracał do Moskwy z urlopu na wsi, był ekonomistą w Gosplanie RFSRR.

Trzeci z podróżnych, kierownik robót gdzieś na Syberii, ten, co chrapał teraz na dolnej półce, nie podobał się towarzyszom podróży: zachowywał się niegrzecznie, ordynarnie przeklinał, głośno bekał po jedzeniu, a dowiedziawszy się, że jeden ze współpasażerów pracuje w Gosplanie jako ekonomista, powiedział:

- Ekonomia polityczna, jasne; to o tym, jak kołchoźnicy jeżdżą ze wsi do miasta kupować chleb od robotników.

18

Kiedyś wypił za dużo w bufecie na stacji węzłowej, dokąd poszedł - jak powiedział - podstemplować delegację, i długo nie dawał sąsiadom spać, rozprawiając donośnym głosem:

- Trzymając się prawa, niedaleko człowiek zajedzie w naszej pracy. Jeśli chce wykonać plan, musi pracować tak, jak samo życie dyktuje, według zasady: „Ja - tobie, ty - mnie”. Za cara to się nazywało inicjatywa prywatna, a po naszymu: „Żyj i daj żyć innym!” - to jest ekonomika! U mnie na budowie, przez cały kwartał, kiedy nowe kredyty się opóźniały, zbrojarze byli zarejestrowani w żłobku jako niańki. Prawo rozmija się z życiem, a życie dopomina się o swoje! Wykonałeś plan, masz dodatek i premię, ale mogą ci też wlepić dziesięć lat. Prawo idzie przeciw życiu, a życie przeciw prawu.

Młodzi nie odzywali się słowem, kiedy zaś kierownik robót ucichł, a właściwie nawet nie ucichł, ale przeciwnie, zaczął głośno chrapać, powiedzieli z dezaprobatą:

- Na takich też trzeba uważać. Niby brat lata, ale...

- Kombinator. Bez żadnych zasad. Jakiś Abramek.

Gniewało ich, że ten prostak z głębokiej prowincji traktuje wszystkich z góry, wyniośle.

- U mnie na budowie pracowali więźniowie. Oni takich jak wy nazywają półgłówkami. Przyjdzie pora i ludzie się połapią, kto budował komunizm, a wtedy się okaże, że to wy - powie-

dział raz kierownik robót i poszedł do sąsiedniego przedziału grać w karty.

Czwarty pasażer nieczęsto chyba jeździł pociągiem z miejscówkami. W czasie podróży przeważnie siedział z rękami na kolanach, jakby zasłaniał łąty na spodniach. Rękawy jego czarnej satynowej koszuli kończyły się gdzieś między łokciami a nadgarstkami, a białe guziki przy kołnierzyku i piersi

19
wyglądały jakoś dziecinnie, chłopięco. Było coś zabawnego i wzruszającego zarazem w połączeniu tych białych guzików na ubraniu z siwymi skrońmi i spojrzeniem zmęczonych, starczych oczu.

Kiedy kierownik robót powiedział głosem przywykłym do wydawania rozkazów:

- Ano, ojczulku, odsuń się od stolika, będę pił herbatę - stary człowiek sztywno, po żołniersku zerwał się z miejsca i wyszedł na korytarz.

W jego drewnianej zniszczonej walizce obok starej, spranej bielizny leżał bochenek czerstwego chleba. Stary człowiek palił machorkę. Zrobiwszy skręta, wychodził na korytarz, żeby dym nie przeszkadzał sąsiadom.

Współpasażerowie częstowali go kielbasą, a kierownik robót zaproponował mu nawet raz jajko na twardo i szklaneczkę moskiewskiej. Zwracali się do niego per ty, nawet ci dwa razy od niego młodsi, a kierownik robót podśmiewał się ciągle, że w stolicy „ojczulek” poda się za kawalera i ożeni się z młodką.

W przedziale zaczęto mówić o kołchozach, młody ekonomista potępiał wiejskich nierobów:

- Teraz przekonałem się na własne oczy: zgromadzą się tacy przed zarządem i zbijają bąki. Zanim przewodniczącemu i brygadziście uda się ich pogonić do roboty, siódme poty na nich biją. A kołchoźnicy narzekają, że za Stalina nie dostawali nic za dniówki, a i teraz ledwie ledwie czasem coś im kapnie. Inspektor związkowy, który w zamyśleniu tasował karty, poparł ekonomistę:

- Za co tym gagatkom płacić, skoro planu dostaw nie wykonują? Ich trzeba jeszcze wychowywać, o tak - machnął dużą pięścią, chłopską, ale białą, już odwykłą od pracy.

Kierownik robót poklepał się po tłustej piersi ozdobionej przybrudzonymi wstążeczkami orderów:

- Na froncie chleba nam nie brakowało, karmił nas naród rosyjski do syta. I nikt go nie wychowywał.

- Racja - przytaknął ekonomista. - Najważniejsze, żeśmy Rosjanie, a Rosjanin - to nie byle kto!

Inspektor mrugnął do niego z uśmiechem:

- Tak, święta prawda: Rosjanin to starszy brat, pierwszy wśród równych.

- Dlatego właśnie złość bierze - ciągnął młody ekonomista. - Przecież to Rosjanie! Nie Niemcy. Jeden przy mnie się rozpędził: „Przez pięć lat jedliśmy liście lipowe, a od czterdziestego siódmego roku nie dostawaliśmy złamanego grosza za dniówki”. A pracować nie lubią. Nie chcą zrozumieć, że teraz wszystko zależy od ludu.

Młody ekonomista zerknął na siwego sąsiada, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, i dodał:

- Nie gniewaj się, ojczulku; nie wypełniacie obowiązku pracy, a państwo wam idzie na rękę.

- Takie gagatki! - odezwał się kierownik robót. - Uświadczenia nie mają za grosz, a jeść chcą co dzień.

Rozmowa urwała się na niczym, jak większość rozmów prowadzonych w podróży. Do przedziału zajrzał major lotnictwa i połyskując złotymi zębami, z wyrzutem powiedział do młodych:

- Co to ma być, towarzysze? Robota czeka.

I młodzi poszli do sąsiedniego przedziału kończyć partyjkę.

21

Ale oto zbliża się koniec długiej podróży. Pasażerowie chowają do walizek ranne pantofle, kładą na stolikach kawałki czerstwego chleba, ogryzione starannie kurze kostki, resztki pozieleniałej, owiązanej sznurkiem kiełbasy.

Przeszły już naburmuszone konduktorki i zabrały zmiętą pościel.

Niebawem się rozsypie ten świat wagonu. Pójdą w niepamięć żarty, twarze współpasażerów i śmiech, przypadkiem opowiedziane czyjeś losy i przypadkiem wypowiedziany ból.

Z każdą chwilą coraz bardziej się zbliża ogromne miasto, stolica wielkiego państwa. Nie ma już niepokojów i myśli nę-

kających każdego w podróży. W zapomnienie poszły rozmowy z sąsiadką na korytarzu przy wyjściu, gdzie za mętnymi szybami mknęła wielka rosyjska równina, a za plecami postękiwała woda w rezerwuarach.

Rozpada się powstały w ciągu kilku dni ciasny świat wagonu, posłuszny tym samym prawom, co wszystkie stworzone przez ludzi światy, poruszające się prostymi i krętymi drogami w przestrzeni i czasie.

Wielką siłą przyciągania ma ogromne miasto. Na samą myśl o nim ściskają się nawet beztroskie serca tych, co jadą do stolicy, by odwiedzić bliskich, buszować po sklepach, pójść do ogrodu zoologicznego i planetarium. Człowiek, który się znalazł w polu siły niewidocznych fal żywej energii wielkiego miasta, doznaje nagle niepokoju, czuje się zagubiony.

Ekonomista omal nie przegapił swojej kolejki do toalety. Po chwili wrócił do przedziału, przyczesując włosy, i przyjrzał się sąsiadom.

Kierownik robót drżącymi palcami (sporo się wypilo podczas długiej podróży) układał arkusze kosztorysu.

22

Związkowiec włożył już marynarkę i umilkł ogarnięty siłą przyciągania wielkiego ludzkiego skupiska - miasta. Z niepokojem myślał, co też mu powie wredna siwa baba, szefowa inspektorów WCRZZ.

Pociąg pędzi, mijając drewniane wiejskie domki i ceglane fabryki, sine pola kapusty, perony podmiejskich stacyjek, na których połyskują szare kałuże - pozostałość po nocnym deszczu. Na peronach stoją posepni mieszkańcy podmiejskich osiedli w nieprzemakalnych płaszczach włożonych na palta. Pod szarymi chmurami biegną druty wysokiego napięcia. Na bocznych torach czekają szare, złowieszcze wagony: „Stacja Rzeźnia Obwodowej Linii Kolejowej”.

Pociąg pędzi, dudniąc, z jakąś złośliwą, coraz większą szybkością. Szybkość ta spłaszcza, niweczy przestrzeń i czas.

Stary człowiek siedział przy stoliku i patrzył w okno, podparłszy głowę pięściami. Wiele lat temu młodzieniec o bujnej, rozwichrzonej czuprynie tak samo siedział przy oknie wagonu trzeciej klasy. I choć znikli ludzie, którzy wówczas jechali z nim razem, choć się zatarły w pamięci ich twarze i słowa, w jego

siwej głowie ożyło znowu to, co - jak się zdawało - odeszło na zawsze.

A pociąg wjechał już w obszar podmoskiewskich dacz. Szary, postrzępiony dym czepiał się gałęzi świerków, przyciśnięty prądami fal powietrza płynął nad parkanami domków letniskowych. Jakież znajome są te sylwetki surowych północnych świerków, jak dziwnie wyglądają przy nich niebieskie parkaniki, spiczaste dachy dacz, barwne szybki w oszklonych werandach, klomby georginii.

23

I człowiek, który przez trzy długie dziesięciolecia nie pomyślał ani razu, że są gdzieś na świecie krzaki bzu, bratki, wysypane piaskiem ścieżki w ogrodach, wózki z wodą sodową - aż jęknął, przekonując się raz jeszcze, na nowo, że i bez niego życie się toczyło, trwało.

2

Po przeczytaniu telegramu Nikołaj Andriejewicz w pierwszej chwili pożałował napiwku, jaki dał listonoszowi: ta wiadomość najwyraźniej nie była przeznaczona dla niego. Ale nagle przypomniał sobie i osłupiał: to był telegram od stryjecznego brata Iwana.

- Masza! Masza! - zawołał żonę.

Maria Pawłowna wzięła telegram.

- Wiesz przecież, że bez okularów nic nie widzę, daj mi okulary. Nie zameldują go chyba w Moskwie - powiedziała.

- Ach, daj mi spokój z meldunkiem!

Nikołaj Andriejewicz przeciągnął dłonią po czole i dodał:

- Pomyśl tylko, przyjedzie Wania i zastanie mogiły, same mogiły.

- Niezręczna sytuacja z tym przyjęciem u Sokołowów - powiedziała Maria Pawłowna w zamyśleniu. - Prezent oczywiście pošlemy, ale jednak niezręcznie. Sokołow kończy przecież pięćdziesiąt lat, to szczególna data.

- Trudno, wytłumaczę mu.

- I z uroczystego obiadu rozejdzie się wieść po całej Moskwie, że Iwan wrócił i z dworca prosto do ciebie.

Nikołaj Andriejewicz potrząsnął telegramem przed twarzą żony:

25

- Czy ty rozumiesz, kim jest dla mnie Iwan?

Był zły na żonę; niemądre uwagi, jakie robiła po przeczytaniu telegramu, także przyszły mu do głowy, zanim jeszcze zaczęła mówić. Często im się to zdarzało. Dlatego właśnie wybuchął, widząc u żony swoje słabości, nie rozumiał jednak, że gniewają go nie jej wady, lecz jego własne. A po sprzeczkach z Marią Pawłówną uspokajał się łatwo i szybko, bo lubił siebie: wybacząc żonie, wybaczał sobie.

Teraz także nękała go uparta głupia myśl o pięćdziesiątych urodzinach Sokołowa. A ponieważ wstrząsnęła nim wiadomość o przyjeździe stryjecznego brata i stanęło mu w oczach własne życie, pełne prawdy i nieprawdy, wstyd mu było żałować urodzinowego obiadu u Sokołowów, sympatycznej karafki z wódką. Wstydział się swoich małostkowych obaw - przecież mignęła mu myśl, że będzie miał kłopoty z meldunkiem Iwana, że cała Moskwa się dowie o powrocie Iwana i że to wydarzenie w jakimś stopniu odbije się na jego szansach podczas wyborów do Akademii.

Denerwowało go u Marii Pawłowny właśnie to, że żona wypowiadała głośno jego obawy, niejako nadawała realny kształt myślom, których on nie śmiał wypowiedzieć.

- Dziwna jesteś doprawdy - burknął. - Chyba wolałbym dostać ten telegram pod twoją nieobecność.

Dotknęły ją te słowa, wiedziała jednak, że za chwilę mąż ją obejmie i powie: „Masza, Masza, cieszymy się razem, z kim mam się cieszyć, jeśli nie z tobą?”.

Tak też się stało - a Maria Pawłowna patrzyła przed siebie z cierpięciznym i nieprzyjemnym wyrazem twarzy, który oznaczał: „Twoje czułe słowa nie sprawiają mi żadnej przyjemności, ale znoszę wszystko cierpliwie”.

26

Oczy ich spotkały się dopiero po chwili i miłość zatarła wszelkie zło.

Przeżyli razem, nie rozstając się nigdy, dwadzieścia osiem lat - trudno zrozumieć w całej pełni relacje ludzi, którzy przeżyli razem blisko jedną trzecią wieku.

Teraz już siwa Maria Pawłowna podchodziła do okna i patrzyła, jak Nikołaj Andriejewicz, także siwy, wsiada do samochodu. A niegdyś jadali razem obiady w stołówce na Bronnej.

- Kola - powiedziała cicho Maria Pawłowna. - Przecież Iwan nigdy nie widział naszego Wali. Kiedy go posadzili, Wali jeszcze nie było na świecie, a teraz, kiedy wraca, Wala od ośmiu już lat leży w grobie.

Ta myśl nią wstrząsnęła.

3

Czekając na stryjecznego brata, Nikołaj Andriejewicz rozmyślał o swoim życiu i o tym, jak będzie się z niego spowiadał Iwanowi. Wyobrażał sobie, jak będzie mu pokazywać swój dom. W jadalni orientalny dywan, do licha, nieźle wygląda, prawda? Masza ma dobry gust. Iwan wie, kim był jej ojciec, a w starym Petersburgu ludzie, chwała Bogu, umieli żyć.

Jak ma rozmawiać z Iwanem? Minęło przecież kilkadziesiąt lat, całe życie minęło. Nie, o tym właśnie będą mówili: życie nie minęło! Dopiero teraz się zaczyna! Co to będzie za spotkanie! Iwan przyjeżdża w niezwykłym okresie, tyle zaszło zmian po śmierci Stalina! Zmiany te dotyczą wszystkich. I robotników, i chłopów. Przecież nie brakuje już chleba! I oto Iwan powraca z obozu. I nie tylko Iwan. A w życiu Nikołaja Andriejewicza także nastąpił doniosły zwrot.

Od czasów uniwersyteckich Nikołaj Andriejewicz żył z ciężką świadomością ciągłych niepowodzeń. Świadomość ta dręczyła go tym bardziej, że niepowodzenia te wydawały mu się niezasłużone. Był człowiekiem wykształconym, dużo pracował, uchodził za dowcipnego gawędziarza, miał powodzenie u kobiet.

Cieszył się opinią człowieka uczciwego, człowieka z zasadami, i był z tego dumny. Obca mu była wszelka obłuda,

28

lubił opowiadane przy kolacji kawały, doskonale się orientował w skomplikowanych rocznikach wytrawnych win i nieraz wolał wódkę od wina.

Kiedy znajomi wychwalali jego charakter, Maria Pawłowna mówiła, patrząc na męża rozbawionym, lekko karcącym spojrzeniem:

- Trzeba pożyć z nim pod jednym dachem, żeby wiedzieć, co to za ziółko, ten cudowny Kola: despota, wariat, egoista jakich mało.

Każde z nich znało wszystkie słabości i wady drugiego, i to niekiedy okropnie ich drażniło. Mieli nawet czasem wrazenie,

że lepiej byłoby się rozejść. Ale to było tylko wrażenie, nie mogli żyć jedno bez drugiego. Gdyby żyli osobno - czuliby się bardzo nieszczęśliwi.

Maria Pawłowna zakochała się w Nikołaju Andriejewiczu jeszcze za szkolnych czasów. Jego głos, wysokie czoło, piękne zęby, uśmiech - wszystko, co przed trzydziestu laty wydawało się takie niezwykle i urocze, z biegiem lat stawało się jej coraz miłsze.

Nikołaj Andriejewicz także kochał żonę, ale jego miłość się zmieniła i to, co w ich stosunkach było niegdyś najważniejsze, teraz odeszło na drugi plan, a to, co pozornie nie miało wielkiego znaczenia, stało się dla niego najistotniejsze.

Maria Pawłowna była kiedyś bardzo ładna - smukła, ciemno-oka. Jeszcze teraz poruszała się lekko, a jej oczy nie straciły dziewczęcego blasku. Ale już w młodości, a teraz jeszcze bardziej, szpecił ją uśmiech - w uśmiechu odsłaniała duże i wystające dolne zęby.

Od czasów uniwersyteckich Nikołaj Andriejewicz chorobliwie reagował na swoje niepowodzenia. Studentów na seminariach

29
bardziej niż jego starannie przygotowane referaty interesowały popieszne wypowiedzi rudego Rodionowa albo pijaczyny Pyżowa...

Nikołaj Andriejewicz został starszym pracownikiem naukowym w znakomitym instytucie naukowo-badawczym, ogłosił kilkadziesiąt prac, zrobił habilitację. Ale tylko jego żona wiedziała, jakie przeżywał udręki i upokorzenia.

Kilku kolegów, z których jeden był członkiem Akademii, dwóch zajmowało nieco gorsze stanowiska niż Nikołaj Andriejewicz, a jeden nie miał jeszcze nawet doktoratu, stanowiło niejako siłę napędową dyscypliny, w której pracował. Ludzie ci cenili Nikołaja Andriejewicza jako ciekawego rozmówcę, szanowali jako przyzwoitego człowieka, ale nie ukrywali, że nie uważają go za prawdziwego uczonego.

A on ciągle wyczuwał pełną napięcia i podziwu atmosferę, jaka ich otaczała, zwłaszcza kulawego Mandelsztama.

Kiedyś w londyńskim piśmie naukowym ktoś napisał o Mandelsztamie: „Wielki kontynuator dzieła twórców współczesnej biologii”. Przeczytawszy to zdanie, Nikołaj Andriejewicz pomyślał: „Przeczytać taką opinię o sobie i umrzeć ze szczęścia”.

Mandelsztam był niesympatyczny i albo chodził z ponurą miną i wydawał się przybity, albo wyniośle pouczał otoczenie. Na przyjęciach wyśmiewał po wódce kolegów naukowców, mówił, że to beztalencia, a niektórych określał jako aferzystów i hochsztaplerów. Ta jego cecha bardzo drażniła Nikołaja Andriejewicza - Mandelsztam obmawiał ludzi, z którymi się przyjaźnił, u których bywał, a więc w jakimś innym towarzystwie jego też pewnie nazywa beztalenciem i hochsztaplerem. Drażniła go także żona Mandelsztama - niegdyś piękna, dziś otyła kobieta, którą interesowała chyba tylko hazardowa gra w karty i sława naukowa kulawego męża.

3°

Mimo to Nikołaj Andriejewicz chętnie przebywał w towarzystwie Mandelsztama i mawiał, że tacy niezwykli ludzie miewają niełatwe życie.

Kiedy jednak Mandelsztam pobłażliwie go pouczał, Nikołaj Andriejewicz złościł się, cierpiał i po powrocie do domu nazywał go zadufkiem.

Maria Pawłowna uważała męża za bardzo utalentowanego naukowca. A kiedy Nikołaj Andriejewicz opowiadał jej o pobłażliwej obojętności, z jaką koryfeusze nauki odnoszą się do jego prac, jej wiara w niego stawała się jeszcze bardziej zażarta. Podziw żony i ta jej wiara były mu nieodzowne jak wódka alkoholikowi. Uważał, że ludzie się dzielą na szczęściarzy i pechowców, poza tym niczym się właściwie nie różnią. Mandelsztam, jego zdaniem, należał właśnie do szczęściarzy w biologii, a Rodionow był zawsze otoczony wielbicielami niczym tenor operowy, choć nawiasem mówiąc, Rodionow ze swoim zadartym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi nie miał w sobie nic z operowego amanta. Szczęściarzem wydawał się Nikołajowi Andriejewiczowi także Izaak Chawkin, choć nie zatwierdzono mu doktoratu, a instytuty naukowe, podejrzewając, że hołduje teorii witalizmu, nie proponowały mu pracy nawet w najspokojniejszych czasach, tak że, niemłody już i siwy, pracował w rejonowym laboratorium sanitarno-bakteriologicznym i chodził w wytartych spodniach. Ale to u niego zbierali się na dyskusje członkowie Akademii, a w swoim nędznym laboratorium Chawkin prowadził pracę naukową, o której wiele się mówiło i nad którą się z ożywieniem debatowało.

Kiedy zaczęto zwalczać zwolenników Weismanna, Virchowa i Mendla, surowe posunięcia godzące w wielu kolegów zmartwiły Nikołaja Andriejewicza. I on, i Maria Pawłowna boleli

31
nad tym, że Rodionow nie chciał uznać swoich błędów. Wy-
rzucono go z Instytutu i Nikołaj Andriejewicz, utyskując na
bezsensowną donkiszoterię kolegi, załatwiał mu tłumaczenia
z angielskiego.

Oskarżonego o bałwochwalczy stosunek do Zachodu Pyżowa
przeniesiono do laboratorium doświadczalnego w obwodzie
czkałowskim. Nikołaj Andriejewicz pisał do niego listy i posyłał
mu książki, a Maria Pawłowna wysłała na Nowy Rok paczkę
jego rodzinie.

W gazetach ukazały się felietony demaskujące karierowi-
czów i hochsztaplerów, którzy w podejrzany sposób uzyskali
dyplomy i stopnie naukowe, lekarzy, którzy ze zbrodniczym
okrucieństwem traktowali chore dzieci i położnice, inżynierów,
którzy zamiast szkół i szpitali budowali dacje dla krewniaków.
Niemał wszyscy ci zdemaskowani złoczyńcy byli Żydami i ga-
zety skrupulatnie podawały ich imiona wraz z imionami ojców:
„Srul Nachmanowicz... Chaim Abramowicz... Izraił Miendie-
lejewicz...”. W recenzjach książek, których autorzy Żydzi uży-
wali rosyjskich pseudonimów, podawano obok, w nawiasach,
żydowskie nazwisko każdego. Można było sądzić, że w ZSRR
tylko Żydzi kradną, biorą łapówki, ze zbrodniczą obojętnością
traktują cierpienia chorych, piszą niemoralne i złe książki.

Nikołaj Andriejewicz widział, że felietony te podobają się nie
tylko dozorcóm domów i pijanym pasażerom podmiejskich po-
ciągów. Oburzał się na tę kampanię prasową, ale jednocześnie
gniewała go reakcja zaprzyjaźnionych Żydów, którzy traktowali
tę pisaninę z taką powagą, jak gdyby nadszedł koniec świata.
Narzekali, że utalentowana młodzież żydowska nie ma dostępu
do aspirantury, że Żydów nie przyjmuje się na wydział fizyki,
nie zatrudnia w ministerstwach, w przemyśle ciężkim, a nawet

32
lekkim, że po skończeniu studiów kieruje się ich do pracy na
głęboką prowincję. Mówili też, że przy wszelkich redukcjach
zwalnia się niemal zawsze tylko Żydów.

Istotnie tak było, ale Żydzi dopatrywali się w tym wszystkim

jakiegoś gigantycznego planu państwowego, skazującego ich na głód i wyniszczenie, na całkowitą zagładę. Nikołaj Andriejewicz natomiast uważał, że cała sprawa wynika po prostu z niechętnego stosunku do Żydów niektórych działaczy partyjnych i państwowych, ale że wydziały kadr nie dostają żadnych specjalnych instrukcji dotyczących Żydów. Stalin nie jest antysemitą i prawdopodobnie nic o tych sprawach nie wie.

Ucierpeli zresztą nie tylko Żydzi, oberwał też stary Czurkowski oraz Pyżow i Rodionow.

Mandelsztama zaś, który kierował badaniami naukowymi Instytutu, przeniesiono do wydziału, w którym pracował Nikołaj Andriejewicz. Mógł jednak kontynuować swoje prace, a stopień doktora habilitowanego dawał mu prawo do wysokich poborów.

Kiedy jednak w „Prawdzie” ukazał się niepodpisany artykuł redakcyjny godzący w krytyków teatralnych, kosmopolitów - Gurwicza, Juzowskiego i innych, którzy po prostu kpili sobie z teatru rosyjskiego, rozpoczęła się wielka kampania demaskatorska przeciw kosmopolitom we wszystkich dziedzinach sztuki i nauki i Mandelsztama uznano za antypatriotę. Doktor Bratowa umieściła w gazetce ściennej artykuł pod tytułem „O Iwanie, który zapomniał, skąd pochodzi”, zaczynający się od słów: „Z dalekich powróciwszy podróży, Mark Samuiłowicz Mandelsztam puścił w niepamięć zasady rosyjskiej nauki radzieckiej”.

Nikołaj Andriejewicz pojechał do Mandelsztama, który powitał go ze smutną miną, ale szczerze wzruszony jego wizytą.

33

A wyniosła pani Mandelsztamowa wydawała się już mniej wyniosła. Pili wódkę. Mandelsztam ordynarnie przeklinał Bratową, swoją uczennicę, i chwytając się za głowę, biadał, że jego uczniów, utalentowanych żydowskich chłopców, odsuwają od nauki.

- Co mają robić? Sprzedawać galanterię na bazarze? - pytał.

- Nie trzeba się denerwować, wszyscy będą mieli pracę, i pan, i Chawkin, i nawet laborantka Aneczka Zilberman - żartobliwym tonem pocieszał go Nikołaj Andriejewicz. - To się ułoży, wszyscy będą mieli chleb, i to nawet z kawiozem.

- Mój Boże! - zawołał Mandelsztam. - Czyż tu chodzi o kawior? Chodzi o ludzką godność.

Co do Chawkina Nikołaj Andriejewicz jednak się pomylił,

jego sprawy przybrały zły obrót. Wkrótce po podanej w prasie wiadomości o lekarzach mordercach Chawkin został aresztowany.

Wiadomość, że znakomici lekarze, że aktor Michoels popełnili potworne zbrodnie, wstrząsnęła wszystkimi. Miało się wrażenie, że czarna mgła zawisła nad Moskwą i wślizguje się do domów, do szkół i do serc ludzkich.

W rubryce „Kronika” na czwartej stronie podano, że wszyscy oskarżeni lekarze przyznali się do winy, więc nie mogło już być wątpliwości: to zbrodniarze.

A jednak ciągle wydawało się to niemożliwe, trudno było żyć i pracować w tej atmosferze, wiedząc, że profesorowie, członkowie Akademii, zamordowali Żdanowa i Szczerbakowa, że trują swoich pacjentów.

Nikołaj Andriejewicz przypomniał sobie sympatycznego Wowsiego, wspaniałego aktora Michoelsa i zbrodnie, o którą ich oskarżono, wydała mu się nieprawdopodobna, nie do pomyslenia.

34

Ale się przecież przyznali! Jeśli nie są winni i mimo to do winy się przyznają, należy przypuszczać, że popełniona została inna zbrodnie, jeszcze potworniejsza od tej, o jaką ich oskarżono - zbrodnie przeciw nim.

Ta myśl przerażała. Należało mieć nie lada odwagę, by wątpić w ich winę - przecież w takim razie zbrodniami są ludzie stojący u steru socjalistycznego państwa, w takim razie zbrodniarzem jest Stalin.

Znajomi lekarze opowiadali, że praca w szpitalach i klinikach staje się coraz trudniejsza. Pod wpływem potwornych oficjalnych komunikatów chorzy zrobili się podejrzliwi, wielu nie chciało się leczyć u lekarzy Żydów. Lekarze żalili się, że pacjenci składają mnóstwo skarg i donosów, oskarżając ich o celowo złe leczenie. W aptekach klienci podejrzewali farmaceutów, że usiłują im podsunąć szkodliwe lekarstwa, w tramwajach, w biurach, na bazarach opowiadano, że w Moskwie zamknięto kilka aptek, w których aptekarze Żydzi - tajni agenci Ameryki - sprzedawali pigułki z suszonymi wszami. Mówiono także, że w klinikach położniczych niemowlęta i położnice są zarażane syfilisem, a w przychodniach stomatologicznych zaszczepia

się pacjentom raka szczęki i języka. Krążyły plotki o pudełkach zapalek nasączonych śmiertelną trucizną. Niektórzy przypominali sobie okoliczności, w jakich niegdyś umarli ich krewni, i wysyłali do organów bezpieczeństwa pisma z żądaniem dochodzenia i pociągnięcia do odpowiedzialności lekarzy Żydów. Najsmutniejsze zaś było to, że słuchom tym dawali wiarę nie tylko stróże, nie tylko niezbyt piśmienni podpici tragarze i kierowcy, lecz także niektórzy uczeni, pisarze, inżynierowie, studenci. Ta powszechna podejrzliwość wydawała się Nikołajowi Andriejewiczowi nie do zniesienia. Wielkonosa laborantka Anna
35

Naumowna przychodziła do pracy blada, z nieprzytomnym spojrzeniem; pewnego dnia opowiedziała, że jej sąsiadka, która pracowała w aptece, wydała przez omyłkę choremu inne lekarstwo, niż należało, a kiedy ją wezwano, aby złożyła wyjaśnienia, w przerażeniu popełniła samobójstwo. I osierociła dwoje dzieci - córkę, uczennicę średniej szkoły muzycznej, i syna, który chodził jeszcze do podstawówki. Anna Naumowna przychodziła teraz do pracy pieszo - w tramwajach pijani pasażerowie zaczepiali ją i wszczynali rozmowy o lekarzach Żydach, mordercach Żdanowa i Szczerbakowa.

Nowy dyrektor Instytutu, Ryśkow, który głosił, że nadeszła pora, by oczyścić naukę rosyjską z nierosyjskich nazwisk, budził w Nikołaju Andriejewiczu obrzydzenie. Pewnego dnia Ryśkow oświadczył: „Nadszedł kres panoszenia się gudłajów. Ach, gdybyście wiedzieli, jak ja ich nienawidzę!”.

Nikołaj Andriejewicz nie mógł jednak opanować mimowolnej radości, kiedy ten sam Ryśkow powiedział mu: „Towarzysze z KC cenią waszą pracę, pracę wybitnego rosyjskiego uczonego”.

Mandelsztam odszedł z Instytutu, zaczął pracować w zespole szkół zawodowych. Nikołaj Andriejewicz zapraszał go do siebie i zmuszał żonę, by do niego dzwoniła. A Mandelsztam zrobił się nerwowy, podejrzliwy i Nikołaj Andriejewicz był zadowolony, kiedy Mark Samuilowicz odkładał ich spotkania: ciążyły mu coraz bardziej. W takich czasach przyjemniej jest widywać się z ludźmi zadowolonymi z życia.

Na wiadomość o aresztowaniu Chawkina Nikołaj Andriejewicz szeptem powiedział do żony, zerkając na telefon:

- Jestem pewien, że Izaak jest niewinny, znam go od trzydziestu lat.

36

Maria Pawłowna nagle objęła męża i pogładziła czule po głowie:

- Dumna jestem z ciebie - powiedziała. - Tak się martwisz o Chawkina i Mandelsztama, a ja jedna wiem, ile miałeś przez nich przykrości.

Czasy były ciężkie. Nikołaj Andriejewicz musiał wystąpić na wiecu przeciw lekarzom mordercom, mówić o czujności, niedbalstwie i karygodnej pobłażliwości.

Po wiecu wszczął rozmowę z profesorem Margolinem z sekcji chemii fizycznej, który także wygłosił długie przemówienie. Margolin żądał kary śmierci dla zbrodniczych lekarzy i odczytał pismo pochwalne dla Lidii Timaszuk, która zdemaskowała lekarzy morderców i otrzymała za to Order Lenina. Margolin był mocny w filozofii marksistowskiej, kierował seminarium poświęconym zgłębianiu czwartego rozdziału Krótkiego kursu.

- Tak, Samsonie Abramowiczu - powiedział Nikołaj Andriejewicz. - Ciężkie mamy czasy. Mnie też nie jest łatwo, ale ile pana musi kosztować przemawianie na te tematy!

Margolin uniósł cienkie brwi i wysuwając bladą dolną wargę, zapytał:

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem, co mianowicie macie na myśli?

- Mówię tak, ogólnie - odpowiedział Nikołaj Andriejewicz. - No, wiecie, Wowski, Ettinger, Kogan. Kto by przypuszczał? Leżałem u Wowsiego w klinice, personel go lubił, a chorzy wierzyli mu jak Mahometowi.

Margolin wzruszył chudym ramieniem, skrzywił się i powiedział:

- Rozumiem. Uważacie, że przykro mi jako Żydowi piętnować tych zbrodniarzy? Przeciwnie, właśnie mnie szczególnie

37

jest wstrętny żydowski nacjonalizm. A jeśli Żydzi ze swoją sympatią dla Ameryki przeszkadzają w dążeniu do komunizmu, to nie szkoda mi nie tylko siebie, ale i własnej córki.

Nikołaj Andriejewicz zrozumiał, że niepotrzebnie mówił o miłości naiwnych chorych do Wowsiego - jeśli człowiekowi

własnej córki nie szkoda, to w rozmowie z nim należy używać tylko utartych sloganów. I powiedział:

- Pewnie. Wroga możemy pokonać tylko naszą niewzruszoną jednością moralną i polityczną.

Tak, były to ciężkie czasy i Nikołaj Andriejewicz miał tylko jedną pociechę: praca szła mu dobrze.

Jak gdyby po raz pierwszy wyrwał się z wąskich badań specjalistycznych i wdarł się w dziedziny żywe, do których go dawniej nie dopuszczano. Ludzie zaczęli szukać jego towarzystwa, pytali go o radę, liczyli się z jego zdaniem. Obojętne zazwyczaj redakcje pism naukowych zainteresowały się jego artykułami. Zatelefonowano do niego z Towarzystwa Kontaktów Kulturalnych z Zagranicą - instytucji, która dotychczas nigdy się do Nikołaja Andriejewicza nie zwracała - z prośbą o maszynopis niedokończonych jeszcze książki: TKKZ zamierzało zawczasu poruszyć sprawę wydania tej książki w krajach demokracji ludowej.

Nikołaj Andriejewicz z wielkim przejęciem przyjął tę falę sukcesów. Maria Pawłowna była spokojniejsza: Kolę spotykało to, co jej zdaniem musiało go spotkać.

W życiu Nikołaja Andriejewicza zachodziło coraz więcej zmian. Nowi ludzie, którzy stanęli na czele Instytutu i popierali Nikołaja Andriejewicza, nie podobali mu się jednak. Coś go od nich odpychało: ich brutalność i wielka pewność siebie, zwyczaj nazywania przeciwników naukowych sługusami, kosmopolitami, agentami kapitalizmu, najemnikami imperializmu.

38

Ale potrafił dojrzeć w nowych ludziach najważniejsze - zuchwałość, siłę.

Nawiasem mówiąc, Mandelsztam niesłusznie nazywał ich niedouczoneymi idiotami, „zażartymi dogmatykami”. Cechowała ich nie tyle ograniczoność zainteresowań, ile zrodzona z życia i pełna życia pasja, z jaką zmierzali do celu. Dlatego właśnie nienawidzili talmudystów, abstrakcyjnych teoretyków.

Ci nowi kierownicy Instytutu wyczuwali w Nikołaju Andriejewiczu człowieka o odmiennych poglądach i przyzwyczajeniach, ale mimo to traktowali go dobrze, ufali mu, Rosjaninowi! Dostał serdeczny list od Łysenki, który bardzo pochwalił jego rękopis i zaproponował współpracę.

Nikołaj Andriejewicz nie cenił teorii Łysenki, ale list od

znakomitego agronoma, członka Akademii, sprawił mu przyjemność. Nie można było zresztą całkowicie odrzucać pracy Łysenki. A pogłoski, że jest bardzo niebezpieczny dla swoich przeciwników w nauce i lubi używać argumentów policyjnych, były najwyraźniej przesadzone.

Ryśkow zaproponował Nikołajowi Andriejewiczowi, by wypowiedział się za naukowym zdyskredytowaniem usuniętych z biologii kosmopolitów. Ten odmówił, choć widział niezadowolenie dyrektora, który chciał, by społeczność usłyszała gniewny głos bezpartyjnego rosyjskiego uczonego.

A przebąkiwano właśnie, że we wschodniej Syberii pospiesznie buduje się ogromne miasto, całe z baraków. Mówiono, że baraki te są przeznaczone dla Żydów. Zostaną zesłani, podobnie jak już zesłano Kałmuków, krymskich Tatarów, Bułgarów, Greków, Niemców nadwołżańskich, Bałkarów i Czeczeńców.

Nikołaj Andriejewicz zrozumiał, że był w błędzie, obiecując Mandelsztamowi kanapki z kawiozem.

39

Z niepokojem czekał na proces lekarzy morderców. Co rano chwycił gazetę, sprawdzał, czy się już nie zaczęło. Podobnie jak wszyscy usiłował zgadnąć, czy proces będzie się odbywał przy drzwiach otwartych, czy zamkniętych, i raz po raz pytał żonę: - Jak ci się zdaje, czy będą codzienne sprawozdania z procesu z mową prokuratora, przesłuchaniem świadków i ostatnim słowem skazanych, czy ogłoszą tylko komunikat o wyroku kolegium wojskowego?

W najgłębszym sekrecie powiedziano Nikołajowi Andriejewiczowi, że lekarze zostaną publicznie straceni na placu Czerwonym, po czym przez cały kraj przetoczy się pewnie fala pogromów, i że na ten okres przygotowuje się już wysyłkę Żydów do tajgi i na Kara-Kum do budowy Kanału Turkmeńskiego. Ma to ich ochronić przed słusznym, ale bezlitosnym gniewem ludu.

Wysyłka będzie wyrazem wiecznie żywego ducha internacjonalizmu, który - rozumiejąc gniew ludu - nie może jednak pozwolić na masowe samosądy i okrutne rozprawy.

Podobnie jak wszystko, co się działo w kraju, to żywiołowe oburzenie - reakcja na zbrodnie Żydów - było z góry obmyślane, zaplanowane.

Tak samo obmyślał Stalin wybory do Rady Najwyższej - za-
wczasu zbierano dane personalne, wyznaczano delegatów, a po-
tem planowo odbywało się żywiłowe wysuwanie kandydatów,
agitacja na ich rzecz i wreszcie wybory, w których brał udział cały
naród. Tak samo programowano burzliwe wiece protestacyjne,
wybuchy gniewu całego narodu i objawy braterskiej przyjaźni,
tak samo, na wiele tygodni przed świątecznymi defiladami, za-
twierdzano reportaże z placu Czerwonego: „Patrzę w tej chwili
na pędzące czołgi...”. Tak samo zawczasu przygotowywano
40

osobiste inicjatywy Izotowa, Stachanowa, Dusi Winogradowej,
masowe przystępowanie do kołchozów, mianowano i odwoły-
wano legendarnych bohaterów wojny domowej, planowano
spontaniczne akcje robotników domagających się rozpisania
pożyczki narodowej, pracy bez dni wolnych, tak samo progra-
mowano powszechne uwielbienie wodza, zawczasu ustalano,
kto ma być tajnym agentem zagranicznego wywiadu, dywersan-
tem, szpiegiem, a dopiero później, już na podstawie skompli-
kowanych przesłuchań w ogniu krzyżowych pytań, spisywano
protokoły, i ludzie, którym się nie śniło, że należą do kontr-
rewolucyjnych niedobitków - księgowi, inżynierowie, radcy
prawni - przyznawali się w nich do różnorodnej działalności
terrorystycznej i szpiegowskiej. Tak samo wyznaczano wielkich
pisarzy, ukochanych przez naród, tak samo układano teksty
listów, które matki odczytywały drewnianym głosem przed mi-
krofonem, zwracając się do swoich synów żołnierzy. Tak pla-
nowano z góry patriotyczny zryw Fieraponta Gołowatego, tak
wyznaczano uczestników swobodnych dyskusji - jeśli w jakimś
celu były one potrzebne - a także zawczasu pisano i uzgadniano
wystąpienia ludzi, którzy w tych dyskusjach brali udział.

I nagle piątego marca umarł Stalin! Ta śmierć wdarła się w gi-
gantyczny system zmechanizowanego entuzjazmu, narzuc-
onego przez komitet rejonowy gniewu ludu i miłości ludu.

Była to śmierć poza planem, niezależna od dyrektyw organów
rządzących. Stalin umarł bez osobistego polecenia samego
towarzysza Stalina. Ta swoboda, ta samowola śmierci była jak
dynamit, miała w sobie coś, co przeczyło najgłębszej istocie
państwa. Wzburzenie ogarnęło myśli i serca.

Stalin umarł! Jedni wpadli w rozpacz, w niektórych szkołach nauczyciele kazali uczniom klękać i sami, także na klęczkach, zalewając się łzami, odczytywali oficjalny komunikat o śmierci wodza. Na zgromadzeniach żałobnych w instytucjach i fabrykach wiele osób wpadało w histerię, rozlegały się przeraźliwe krzyki kobiet, rozpaczliwe łkania, niektórzy mdleli. Umarł wielki wódz, bóstwo dwudziestego wieku, i kobiety szlochały. Byli i tacy, co się nie posiadali z radości. Wieś, uginająca się pod ciężarem żelaznej ręki Stalina, odetchnęła z ulgą. Wielomilionową ludność łagrów ogarnęła nieprzytomna radość.

...Kolumny więźniów szły do pracy wśród głębokich ciemności. Huk oceanu zagłuszał ujadanie psów obozowych. I nagle - jakby blask zorzy polarnej rozświetlił ponure szeregi: Stalin nie żyje! Stalin nie żyje! Dziesiątki tysięcy koczujących pod konwojem ludzi przekazywały sobie szeptem nowinę: „Zdechł... Zdechł...”. I ten szept nieprzeliczonych tłumów huczał jak wichur. Czarna noc stała nad polarną ziemią. Ale lód na Oceanie Lodowatym pękł i ocean huczał.

Wiadomość o śmierci Stalina obudziła w sercu bardzo wielu ludzi, zarówno uczonych, jak i robotników, dwa sprzeczne uczucia: odczuwali pewien smutek, ale jednocześnie mieli ochotę skakać z radości.

Wzburzenie ogarnęło cały kraj w chwili, gdy nadano przez radio komunikat o stanie zdrowia Stalina: „Oddech Cheyne'a-Stokesa... mocz... tętno... ciśnienie...”. Ubóstwiany władca ukazał nagle swoją starość i niedołęstwo.

Stalin umarł! W nagłej śmierci wodza było coś nieobjętego żadnymi rygorami, przejaw wolności nieskończenie obcej samej istocie stalinowskiego państwa.

42

I to właśnie wstrząsnęło państwem, tak jak wstrząsnęła nim nagła napaść 22 czerwca 1941 roku.

Miliony ludzi chciały zobaczyć zmarłego. W dniu pogrzebu Stalina nie tylko cała Moskwa, lecz także całe obwody i rejony ruszyły do Domu Związków. Sznury ciężarówek z prowincji ciągnęły się przez wiele kilometrów. Korek sięgał do Sierpuchowa, po czym paraliż ogarnął szosę między Sierpuchowem a Tułą. Gigantyczne, milionowe tłumy pieszych zmierzały do cen-

trum Moskwy. Podobne do krętych, czarnych rzek górskich potoki ludzkie zderzały się, rozbijały, skręcały, druzgotały samochody, wyrywały z zawiasów żeliwne bramy. Tego dnia zginęły tysiące ludzi. Katastrofa na Chodynce w dniu koronacji ostatniego cara była niczym w porównaniu z dniem śmierci rosyjskiego ziemskiego boga - dziobatego syna szewca z miasta Gori.

Miało się wrażenie, że ludzie idą na własną zgubę w stanie jakiegoś urzeczenia, chrześcijańskiej, buddyjskiej, mistycznej uległości. Jak gdyby Stalin, wielki pasterz, zbierał ostatnie owieczki, usuwając po śmierci wszelką przypadkowość ze swojego groźnego generalnego planu.

Zgromadzeni na zebraniu współtowarzysze Stalina czytali potworne komunikaty milicji moskiewskiej i kostnicy, wymieniając bezsilne spojrzenia. Czuli się zagubieni, wobec nowego dla nich doznania: nie odczuwali już lęku przed nieuniknionym gniewem wielkiego Stalina. Gospodarz nie żył.

Piątego kwietnia Nikołaj Andriejewicz zbudził żonę przeraźliwym okrzykiem:

- Masza! Lekarze są niewinni! Masza, torturowano ich!!!

43

Państwo przyznało się do swojej strasznej winy: przyznało się, że przy przesłuchiowaniu uwięzionych lekarzy stosowano niedozwolone metody.

Kiedy minęła pierwsza chwila radości, jasnej lekkości w sercu, Nikołaj Andriejewicz nieoczekiwanie doznał jakiegoś nieokreślonego, dojmującego, nieznanego mu dotychczas uczucia.

Było to nowe, dziwne i bardzo szczególne poczucie winy: wstydził się swojej słabości, wystąpienia na wiecu, podpisu pod listem zbiorowym piętnującym zbrodniczych lekarzy, swojej gotowości przyjęcia jawnej nieprawdy, tego, że była to zgoda dobrowolna, z głębi serca.

Czy postępował właściwie? Czy był rzeczywiście uczciwy, jak uważają wszyscy wokół?

W jego sercu panował zamęt, narastała bolesna, dręcząca skrucha. W momencie kiedy boskie, nieomyłne państwo przyznało się do popełnionej zbrodni, Nikołaj Andriejewicz uświadomił sobie jego śmiertelność - państwo, tak samo jak Stalin,

miało arytmie serca, biało w moczu.

Boskość, nieomylność nieśmiertelnego państwa nie tylko przygniatały człowieka, lecz - jak się okazuje - także broniły go, pocieszały w jego słabości, usprawiedliwiały jego nędzę moralną. Państwo brało na swoje żelazne barki cały ciężar odpowiedzialności, uwalniało ludzi od chimery sumienia.

I Nikołaj Andriejewicz poczuł się jakby obnażony. Jak gdyby tysiące obcych oczu patrzyło na jego nagość.

Najbardziej zaś przykre było to, że on także stał w tym tłumie, patrzył na siebie nagiego, razem ze wszystkimi przyglądał się swoim po babsku obwisłym cyckom, sflaczałemu, rozdętemu od obżarstwa brzuchowi, fałdom tłuszczu po bokach.

44

Tak, Stalin miał arytmie serca i nitkowate tętno, a państwo - okazuje się - cuchnęło moczem i Nikołaj Andriejewicz poczuł się nagi w swoim wełnianym garniturze.

Okropnie było tak przyglądać się sobie: paskudnie wyglądała ta haniebna lista - obraz własnej słabości.

Figurowały na niej i walne zebrania, i posiedzenia Rady Naukowej, i uroczyste świąteczne sesje, i masówki w laboratorium, i artykułiki, i dwie książki, i bankiety, i wizyty u ludzi niedobrych, ale ważnych, i głosowania, i żarty przy stole, i rozmowy z kierownikami kadr, i podpisy pod listami, i przyjęcie u ministra.

Ale w życiu Nikołaja Andriejewicza były i inne listy: takie, które nie zostały napisane, choć Bóg przykazał je napisać. Było milczenie tam, gdzie Bóg przykazał powiedzieć słowo, był numer telefonu, pod który koniecznie należało zadzwonić, ale do tego nigdy nie doszło, były odwiedziny, których zaniedbanie było grzechem, a które zostały zaniedbane, były niewysłane pieniądze, telegramy. Wielu, wielu rzeczy koniecznych nie zrobił Nikołaj Andriejewicz w swoim życiu.

Głupio było teraz czuć się dumnym z tego, co zawsze napaślało go dumą - że nigdy nie pisał donosów, że wezwany na Łubiankę odmówił udzielenia kompromitujących informacji o aresztowanym koledze, że spotkawszy przypadkiem na ulicy żonę zesłańca, nie odwrócił się, ale uścisnął jej rękę i zapytał o zdrowie dzieci.

Z czego tu być dumnym...

Całe jego życie zbudowane było na wielkim posłuszeństwie,

nie było w nim nieposłuszeństwa.

No i Iwan - przez trzydzieści lat Iwan wędrował z jednego więzienia czy obozu do drugiego, a Nikołaj Andriejewicz, który zawsze się szczycił tym, że nie wyparł się brata, ani razu przez 45

te trzy dziesięciolecia do niego nie napisał. Kiedy zaś dostał list od Iwana, poprosił starą ciotkę, aby mu odpowiedziała.

Wszystko to dawniej wydawało się naturalne, a teraz nagle zaczęło niepokoić, dręczyć.

Nikołaj Andriejewicz przypomniał sobie, jak na wiecu zwołanym w związku z procesami 1937 roku głosował za wyrokiem śmierci na Rykowa i Bucharina.

Przez siedemnaście lat nie myślał o tych wiecach i oto nagle ożyły w jego pamięci.

Czymś dziwnym, szalonym wydawało się wówczas, że pewien profesor instytutu górniczego, którego nazwiska Nikołaj Andriejewicz nie zapamiętał, i poeta Pasternak nie zgodzili się głosować za wyrokiem śmierci na Bucharina. Przecież na procesie złoczyńcy sami przyznali się do winy. Przecież przesłuchiwał ich publicznie człowiek wykształcony, profesor uniwersytetu Andriej Januariewicz Wszyński. Przecież nie było wątpliwości, że są winni, nie było cienia wątpliwości!

Ale teraz Nikołaj Andriejewicz przypomniał sobie, że wątpliwości jednak były. On wtedy tylko udawał, że ich nie ma.

Bo gdyby nawet w głębi ducha był pewien niewinności Bucharina, głosowałby jednak za karą śmierci. Łatwiej mu było nie wątpić i głosować, więc udawał przed sobą, że nie wątpi. Nie głosować zaś nie mógł: wierzył przecież w wielkie cele partii Lenina i Stalina. Wierzył, że po raz pierwszy w historii ludzkości zostało stworzone społeczeństwo socjalistyczne bez własności prywatnej, że socjalizm wymaga dyktatury państwa. Wątpić w winę Bucharina, nie głosować - znaczyło zwątpić w potężne państwo, w jego doniosłe cele.

Ale mimo tej świętej wiary gdzieś w głębi jego duszy tliły się wątpliwości.

46

Czy socjalizmem jest to wszystko: Kołyma, kanibalizm podczas kolektywizacji, zagłada milionów istnień ludzkich? Zdarzało się przecież, że coś całkiem innego wślizgiwało się

w najgłębsze warstwy świadomości - zbyt nieludzki był terror, zbyt potworne cierpienia robotników i chłopów.

Tak, tak, życie Nikołaja Andriejewicza upłynęło w uwielbieniu, w wielkim posłuszeństwie, w strachu przed głodem, torturami, syberyjską katorgą. Był jednak i inny szczególnie podły strach - że zamiast czarnego kawioru dostanie czerwony. I tym podłym, „kawiorowym” strachom służyły młodzińcze marzenia z czasów wojennego komunizmu - byle nie wątpić, byle głosować, podpisywać, nie rozglądając się naokoło! Tak, tak: strach o własną skórę, by nie obdarto go z niej żywcem, i strach o utratę czarnego kawioru podsycaly siłę przekonań.

I nagle państwo drgnęło, wymamrotało, że lekarzy poddano torturom. A jutro państwo wyzna, że torturom poddano Bucharina, Zinowjewa, Kamieniewa, Rykowa, Piatakowa, że Maksyma Gorkiego nie zabili wrogowie ludu. A pojutrze wyzna, że miliony chłopów zginęły za nic.

I okaże się, że wszechmocne, nieomyłne państwo nie bierze odpowiedzialności za swoje czyny, że odpowiadać musi Nikołaj Andriejewicz, bo on przecież nie miał wątpliwości, głosował za wszystkim, pod wszystkim się podpisywał. Nauczył się udawać przed samym sobą tak dobrze, tak zręcznie, że nikt, ale to nikt, nawet on sam, nie dostrzegął, że udaje. Był szczerze dumny ze swojej wiary i swojej prawości.

Dręczące uczucie pogardy dla samego siebie stawało się niekiedy tak silne, że w Nikołaju Andriejewiczu narastała gorzka pretensja do państwa - po co, po co się przyznało! Lepiej już
47

byłoby milczeć! Nie miało prawa się przyznawać, niechby wszystko zostało po staremu.

A jak musiał się czuć profesor Margolin, który oświadczył, że nie tylko lekarzy morderców, ale nawet własne dzieci gotów uśmiercić w imię wielkiej sprawy internacjonalizmu?

Brać na swoje sumienie tyle lat podłej pokory? Nie, to nie do zniesienia!

Jednakże ból stopniowo ustępował. Wszystko jakby się zmieniło, a zarazem nie zmieniło się nic.

Bez porównania łatwiej, spokojniej pracowało się teraz w Instytucie. Ujawniło się to ze szczególną siłą, kiedy Ryśkow wy-

wołał swoim grubiaństwem takie niezadowolenie wyższych instytucji, że został zdjęty ze stanowiska.

Uznanie, o którym Nikołaj Andriejewicz marzył, wreszcie przyszło, i nie to oficjalne, nie ministerialne, ale wielkie, prawdziwe uznanie. Objawiało się w wielu rzeczach - w artykułach, w wypowiedziach uczestników konferencji naukowych, w pełnych podziwu spojrzeniach pracowników naukowych i лаборantek, w listach, które Nikołaj Andriejewicz zaczął dostawać. Kandydatura Nikołaja Andriejewicza została zgłoszona do Wyższej Rady Naukowej i wkrótce Prezydium Akademii mianowało go dyrektorem naukowym Instytutu.

Nikołaj Andriejewicz chciał znowu ściągnąć do Instytutu wypędzonych kosmopolitów i idealistów, ale nie mógł przekonać kierowniczkę kadr, kobiety miłej i ładnej, ale szalenie upartej. Udało mu się jedynie osiągnąć zgodę na zaproponowanie zwolnionym z Instytutu kolegom prac zleconych.

Patrząc teraz na Mandelsztama, zastanawiał się, czy to możliwe, żeby o tym żalonym i bezradnym człowieku, który przynosi do Instytutu pliki tłumaczeń i przypisów, pisano przed 48

kilkoma laty za granicą jako o wybitnym, niemal wielkim uczo-
nym. Czy to możliwe, że to jego aprobaty tak niegdyś pragnął on sam?

Dawniej Mandelsztam ubierał się niedbale, ale teraz przychodził do Instytutu w swoim najlepszym garniturze. Kiedy Nikołaj Andriejewicz zażartował na ten temat, Mandelsztam odpowiedział: „Aktor bez engagement powinien zawsze być dobrze ubrany”.

I oto teraz, wspominając minione lata, Nikołaj Andriejewicz myślał o bliskim spotkaniu z Iwanem z dziwnym, gorzkim i zarazem radosnym uczuciem. W rodzinie uważano kiedyś, że Wania przewyższa wszystkich rówieśników inteligencją i zdolnościami. Nikołaj Andriejewicz raczej, albo wcale, nie był o tym przekonany, ale pokornie się zgadzał.

Wania bez wysiłku czytał grube matematyczne i fizyczne tomiska, traktując je nie z uczniowską pokorą, ale na własny sposób, dziwnie. Od dzieciństwa zdradzał zdolności do rzeźby, umiał odtworzyć w glinie uchwycony wyraz twarzy, charakterystyczny gest, szczególnie zaś ruch. I rzecz najbardziej zdu-

miewająca, obok zainteresowania matematyką czuł pociąg do starożytnego Wschodu, zaczytywał się w książkach o partyjskich rękopisach i pomnikach.

Od dzieciństwa przedziwnie łączyły się w nim cechy, które nigdy, zdawałoby się, nie występują u jednego człowieka.

Jako mały chłopiec, jeszcze w szkole, w bójce rozbił do krwi głowę przeciwnikowi i przez całe dwie doby trzymano go w komisariacie. A jednocześnie był chłopcem cichym, nieśmiałym, wrażliwym, w komórce pod domem miał szpitalik, w którym mieszkały kalekie zwierzęta - pies z odrąbaną łapą, ślepy kot, smutna kawka z wyłamanym skrzydłem.

49

Jako student Iwan tak samo dziwnie łączył w sobie delikatność, dobroć, nieśmiałość z nieubłaganą gwałtownością, która sprawiała, że nawet ludzie bardzo mu bliscy często mieli do niego żal.

Może właśnie przez te szczególne cechy charakteru Iwan nie spełnił pokładanych w nim nadziei - życie jego jakby się nagle załamało, a on złamał je ostatecznie.

W latach dwudziestych wielu zdolnych młodych ludzi nie mogło studiować z powodu pochodzenia społecznego - dzieci rodzin szlacheckich, carskich oficerów, popów, fabrykantów i kupców nie przyjmowano na wyższe uczelnie.

Iwan został przyjęty na uniwersytet - pochodził z rodziny inteligencji pracującej. Bez trudu przeszedł przez surową czystkę według rubryki klasowej.

Gdyby Iwan teraz zaczynał życie, obecne utrudnienia - piąty punkt ankiety, sprawa narodowości - nie dotyczyłyby go wcale. Gdyby jednak teraz zaczynał życie, niewątpliwie znów spotkałyby go niepowodzenia.

Nie była to więc kwestia zewnętrznych okoliczności, nieudany, gorzki los Iwana zależał wyłącznie od niego samego...

Na uniwersytecie w kółku filozoficznym Iwan toczył zażarte dyskusje z wykładowcami materializmu dialektycznego. Dyskusje te trwały aż do rozwiązania kółka.

Wtedy Iwan wygłosił w audytorium przemówienie przeciw dyktaturze - oświadczył, że wolność jest dobrem równie cennym jak życie i że ograniczenie wolności kaleczy ludzi tak samo jak ciosy topora odrąbującego palce, a pozbawienie wolności

jest równoznaczne z morderstwem. Po tym przemówieniu relegowano go z uniwersytetu i wysłano na trzy lata do obwodu semipałatyńskiego.

50

Od tej pory minęło około trzydziestu lat; przez te lata Iwan chyba najwyżej rok był na wolności. Po raz ostatni Nikołaj Andriejewicz widział go w roku 1936, na krótko przed ponownym aresztowaniem, po którym Iwan pozostawał już w obozach dziewiętnaście lat bez przerwy.

Przyjaciele z dzieciństwa i koledzy uniwersyteccy pamiętali go długo, mówili: „Teraz Iwan byłby członkiem Akademii”. „Tak, to był niezwykle człowiek, ale oczywiście miał pecha”. Niektórzy zaś dodawali: „Był jednak wariatem”.

Ania Zamkowska - miłość Iwana - pamiętała o nim chyba najdłużej.

Ale czas zrobił swoje i Ania, teraz już Anna Władimirowna, chorowita, posiwiała, przy spotkaniach nie pytała już o Iwana.

Ze świadomości ludzi, z serc gorących i zimnych Iwan zniknął; istniał w ukryciu i coraz rzadziej przychodził na myśl tym, którzy go znali.

A czas robił swoje bez pośpiechu, ale dokładnie: człowiek z początku zniknął z dnia powszedniego, przeniósł się do ludzkiej pamięci, potem i tam się zagubił, przeszedł do podświadomości i teraz zjawiał się rzadko jak dziecięca zabawka wańka-wstańka, i przerażał, ukazując się niespodziewanie i tylko na chwilę.

Czas zaś pracował ciągle, wykonywał swoją prostą robotę: Iwan już robił krok, by z ciemnych lochów podświadomości przyjaciół przenieść się na stałe w niebyt, w wieczne zapomnienie.

Ale nadeszły nowe czasy, czasy postalinowskie, i los sprawił, że Iwan powrócił do tego świata, z którego już znikła myśl o nim, jego widomy obraz.

4

Iwan przyszedł dopiero pod wieczór.

W tym spotkaniu splotły się różne rzeczy: i irytacja na myśl o wystyglým wystawnym obiedzie, i niepokój, i okrzyki na temat siwej głowy, zmarszczek, przeżytego już życia. Oczy Ni-

kołaj a Andriej ewicza zwilgotniały - jak w suchych gliniankach wzbiera nagle woda po burzy. Maria Pawłowna zaś rozplakała] się, grzebiąc na nowo syna.

Nie pasowały do tego świata lśniących posadzek, szaf z książkami, obrazów i żyrandoli ogorzała, pomarszczona twarz, waciak, ciężko stąpające żołnierskie buty człowieka ze świata obozów. Iwan Grigorjewicz starał się opanować wzruszenie i patrząc na stryjecznego brata wzrokiem zamglonym łzami, powiedział:

- Nikołaj, przede wszystkim taka sprawa: nie będę miał do] ciebie żadnych próśb ani o zameldowanie, ani o pieniądze, ani o nic innego. Nawiasem mówiąc, byłem już w łaźni i żadnego robactwa nie przynoszę.

Nikołaj Andriejewicz roześmiał się, ocierając łzy:

- Siwy, pomarszczony, ale ciągle taki sam, nasz Wania. I nakreślił ręką w powietrzu koło, a potem przełknął je w środku palcem:

52

- Nieznośny, prosty jak dyszel, ale, do diabła, dobry.

Maria Pawłowna patrzyła na męża: przekonywała go rano, że Iwan Grigorjewicz powinien raczej wykapać się w łaźni, w wannie człowiek nigdy się tak nie wymyje, a zresztą po kąpieli Iwana nie będzie się dało wyszorować wanny ani kwasem, ani ługiem.

Błaha rozmowa nie była tak zupełnie błaha. Uśmiechy, spojżenia, gesty, chrząknięcia - wszystko to pomagało poznawać, wyjaśniać, rozumieć na nowo.

Nikołaj Andriejewicz miał wielką ochotę opowiedzieć o sobie, chciał czegoś więcej niż wspomnień dzieciństwa, wyliczania zmarłych krewnych, czegoś więcej niż wypytywania Iwana. Ponieważ jednak był dobrze wychowany, czyli umiał robić i mówić niekoniecznie to, na co miał ochotę, powiedział:

- Powinniśmy pojechać gdzieś na daczę, gdzie nie ma telefonów, i słuchać tam twoich opowieści przez tydzień, miesiąc, dwa miesiące.

Iwan Grigorjewicz wyobraził sobie, jak siedząc w fotelu na daczce i popijając wino, zacząłby opowiadać o ludziach, którzy zapadli w wieczystą ciemność. Los wielu wydawał się tak przejmująco smutny, że nawet najdelikatniejsze, najcichsze

i najlepsze słowo o nich byłoby jak dotknięcie obnażonego, udręczonego serca szorstką, twardą ręką. Nie wolno było ich dotykać.

I kręcąc głową, powiedział:

- Tak, tak, tak, bajki z tysiąca i jednej polarnej nocy.

Był wzburzony. Gdzież jest Kola: czy to tamten w satynowej bluzie z angielską książką pod pachą, wesoły, dowcipny i uczynny, czy ten z dużą twarzą o miękkich policzkach, z łysiną jak z wosku?

53

Przez całe życie Iwan był mocnym człowiekiem. To jego zawsze proszono, by coś wyjaśnił, kogoś uspokoił. Niekiedy nawet mieszkańcy obozowej kryminalnej „Indii” prosili go o radę. Pewnego razu udało mu się zażegnać rozprawę na noże między złodziejami a kapusiami. Szanowali go różni ludzie: i inżynierowie szkodnicy, i obdarty stary kawalergard, i podpułkownik armii Denikina, mistrz ramowej piły ręcznej, i lekarz ginekolog z Mińska, oskarżony o żydowski nacjonalizm burżuazyjny, i Tatar krymski, rozżalony, że jego naród został wypędzony z nad ciepłego morza do tajgi, i kołchoźnik, który zwędził w swoim kołchozie worek ziemniaków, licząc na to, że po odsiedzeniu wyroku nie wróci do kołchozu, ale na podstawie zaświadczenia z obozu dostanie sześciomiesięczny paszport miejski.

Lecz tego dnia pragnął, by czyjeś dobre ręce zdjęły z jego ramion ciężar. I wiedział, że dokonać tego może tylko jedna siła, wobec której dziwną przyjemność sprawia człowiekowi poczucie własnej małości i słabości - siła miłości matczynej. Ale od dawna już nie miał matki i nikt nie mógł zdjąć z niego ciężaru.

Nikołaj Andriejewicz zaś doznał dziwnego uczucia, które powstało zupełnie mimo jego woli.

Czekając na Iwana, myślał z rozczuleniem, że będzie z nim szczerzy do końca, jak nigdy i z nikim w życiu. Miał ochotę wyspowiadać się przed Iwanem ze wszystkich udręk sumienia, z pokorą opowiedzieć o swojej gorzkiej i nikczemnej słabości. Niech go Wania osądzi i - jeśli może - zrozumie, jeśli może - wybaczy. Jeśli zaś nie zrozumie i nie wybaczy, trudno, niech i tak będzie. Nikołaj Andriejewicz denerwował się. Oczy zaszczyły

mu łzami, niekiedy powtarzał w duchu słowa Niekrasowa:

54

Syn nisko pokłonił się ojcu,

Obmył starcowi nogi...

Miał ochotę powiedzieć stryjecznemu bratu: „Wania, Wanieczka, to niedorzeczne i dziwne, ale ja ci zazdroszczę. Zazdroszczę, że w tym okropnym obozie nie musiałeś podpisywać podłych listów, nie głosowałeś za karą śmierci dla niewinnych ludzi, nie wygłaszałeś podłych przemówień...”.

I nagle, nieoczekiwanie, na sam widok Iwana obudziło się w nim zupełnie inne uczucie. Człowiek w waciaku i żołnierskich butach, człowiek o twarzy zniszczonej przez mrozy i machorkowy zaduch baraków wydał mu się obcy, niedobry, wrogi.

Takie uczucie miewał podczas wyjazdów za granicę: za granicą wydawało mu się nie do pomyślenia, by mógł mówić z eleganckimi cudzoziemcami o swoich wątpliwościach, dzielić się z nimi goryczą tego, co przeżył. Z cudzoziemcami mówił nie o swoich niepokojach, ale wyłącznie o rzeczy najważniejszej i nieulegającej wątpliwości, o historycznych osiągnięciach państwa radzieckiego. Bronił się przed cudzoziemcami, bronił swojej ojczyzny.

Czy mógł przypuszczać, że podobne uczucie wzbudzi w nim Iwan? Dlaczego? Z jakiego powodu? Ale tak właśnie się stało.

Nie był w stanie pozbyć się teraz wrażenia, że Iwan przyszedł po to, żeby przekreślić jego życie. Iwan zaraz go upokorzy, będzie z nim rozmawiał pobłaźliwie, wyniośle.

I Nikołaj Andriejewicz rozpaczliwie zapragnął wyłożyć, wyjaśnić Iwanowi, że wszystko się zmieniło i że teraz zaczęło się nowe życie, stare oceny zostały przekreślone, a Iwan jest

55

powalony, pokonany i jego gorzki los nie jest sprawą przypadku... Tak, tak, siwy, pechowy student... Co ma za sobą, co go czeka w przyszłości?

I pewnie właśnie dlatego, że tak rozpaczliwie, tak uparcie miał ochotę powiedzieć to Iwanowi, powiedział coś wręcz przeciwnego:

- Aż dziw bierze, jak jest dobrze. W najważniejszym, Wania,

jesteśmy równi. I chcę ci powiedzieć, że jeśli masz poczucie kilkudziesięciu straconych lat, straconego życia, to teraz, kiedy spotykasz ludzi, którzy przeżyli te lata, nie pracując jako drwale czy kopacze, ale pisząc książki i tak dalej, odpędzaj to poczucie! W rzeczach najważniejszych, Wania, jesteś równy tym, którzy przyczyniają się do postępu nauki, którym się powiodło w życiu i pracy.

Nikołaj Andriejewicz poczuł, że ze wzruszenia zadrżał mu głos i ścisnęło się serce.

Zobaczył zmieszanie Iwana, zobaczył, jak znów zamglily się oczy żony.

Kochał przecież Iwana, przez całe życie go kochał. A Maria Pawłowna chyba nigdy tak mocno nie odczuwała moralnej siły męża jak w owej chwili, kiedy chciał pocieszyć nieszczęśliwego Iwana. Ona wszak dobrze wiedziała, kto jest zwycięzcą, a kto zwyciężonym.

Rzecz dziwna, ale nawet owego dnia, kiedy mąż pojechał urzędową limuzyną na lotnisko we Wnukowie, skąd poleciał do Indii, gdzie miał przedstawiać premierowi Nehru delegację uczonych radzieckich, Maria Pawłowna nie odczuwała takiej pełni swojego życiowego triumfu. Tutaj był to triumf zupełnie szczególny - łączył się ze łzami nad poległym synem, z litością i miłością do swego mężczyzny w ciężkich buciorach.

56

- Wania - powiedziała Maria Pawłowna - przygotowałam dla ciebie kompletną garderobę, jesteś przecież tego samego wzrostu co Kola.

Nie była to odpowiednia chwila na rozmowę o starych ubraniach i Nikołaj Andriejewicz przerwał żonie:

- Boże, czy trzeba teraz mówić o takich głupstwach? Oczywiście, Wania, ze szczerego serca.

- Nie o serce tu chodzi - odparł Iwan Grigorjewicz. - Jesteś przecież ze trzy razy cięższy ode mnie.

Marię Pawłownę zabolalo uważne i jakby nieco współczujące spojrzenie Iwana. Widać to, że mąż zachowywał się ze szczególną skromnością, nie pozwalało Wani pozbyć się dawnego pobłażliwego stosunku do Nikołaja.

Iwan Grigorjewicz napił się wódki i na policzki wystąpił mu ciemnobrązowy rumieniec.

Zapytał o starych znajomych.

Przez te kilkadziesiąt lat Nikołaj Andriejewicz nie spotykał większości dawnych przyjaciół Iwana. Niektórzy już nie żyli. Wszystko, co ich niegdyś łączyło - wspólne wzruszenia, sprawy - odeszło; rozbiegły się drogi, znikły żal i smutek związane z tymi, którzy odeszli bez prawa do korespondencji i bez powrotu. Nikołaj Andriejewicz nie miał ochoty o tym wspominać, tak jak człowiek nie ma ochoty zbliżyć się do samotnych, wyschniętych pni, wokół których rozpościera się tylko zakurzona, martwa ziemia. Miał natomiast ochotę mówić o ludziach, których Iwan Grigorjewicz nie znał - z nimi wiązały się wydarzenia jego życia. Opowiadając o nich, niejako zbliżał się do głównego tematu - opowieści o sobie.

Tak, właśnie w takich chwilach powinien się pozbyć inteligentkiego poczucia winy, wrażenia, że nie ma prawa do wszystkich

57

tych cudownych rzeczy, jakie go spotkały. Już nie chciał się kajać, tylko utwierdzać w słuszności wszystkiego, co przeżył. I zaczął opowiadać o ludziach, którzy dobrodusznie nim pogardzali, nie rozumieli go i nie cenili, o ludziach, którym z całego serca gotów jest dzisiaj pomóc.

- Kola - przerwała mu nagle Maria Pawłowna - powiedz Wani o Ani Zamkowskiej.

I oboje od razu wyczuli wzburzenie Iwana Grigorjewicza.

- Ania przecież pisała do ciebie? - zapytał Nikołaj Andriejewicz.

- Ostatni list dostałem osiemnaście lat temu.

- Tak, tak, Ania wyszła za mąż. Mąż jej jest fizykochemikiem, atomistą. Mieszkają w Leningradzie. Wyobraź sobie, że w tym samym mieszkaniu, w którym Ania kiedyś mieszkała u krewnych. Spotykamy ją zwykle na urlopie, jesienią... Dawniej zawsze pytała o ciebie, ale po wojnie, prawdę mówiąc, przestała. Iwan Grigorjewicz odchrząknął, powiedział schrypniętym głosem:

- A ja myślałem, że nie żyje: przestała pisać.

- Tak więc o Mandelsztamie - podjął przerwany wątek Nikołaj Andriejewicz. - Pamiętasz starego Zaozierskiego? Mandelsztam był jego ulubionym uczniem. Zaozierskiego zdjęli w trzydziestym siódmym roku. Jeździł za granicę, często

spotykał się z emigrantami i ludźmi, którzy odmówili powrotu, Ipatjewem, Cziczibabinem... Wracając do Mandelsztama - od razu zaczął się piąć w górę, ale już ci mówiłem, jak to się skończyło: ogłosili go kosmopolitą i takie tam... Wszystko to oczywiście bzdury, ale prawdę mówiąc, dzięki Zaozierskiemu Mandelsztam utrzymywał rzeczywiście ożywione stosunki z europejskimi i amerykańskimi kołami naukowymi.

58

Nikołaj Andriejewicz sądził, że opowiada to wszystko nie ze względu na siebie, ale ze względu na Iwana - przecież Iwan żyje wśród przestarzałych, dziecinnych wyobrażeń, trzeba go wprowadzić w dzień dzisiejszy. Nagle jednak mignęła mu myśl: „Boże, jak głęboko wżarły się we mnie służalczość i obłuda”. Spojrzał na brązowe, spokojne dłonie Iwana i zaczął wyjaśniać:

- Ty pewnie nawet dobrze nie rozumiesz tej terminologii - kosmopolityzm, burżuazyjny nacjonalizm, znaczenie piątego punktu w ankiecie. Kosmopolityzm odpowiada mniej więcej uczestnictwu w spisku monarchistycznym w okresie pierwszego kongresu Kominternu. Choć w obozach widziałeś przecież wszystkich: tych, którzy przyszli na miejsce aresztowanych, także zamykano i stawali się twoimi sąsiadami w baraku. Ale myślę, że to już nam nie grozi: proces wymiany jest skończony. Przez te kilkadziesiąt lat pierwiastek narodowy przeszedł z formy w treść - gigantyczne i proste. Tylko tej prostoty wielu nie może zrozumieć. Wiesz, kiedy człowieka wyrzucają, nie chce przyjąć tego jako prawidłowości historycznej, widzi jedynie niedorzeczność, pomyłkę. Fakt pozostaje jednak faktem. Nasi uczeni, nasi technicy skonstruowali rosyjskie radzieckie samoloty, rosyjskie reaktory jądrowe i urządzenia elektronowe i tej suwerenności powinna odpowiadać suwerenność polityczna - rosyjskość weszła w obszar treści, w bazę, w fundamenty...

Powiedział, że nienawidzi czarnosecińców, a jednocześnie widzi, że Mandelsztam i Chawkin - ludzie niewątpliwie utalentowani, zdolni - byli zaślepieni, uważali, że wszystko, co się dzieje, to judofobia i nic więcej. Tak samo Pyżow, Rodionow i inni nie rozumieli, że tu chodzi nie tylko o prorocstwo

59

i nietolerancję Łysenki, lecz także o naukę narodową, która się rozwija dzięki tym nowym ludziom.

Nagle Nikołaj Andriejewicz poczuł na sobie uważne spojrzenie Iwana Grigorjewicza i w sercu jego drgnął niepokój, jaki ogarniał go w dzieciństwie, kiedy czuł spojrzenie oczu matki i niejasno zdawał sobie sprawę, że mówi niedobrze, nie tak, jak trzeba, nie to, co mówić powinien. Chcąc opanować to mgliste wrażenie, rozprawiał ze szczególną powagą i serdecznością.

- Przeszedłem przez ciężkie próby - oświadczył ze smutkiem. - Przeżyłem ciężkie, surowe czasy! Nie huczałem, oczywiście, jak dzwon Hercena, nie demaskowałem Berii i błędów Stalina, ale nie ma nawet sensu o tym mówić.

Iwan Grigorjewicz spuścił głowę; nie wiadomo było, czy drżenie, czy duma o czymś dalekim, czy rozważa słowa Nikołaja Andriejewicza. Ręce jego wydawały się uśpione, głowę wciągnął w ramiona. Tak samo siedział poprzedniego dnia w pociągu, słuchając towarzyszy podróży.

Nikołaj Andriejewicz ciągnął:

- Źle mi było i za Jagody, i za Jeżowa, a teraz, kiedy nie ma Berii i Abakumowa, i Riumina, i Mierkułowa, i Kobałowa, stanąłem naprawdę na własnych nogach. Przede wszystkim śpię spokojnie. Nie spodziewam się nocnych gości. Zresztą nie tylko ja. I mimo woli przychodzi mi do głowy, że niedaremnie jednak znosiliśmy te ciężkie czasy. Powstało nowe życie, a my wszyscy przyczyniliśmy się w miarę swoich możliwości do jego powstania.

- Kola, Kola - powiedział Iwan Grigorjewicz półgłosem.

Ton jego rozgniewał Marię Pawłownę. Jednocześnie z Nikołajem Andriejewiczem zauważyła współczujący i ponury wyraz twarzy gościa. I z wyrzutem w głosie powiedziała do męża:

60

- Dlaczego się boisz, dlaczego nie powiesz, że Mandelstam i Pyżow to egocentrycy, samoluby? I nie ma co ubolewać, że samo życie pokazało im, gdzie ich miejsce. I chwała Bogu.

Wyrzuty, jakie czyniła mężowi, były właściwie skierowane do gościa. I zaniepokojona brutalnością swoich słów, zmieniła temat.

- Zaraz przygotuję posłanie. Wania musi być bardzo zmę-

czony, nie pomyśleliśmy o tym.

A Iwan Grigorjewicz, zdając sobie już sprawę, że spotkanie z bratem nie przyniosło mu ulgi, ale przygniotło nowym ciężarem, zapytał go nachmurzony:

- Powiedz, proszę, podpisałeś list potępiający lekarzy morderców? Słyszałem o tym liście w obozie od tych, których jednak zdążyli zmienić.

- Mój ty dziwaku kochany... - zaczął Nikołaj Andriejewicz, ale urwał i umilkł.

W serce kolnął go lodowaty smutek, a jednocześnie poczuł, że cały się spocił i dostał wypieków.

- Kochany, zrozum, kochany, przecież my także nie mieliśmy łatwego życia, nie tylko wy tam w obozach.

- Niech Bóg broni, żebym miał ciebie sądzić - pospiesznie odpowiedział Iwan Grigorjewicz. - Ani ciebie, ani was wszystkich zresztą. Jaki tam ze mnie sędzia, coś ty. Nawet wprost przeciwnie...

- Nie, nie, nie to miałem na myśli - odparł Nikołaj Andriejewicz. - Chciałem powiedzieć, że to bardzo ważne, by nawet wśród sprzeczności, wśród dymu i kurzu nie być ślepym, dostrzegać ogrom drogi. Przecież gdy się oślepnie, można zwariować...

61

- Wiesz, moje nieszczęście polega na tym, że chyba się mylę: przenikliwość biorę za ślepotę - odparł Iwan Grigorjewicz ze skruchą.

- Gdzie położymy Wanię? - zapytała Maria Pawłowna. - Gdzie mu będzie wygodniej?

- Nie, nie, dziękuję - pospiesznie odpowiedział Iwan Grigorjewicz. - Nie mogę u was zostać na noc.

- A to dlaczego? Gdzie masz iść? Masza, zwiążmy go.

- Nie trzeba mnie wiązać - powiedział Iwan Grigorjewicz.

Nikołaj Andriejewicz umilkł, sposepniał.

- Bardzo was przepraszam, ale to wcale nie to, po prostu nie mogę, to zupełnie coś innego... - powiedział Iwan Grigorjewicz.

- Wiesz co, Wania - zaczął Nikołaj Andriejewicz i urwał.

Po wyjściu Iwana Grigorjewicza Maria Pawłowna spojrzała na stół zastawiony przekąskami, na odsunięte krzesła.

- Przyjeliśmy go naprawdę po królewsku - powiedziała. -
Lepiej nie przyjmowaliśmy Niesmiejanowów.

To prawda, tym razem, co rzadko się zdarza ludziom skąpym,
Maria Pawłowna przygotowała obiad tak wspaniały, jakiego nie
podają najbardziej rozrzutne gospodynie.

Nikołaj Andriejewicz podszedł do stołu.

- Tak, człowiek szalony pozostaje szalony przez całe życie -
rzekł w zamyśleniu.

Maria Pawłowna ujęła go za skronie i powiedziała, całując
w czoło:

- Nie martw się, nie warto, mój ty niepoprawny idealisto.

5

Iwan Grigorjewicz obudził się o świcie. Leżąc na twardej półce
wagonu, wsłuchiwał się w stukot kół. Uniósł powieki i zaczął
się wpatrywać w mrok przedświtu za oknem...

Przez dwadzieścia dziewięć lat zamknięcia kilkakrotnie wi-
dział we śnie dzieciństwo. Pewnej nocy przyśniła mu się mała
zatoczka - w spokojnej wodzie z drobnymi kamykami na dnie
kilka małych krabów przebiegło bezszelestnie i szybko i skryło
się w wodorostach... Iwan powoli stapał po okrągłych kamie-
niach, czując pod stopami delikatną podwodną trawę; niby
strużka rtęci bryznęły i rozsypały się podłużne kropelki - ma-
lutkie makrele, ostroboki... Słońce oświetlało zielone zarośla
glonów na dnie; wydawało się, że zatoczka jest wypełniona nie
słoną wodą, ale światłem.

Sen ten przyśnił mu się w bydłym wagonie transportu
i choć od tamtej pory minęło ćwierć wieku, Iwan Grigorjewicz
pamiętał rozpacz, jaka go ogarnęła na widok szarego zimowego
światła i szarych twarzy współwięźniów, na odgłos śniegu skrzy-
piącego pod butami za ścianami wagonu i stukotu młotków,
którymi konwojenci uderzali w spód wagonu.

Niekiedy wyobrażał sobie dom rodzinny nad morzem, gałęzie
starej czereśni nad dachem, studnię...

63

Doprowadzając pamięć do dręczącej ostrości, przypominał
sobie połysk grubego liścia magnolii, płaski kamień na środku
strumienia. Przypominał sobie ciszę i chłód w pokojach o bie-
lonych ścianach, wzór na obrusie. I to, jak czytał, siedząc z no-
gami na kanapie - cerata, którą była obita, przyjemnie chłodziła

w upalne letnie dni. Czasami usiłował wyobrazić sobie twarz matki i ścisnęło mu się serce. Mrużył oczy, a pod przymkniętymi powiekami wzbierały mu łzy, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy próbował spojrzeć na słońce.

Góry przypominał sobie szczegółowo i bez wysiłku, jak gdyby kartkował dobrze znaną książkę, która sama się otwiera na potrzebnej stronicy.

Przedzierał się przez zarośla jeżyn i krzywe wiązsy syberyjskie, ślizgając się na kamienistej, żółtoszarej, popękanej ziemi, docierał do przełęcz i obejrzawszy się na morze, wkraczał w chłodny półmrok lasu... Potężne dęby o grubych konarach lekko unosiły pod samo niebo pęki misternie wyciętych liści. Dokoła panowała wilgotna cisza.

W połowie zeszłego stulecia ludność wybrzeża stanowili Czerkiesi.

Stary Grek, ojciec ogrodnika Metodego, widział w dzieciństwie gęsto zaludnione czerkieskie aule, ogrody.

Po podboju wybrzeża przez Rosjan Czerkiesi odeszli i w nadbrzeżnych górach życie zamarło. Wśród dębów rosły tu i ówdzie zgarbione drzewa owocowe, które wróciły do lasu: śliwy, grusze, czereśnie. Ale brzoskwinie i morele znikły - ich krótkie życie dobiegło końca.

W lesie leżały zakopcone, posepne kamienie, resztki rozwalonych pieców, a na opuszczonych cmentarzach ciemniały nagrobki do połowy wrosnięte w ziemię.

64

Ziemia z biegiem lat wchłaniała wszystko, co nie było żywe - kamienie, żelazo; zielone życie natomiast wyrywało się z jej głębi. Przejmująca wydawała się chłopcu cisza nad wystygłymi resztkami ognisk domowych. Wracając do domu, z jakąś szczególną przyjemnością wchłaniał zapach kuchennego dymu, słuchał ujadania psów, gdakania kur. Pewnego razu podszedł do matki, która siedziała przy stole z książką w ręce, objął ją i przytulił głowę do jej kolan.

- Źle się czujesz? - zapytała matka.

- Nie, nic mi nie jest, tak się cieszę - wymamrotał, całując suknię matki. I nagle się rozplakał.

Nie mógł wytłumaczyć mamie tego, co czuł, wydawało mu się, że w leśnym mroku ktoś się skarży, szuka ludzi, którzy

zniknęli, zagląda za drzewa, nasłuchuje głosów czerkieskich pasterzy, płaczu niemowląt, pociąga nosem, próbując wyczuć dym, zapach gorących placków...

I po powrocie z lasu było mu nie tylko przyjemnie, ale i jakoś wstyd cieszyć się urokiem rodzinnego domu.

Matka chyba nie zrozumiała jego wyjaśnień; powiedziała z westchnieniem:

- Głuptasie, trudno ci będzie żyć z takim miękkim, wrażliwym sercem.

Przy kolacji ojciec rzucił, wymieniwszy spojrzenie z matką:

- Wania, wiesz pewnie, że dawniej nasze Soczi nazywało się „Posterunek Dachowski”, a wioski w górach „Pierwsza Kompania”, „Druga Kompania”...

- Wiem - odpowiedział chłopiec i sapnął zniecierpliwiony.

- To miejsca postoju wojsk rosyjskich, żołnierze szli nie tylko ze strzelbami, lecz także z siekierami i łopatami - torowali drogę w zaroślach, wśród których mieszkali dzicy, okrutni górale.

- Ojciec podrapał się w brodę i dodał: - Mówiąc górnolotnie, torowali drogę Rosji, więc zamieszkaliśmy tutaj... Ja, na przykład, przyczyniłem się do zakładania szkół, Jakow Jakowlewicz zakładał winnice i ogrody, a inni budowali szpitale, wytyczali szosy. Postęp wymaga ofiar i nie ma co ubolewać nad tym, co było nieuniknione. Rozumiesz, dlaczego ci o tym mówię?

- Rozumiem - odpowiedział Wania. - Ale sady tu były i przed naszym przyściem, a teraz całkiem zdziczały.

- Tak, tak, synku - przytaknął ojciec. - Wiesz, gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą. Zresztą Czerkiesów nikt stąd nie wypędzał, sami odeszli do Turcji. Mogli zostać i przyjąć kulturę rosyjską. W Turcji zaś cierpieli biedę i wielu zginęło...

Przypomniał sobie minione życie - śniła mu się ziemia rodzinna, słyszał znajome głosy, pies podwórzowy o czerwonych od starczych łez oczach wstawał, by go powitać.

Budził go z tych majaczeń szum tajgi, nad którą przetaczała się zimowa zamieć.

I oto teraz nastały dla niego dni życia na wolności, a on ciągle czeka na powrót czegoś dobrego, młodego.

Tamtego ranka w pociągu obudził się z poczuciem bezna-

dziejnego osamotnienia. Był rozgoryczony po spotkaniu ze stryjecznym bratem, a Moskwa ogłuszyła go i przytłoczyła. Bryły wieżowców, strumień samochodów, sygnały świetlne, tłumy sunące chodnikami - wszystko to było mu obce, wydawało się dziwne. Miasto przypominało ogromny mechanizm, który to staje na czerwony sygnał, to znów rusza na zielony. Rosja widziała wiele wielkich rzeczy w ciągu tysiąca lat swoich dziejów. A w latach władzy radzieckiej zobaczyła zwycięstwa wojenne odniesione na różnych frontach świata, olbrzymie budowy,

66
nowe miasta, tamy przegradzające bieg Dniepru i Wołgi, kanały łączące morza, potężne traktory i drapacze chmur... Jednego tylko nie widziała Rosja przez tysiąc lat - wolności.

Pojechał trolejbusem na południowy zachód Moskwy. Tam wśród wiejskiego błota, niewyschłych wiejskich sadzawek wyrosły ogromne siedmio- i dziewięciopiętrowe wieżowce. Wiejskie chaty, ogródki, szopy szybko znikwały, wypierane przez gigantyczne natarcie kamienia i asfaltu.

W tym chaosie, wśród ryku pięciotonowych ciężarówek zarysowywały się już ulice nowej Moskwy. Iwan Grigorjewicz chodził po powstającym mieście, gdzie nie było jeszcze jezdni ani chodników. Ludzie docierali tam do swoich domostw ścieżkami wijącymi się wśród zwałów śmieci. Na budynkach widniały jednakowe wszędzie szyldy: „Mięso”, „Fryzjer”. O zmierzchu pionowe neony „Mięso” jarzyły się czerwonym światłem, neony „Fryzjer” świeciły jaskrawą zielenią.

Neony te, które się tutaj zjawiały z pierwszymi lokatorami, jakby ukazywały cielesną istotę człowieka.

Mięso, mięso, mięso... Człowiek żarł mięso... Życie nie mógł bez mięsa. Nie było tu jeszcze bibliotek, teatrów, kin, pracowni krawieckich, nie było nawet szpitali, aptek, szkół, ale od razu, natychmiast, zapalił się czerwonym ogniem wśród kamieni napis: mięso, mięso, mięso...

I tuż obok szmaragd szyldów fryzjerskich: człowiek jadł mięso i obrastał sierścią.

w nocy Iwan Grigorjewicz przyszedł na dworzec, a dowiedziawszy się, że o drugiej odchodzi ostatni pociąg do Leningradu, kupił bilet i wziął rzeczy z przechowalni.

67

Zdziwił go spokój, jaki go ogarnął od razu, kiedy się znalazł w zimnym, pustym wagonie.

Pociąg jechał przez przedmieścia Moskwy, za oknami migały ciemne, jesienne lasy i polany. Iwan Grigorjewicz poczuł się lepiej na samą myśl, że wyślizguje się z moskiewskiego elektrycznego, kamiennego i samochodowego ogromu, że nie słucha wywodów stryjecznego brata o rozumnym biegu historii, która zrobiła miejsce dla Nikołaja Andriejewicza.

Na polerowanej ławce jak na wodzie załśnił odblask latarki.

- Ma pan bilet, ojczulku? - zapytała konduktorka.

- Mam. Już pokazywałem.

Przez długie lata myślał o godzinie, kiedy po wyjściu na wolność spotka się ze stryjecznym bratem, jedynym człowiekiem na świecie, który znał go w dzieciństwie, znał jego rodziców, ale nie zdziwił go spokój i lekkość, jakie odczuł w wagonie nocnego pociągu.

Z rana obudził się z poczuciem całkowitej samotności, jakiej - zdawało mu się - nie może doznać istota oddychająca powietrzem ziemi.

Jechał do miasta, w którym upłynęły jego lata studenckie, w którym mieszkała kobieta, którą kochał.

Kiedy przed wieloma laty przestała pisać, opłakiwał ją, nie wątpił, że tylko śmierć mogła położyć kres ich korespondencji.

Ale ona nie umarła, żyła.

6

Iwan Grigorjewicz spędził w Leningradzie trzy dni. Dwa razy krążył w pobliżu uniwersytetu, pojechał na Ochotę, do Instytutu Politechnicznego, szukał ulic, przy których mieszkali niegdyś jego znajomi, i nie znajdował ani tych ulic, ani domów zburzonych podczas blokady, a jeśli nawet znajdował je czasem, na czarnych tablicach wywieszonych w bramach nie było znajomych nazwisk.

Chodził ulicami czasem spokojny, roztargniony - otaczały go twarze z więzienia, rozmowy obozowe, a czasem - ugodzony jakimś wspomnieniem młodości - długo stał przed znajomym domem, na znajomym rogu. Był w Ermitażu, ale wyszedł znużony i obojętny. Czy to możliwe, że obrazy pozostawały tak piękne przez wszystkie te lata, podczas których on się starzał w obozie? Dlaczego się nie zmieniły, dlaczego nie postarzały się

te cudowne Madonny, dlaczego oczy nie oślepiły im od łez? Może ta wiecznotrwałość i ta niezmiennność stanowią ich słabość, a nie potęgę? Może w ten sposób sztuka zdradza człowieka, który ją stworzył?

Pewnego dnia szczególnie poruszyło go nagle wspomnienie. Samo wydarzenie było zupełnie przypadkowe i błahe: pomógł kiedyś starej kulawej kobiecie wnieść koszyk na trzecie piętro,

69
a gdy zbiegł potem na dół po ciemnych schodach, zamarł nagle ze szczęścia - wiosna, kałuże, marcowe słońce!

Podszedł do domu, w którym niegdyś mieszkała Ania Zamkowska. Wydawało mu się niemożliwe, że zobaczy znowu wysokie okna, ściany oblicowane granitem, bielejące w półmroku marmurowe schody, metalową siatkę wokół windy. Ileż razy wspominał ten dom! Odprowadzał tu Anię po nocnych spacerach, stał zazwyczaj na dole i czekał, aż w jej oknie zapali się światło. Ania mówiła: „Jeśli wrócisz z wojny niewidomy, bez nóg i rąk, to i tak będę szczęśliwa, nie przestanę cię kochać”. Zobaczył kwiaty w uchylonym oknie. Postać chwilę pod bramą i odszedł. Serce biło mu spokojnie - tam, za drutami, kobieta, którą uważał za zmarłą, była mu bliższa niż dzisiaj, kiedy stał pod jej oknem.

Poznawał miasto i nie poznawał go. Wiele rzeczy wydawało mu się takimi samymi jak dawniej, jak gdyby zaledwie kilka godzin temu szedł tymi ulicami, ale niektóre dopiero niedawno powstały - domy, ulice, a na miejscu tego, co znikło, nie było nic. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że nie tylko miasto się zmieniło, on także się zmienił. Interesowało go co innego niż dawniej, inne było też jego poszukujące spojrzenie.

Widział teraz w mieście to, czego dawniej nie dostrzegał, jak gdyby przeniósł się z jednego piętra życia na inne. Ukazały mu się bazary z ciuchami, komisariaty milicji, biura paszportowe, knajpy, biura pośrednictwa pracy, ogłoszenia o werbunku siły roboczej, szpitale, poczekalnie dworcowe dla podróżnych czekających na pociąg... A świat afiszów teatralnych, filharmonii, antykwariatów z książkami, stadionów, audytoriów uniwersyteckich, czytelni i sal wystawowych przestał dla niego istnieć, przeszedł do czwartego wymiaru.

Dla człowieka dotkniętego chroniczną chorobą istnieją w mieście tylko apteki i szpitale, przychodnie i komisje lekarskie. Dla pijaka miasto składa się z jednej półlitrowki na trzech. Dla zakochanego zaś miasto to tylko wskazówki zegarów miejskich pokazujące godziny randek, ławki na bulwarach, dwukopiejkowe monety do automatów telefonicznych. Niegdyś na ulicach tych spotykał wszędzie znajomych, okna kolegów świeciły się wieczorami. Teraz z więziennej pryczy uśmiechały się do niego znajome oczy, a blade wargi mówiły szeptem:

- Cześć, Iwanie Grigorjewiczu!

Tutaj, w tym mieście, znał niegdyś ekspedientów w księgarniach i sklepach spożywczych, gazeciarzy z kiosków i sprzedawczynie papierosów.

W Workucie podszedł do niego nadzorca i powiedział:

- Znam cię, byłeś w etapowym, w Omsku.

Dziś w wielotysięcznym tłumie leningradczyków Iwan Grigorjewicz nie widział znajomych twarzy i nie dostrzegał nic znajomego u nieznajomych. W ogólnym wyglądzie ludzi zaszły ogromne zmiany.

Widoczne i niewidoczne więzy znikły, zostały zerwane - zerwał je czas, masowe zesłania po zabójstwie Kirowa. Zerwały je burze, zasypały śniegi i kurz Kazachstanu, zniweczył pomór blokady, nie ma tych więzów - Iwan Grigorjewicz szedł ulicami Leningradu samotny, obcy...

Wędrówka milionowych mas ludzkich doprowadziła do tego, że na ulicach Leningradu roilo się od przybyszów z głębi kraju, ludzi o jasnych oczach i wystających kościach policzkowych, a w barakach obozowych Iwan Grigorjewicz raz po raz natykał się na grasejujących petersburżan o smutnym spojrzeniu.

71

Prospekt Newski i zabita dechami wieś ruszyły ku sobie, mieszały się nie tylko w autobusach i mieszkaniach, lecz także na stronicach książek i pism, w salach konferencyjnych instytutów naukowych. Iwan Grigorjewicz poczuł atmosferę koszar obozowych, patrząc na okna leningradzkiego komisariatu milicji, słuchając przy wspaniale zastawionym stole wywodów swojego stryjecznego brata, przyglądając się wywieszce biura paszportowego... Wydało mu się nagle, że drut kolczasty już nie

jest potrzebny: życie na swobodzie zostało w swojej najgłębszej istocie zrównane z obozowym barakiem.

W ogromnym kotle osnutym kłębam ognistego dymu i parą wrzało, bulgotało, i niejeden sądził, że tylko on rozumie, jakie prawo rządzi tym wrzeniem, wie, jak nawarżono w tym kotle piwa i kto ma je wypić.

Iwan Grigorjewicz w swych żołnierskich buciorach znalazł się znowu przed Jeźdźcem Miedzianym o bosych jak bóstwo stopach i głowie przystrojonej laurowym wieńcem. Kiedy przechodził tędy przed trzydziestu laty jako młody człowiek, Piotr z brązu był potężny. Oto wreszcie spotkanie z kimś znajomym.

Chyba ani przed trzydziestu, ani przed stu trzydziestu laty, kiedy Puszkina przyprowadził na ten plac swojego bohatera, wspaniała Piotr nie tchnął takim majestatem jak dzisiaj. Nie było na świecie siły większej niż ta, którą on uosabiał, wyrażał całą swoją postacią - majestatycznej siły wielkiego państwa.

Siła ta rosła, wzmagala się, panowała nad polami, fabrykami, biurkami poetów i uczonych, nad budową kanałów i tam, nad kamieniołomami, nad tartakami i wyrębami; potęga ta mogła ogarnąć i ogromne przestrzenie, i ukryte głęboko serca ludzi nią urzeczonych, składających jej w dani swoją wolność, a nawet samo pragnienie wolności.

72

- Sankt Petersburg, sanpunkt, Sankt Petersburg, sanpunkt - powtarzał Iwan Grigorjewicz.

Niedorzeczne podobieństwo tych słów zdawało się wyrażać ukryty związek między wielkim jeźdźcą a obozowym nędzarzem.

Iwan Grigorjewicz nocował na dworcu w poczekalni dla podróżnych jadących tranzytem. Wydawał najwyżej dwa ruble dziennie i nie spieszył się z opuszczeniem Leningradu.

Trzeciego dnia natknął się na znajomego, o którym często myślał w obozie.

Rozpoznali się od razu, choć Iwan Grigorjewicz wcale nie był podobny do studenta trzeciego roku, a Witalij Antonowicz Piniegin w popielatym palcie i pilśniowym kapeluszu nie przypominał ani trochę młodzieńca w wytartym studenckim mundurze.

Na widok osłupiałego ze zdumienia Piniegina Iwan Grigor-

jewicz powiedział:

- Co, myślałeś, że dawno nie żyję?

Piniegin rozłożył ręce.

- Przecież już z dziesięć lat temu mówiono, żeś ty tego...

Piniegin patrzył żywymi, inteligentnymi oczami, wpatrywał się w samą głąb oczu Iwana Grigorjewicza.

- Bądź spokojny - odparł Iwan Grigorjewicz. - Nie przybyłem z tamtego świata i nie uciekłem z katorgi, co byłoby jeszcze gorsze. Tak samo jak ty mam dowód osobisty i inne potrzebne rzeczy.

Te słowa oburzyły Piniegina:

- Spotykając starego kolegę, nie pytam, czy ma dowód osobisty. Ten zaszedł daleko, ale pozostał w głębi serca równym chłopem.

73

O czymkolwiek mówił - o swoich synach, o tym, że Iwan Grigorjewicz bardzo się zmienił, „ale od razu cię poznałem” - oczy jego jak urzeczony chciały obserwować dawnego kolegę.

- Tak więc to wygląda, z grubsza biorąc - powiedział Piniegin. - Cóż mam ci jeszcze opowiedzieć?

„Lepiej byś opowiedział...” - Piniegin zamarł na chwilę, ale Iwan Grigorjewicz nic takiego oczywiście nie powiedział.

- O tobie nic przecież nie wiem - rzucił Piniegin.

I znów chwila oczekiwania, czy Iwan Grigorjewicz nie odpowie na to: „Umiałeś przecież sam opowiadać o mnie, kiedy było trzeba, cóż ja tobie mam opowiadać?”

Ale Iwan Grigorjewicz nic nie odpowiedział i machnął ręką. Piniegin nagle zrozumiał: Wańka nic nie wie i nie może wiedzieć. Nerwy, nerwy... Że też właśnie dzisiaj wysłał samochód do przeglądu! Jakoś niedawno przypomniał sobie Iwana i pomyślał - a nuż jakiś krewny uzyska jego pośmiertną rehabilitację. Przeniesienie z martwych dusz do żywych! I oto nagle, w biały dzień, on - Iwan, Wania! Trzydzieści lat tam odbębnił i w kieszeni ma pewnie papier: „Wobec braku cech przestępstwa”. Spojrzał znów w oczy Iwanowi Grigorjewiczowi i ostatecznie uznał, że Iwan o niczym nie wie. Zawstydził się swoich palpacji, zimnego potu, mało przecież brakowało, a wybuchnąłby płaczem, zaniósłby się szlochom jak dziecko.

Pewność, że Iwan nie plunie mu w twarz, nie zażąda wyjaśnień, sprawiła Piniegina w euforię. Z niezupełnie zrozumiałą dla siebie samego wdzięcznością powiedział:

- Posłuchaj, Iwanie, tak po prostu, po robociarsku, mój ojciec był przecież kowalem, może ci trzeba pieniędzy? Wierz mi, po koleżeńsku, ze szczerego serca...

74

Iwan Grigorjewicz bez wyrzutu, z żywą, smutną ciekawością spojrział wprost w oczy dawnemu koledze i ten przez króciutką chwilę, zaledwie przez ułamek sekundy, miał wrażenie, że i order, i daczę, i władzę, i siłę, i piękną żonę, i udanych synów badających jądro atomu - wszystko to warto oddać, byleby nie czuć na sobie tego spojrzenia.

- No, bądź zdrow, Piniegin - powiedział Iwan Grigorjewicz i ruszył w stronę dworca.

7

Kto jest winien, kto będzie odpowiadał...

Trzeba się zastanowić, nie należy się spieszyć z odpowiedzią. Oto są: fałszywe ekspertyzy techniczne i literackie, przemówienia demaskujące wrogów ludu, oto serdeczne rozmowy i przyjacielskie wyznania przełożone na język donosów i raportów składanych przez tajnych współpracowników - donosicieli i informatorów.

Donosy poprzedzały nakaz aresztowania, towarzyszyły dochodzeniu, miały wpływ na wyrok. Megarony kłamliwych donosów decydowały o wpisaniu na listy rozkułaczonych, pozabawionych prawa głosu, dowodu osobistego, zsyłanych, rozstrzeliwanych.

Na jednym końcu łańcucha dwaj ludzie rozmawiali przy stole, popijając herbatę, po czym przy świetle lampy pod przytulnym abażurem pisano inteligentnie przyznanie się do winy, albo na zebraniu kołchozu prosto i rzeczowo przemawiał aktywista, a na drugim końcu łańcucha były oszalałe oczy, odbite nerki, roztrzaskana kulą czaszka, trupy zmarłych na szkorbut w byle jak skleconej obozowej kostnicy, odmrożone w tajdze, zropiałe i zgangrenowane palce u nóg.

Na początku było słowo... Zaiste.

76

Co robić z nikczemnymi donosicielami?

Oto po dwunastu latach wrócił z obozu człowiek, ręce mu drżą, oczy ma zapadnięte jak męczennik: Judasz numer jeden. I wśród jego przyjaciół pobiegł szept - podobno w swoim czasie źle się zachowywał podczas przesłuchań. Niektórzy przestali mu się kłaniać. Ludzie nieco mądrzejsi grzecznie z nim rozmawiają przy spotkaniu, ale nie zapraszają do siebie do domu. Ci jeszcze mądrzejsi, co szerzej, głębiej patrzą na rzeczy, zapraszają go do siebie, ale nie otwierają przed nim serca, zamknęli je na cztery spusty.

Wszyscy mają dacje, książeczki oszczędnościowe, ordery, samochody. On oczywiście jest chudy, a oni tłuści, ale oni nie zachowywali się źle na przesłuchaniach. Właściwie nawet nie mogli, bo nikt ich nie przesłuchiwał. Mieli szczęście i nie zostali aresztowani. Na czym w takim razie polega wyższość moralna tych tłustych nad tymi chudymi? Przypadek czy prawidłowość - co zdecydowało o ich losie?

On był zwykłym człowiekiem. Pił herbatę, jadł jajecznicę, lubił rozmawiać z przyjaciółmi o przeczytanych książkach, chodził do Moskiewskiego Teatru Artystycznego, czasem spełniał dobre uczynki. Tyle że był bardzo wrażliwy, nerwowy i brakowało mu pewności siebie.

A naciskali go mocno, nie tylko mu wymyślali, nie tylko go bili i nie pozwalali, by zasnął, nie tylko karmili go śledziami i nie dawali wody. I straszili karą śmierci. Ale co tu gadać - zrobił rzecz straszną - oszkalował człowieka niewinnego. Co prawda tamten, którego oszkalował, nie został aresztowany, a ten, którego zmuszono, by szkalował, dwanaście lat spędził - niewinny - w obozie, wrócił ledwie żywy, złamany, nędzarz, trzy ćwierci do śmierci. Ale przecież szkalował...

77

Nie spieszmy się, zastanówmy się poważnie nad tym donosicielem.

Ale oto Judasz numer dwa. Ten nawet jednego dnia nie spędził w więzieniu. Uchodził za człowieka wybitnie inteligentnego i doskonałego mówcę, a tu po powrocie z obozu ledwie żywi ludzie opowiedzieli, że jest TW. Przyczynił się do zguby wielu osób. Przez długie lata prowadził szczerze rozmowy z przyjaciółmi, a potem składał władzom raporty. Nie stosowano tortur, by wymusić od niego zeznania, sam przejawiał wielką

pomysłowość, niepostrzeżenie podsuwał swoim rozmówcom niebezpieczne tematy. Dwie oszkalowane przez niego osoby nie wróciły z obozu, jedna została rozstrzelana z wyroku kolegium wojskowego. Te jego ofiary, które z obozu wróciły, nabawiły się najróżnorodniejszych chorób, przy których najbardziej bezlitośna komisja lekarska przyznaje inwalidztwo pierwszej grupy. On zaś wyhodował brzusek, zasłynął jako smakosz i znawca gruzińskich win. I pracował w dziedzinie sztuk pięknych, zebrał kolekcję unikatowych wydań starodawnej poezji...

Nie spieszmy się jednak, zastanówmy się, zanim wydamy wyrok.

Przecież od najmłodszych lat żył w ciągłym strachu - ojciec jego, człowiek zamożny, w 1919 roku zmarł w obozie na tyfus plamisty, ciotka wyemigrowała z mężem do Paryża, starszy brat walczył w szeregach Białej Armii. A on od dzieciństwa żył w przerażeniu. Matka panicznie się bała milicji, administratora domu, głównego lokatora, urzędników rady miejskiej. Co dzień i co godzinę on i jego najbliżsi czuli swoją klasową ograniczoność i klasową skazę... W szkole drżał przed łagodną drużynową

78
pionierów Galę, która - jak mu się zdawało - patrzyła na niego ze wstrętem jak na obrzydliwego robaka. Umierał ze strachu, że Gala może zauważyć jego rozkochane spojrzenie.

Niektóre rzeczy można zrozumieć. Urzekła go potęga nowego świata, niczym ptaszek wpatrywał się swoimi miłymi oczętami w promienne oczy powszechnej odnowy. Tak pragnął się włączyć, dostąpić zaszczytu! Więc nowy ład go przygarnął. Wróbelek nawet nie pisnął, nie zatrzepotał skrzydełkami, kiedy się okazało, że groźny świat potrzebuje go, potrzebuje jego inteligencji i wrodzonego wdzięku. Złożył wszystko na ołtarzu Ojczyzny.

Tak, to święta prawda! Ale postępował nikczemnie! Jakimż okazał się nikczemnikiem! I donosząc, nie zapomniał o sobie - dobrze jadł, korzystał z przyjemności życia. Był jednak bardzo bezbronny, takiemu trzeba niańki, żonusi. Jak miał dać sobie radę z potęgą, która przytłoczyła pół świata, wyróciła do góry nogami całe imperium. A on ze swoją trwożną delikatnością był jak cieniutka koroneczka, ledwie ktoś go dotknął, gubił się, patrzył żałośnie.

I oto okazało się, że śmiercionośny bagienny gad podpełzał

ukradkiem i przyczynił ludziom niemało udręki.

A gubił przecież takich samych jak on, swoich starych przyjaciół, miłych, skrytych, inteligentnych, nieśmiałych. On jeden wiedział, jak do nich podejść. Rozumiał przecież wszystko - płakał, czytając Archijereja Czechowa.

Zaczekajmy jednak, zastanówmy się - nie potępiajmy go bez zastanowienia.

A oto nowy towarzysz - Judasz numer trzy. Ma ostry głos, lekko ochrypy jak u starego bosmana. Badawcze, spokojne
79

spojrzenie. Pewność siebie króla życia. Rzucają go raz do pracy ideologicznej, raz do uprawy owoców i warzyw. Dane personalne ma białe jak śnieg, aż się świecą. Rodzina - robotnicy fabryczni i biedota wiejska z dziada pradziada.

W 1937 roku człowiek ten napisał z rozpędu, za jednym zamachem, przeszło dwieście donosów. Urozmaicona jest ta krwawa lista. Komisarze z czasów wojny domowej, poeta-pieśniarz, dyrektor odlewni żelaza, dwóch sekretarzy komitetu rejonowego, bezpartyjny stary inżynier, trzech redaktorów - jeden z gazety, dwóch z wydawnictwa, kierownik stołówki specjalnej, wykładowca filozofii, profesor botaniki, ślusarz z administracji domu, dwóch pracowników obwodowego wydziału rolnego...

Wszystkich niepodobna wyliczyć.

Donosy jego dotyczyły zawsze ludzi radzieckich, a nie tak zwanych byłych. Ofiarami jego byli członkowie partii, bojownicy wojny domowej, aktywiści. Wyspecjalizował się zwłaszcza w partyjnych o zacięciu fanatycznym - zwawo ciął ich śmiercionośną brzytwą po oczach.

Z tych dwustu wróciło niewielu - jedni od razu zostali rozstrzelani, drudzy wykończyli się w łagrach - zmarli na dystrofię, zginęli podczas czystek w obozach. Ci, co wrócili - okaleczeni na duchu i ciele - jakoś wegetują na wolności.

Dla niego zaś rok 1937 był okresem triumfu. Był przecież prawie niepiśmiennym, choć bystrym chłopakiem, wszyscy wokół wydawali się więcej warci od niego, mieli lepsze wykształcenie i bohaterską przeszłość. Do pięt nie dorastał tym, co rozpoczęli rewolucję i doprowadzili do jej zwycięstwa. Ale z jakąś fantastyczną wprost łatwością od jednego jego dotknięcia padały dziesiątki ludzi okrytych rewolucyjną chwałą.

Od roku trzydziestego siódmego zaczął szybko iść w górę. W nim właśnie ujrano owo coś - najcenniejszą istotę nowego ładu.

Jeśli idzie o niego, wszystko wydaje się jasne - na ludzkich kościach, na straszliwych mękach wyrósł ten deputowany Rady Najwyższej i członek Biura Politycznego.

Ale nie, tu też nie należy się spieszyć, trzeba zbadać sprawę, zastanowić się, zanim się wyda wyrok. Nie wiedział bowiem, co czyni.

Starsi mentorzy powiedzieli mu kiedyś w imieniu partii:

„Biada nam! Jesteśmy otoczeni przez wrogów! Przywdziali maskę sprawdzonych towarzyszy, bojowników konspiracji, uczestników wojny domowej, ale to wrogowie ludu, agenci obcego wywiadu, prowokatorzy...”. Partia mówiła mu: „Jesteś młody i czysty, mam do ciebie zaufanie, chłopcze, pomóż mi, bo zginę bez ciebie, pomóż mi pokonać to plugastwo”.

Partia krzyczała na niego, tupiała stalinowskimi butami: „Jeśli zabraknie ci zdecydowania, staniesz w jednym szeregu z tamtymi wyrodkami i zmiążdżę cię na proch! Przypomnij sobie, sukinsynu, kurną chatę, w której się urodziłeś. Ja prowadzę cię do światła: czcuj posłuszeństwo. Wielki Stalin, ojciec twój, rozkazuje ci: «Huzia na nich!»”.

Nie, nie, nie załatwiał porachunków osobistych. On, wiejski komsomolec, nie wierzył w Boga. Ale miał w sobie inną wiarę - wiarę w bezwzględność karzącej ręki wielkiego Stalina. Miał w sobie bezgraniczne posłuszeństwo człowieka wierzącego. Miał w sobie pokorną wdzięczność wobec potężnej siły i jej genialnych przywódców - Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. On, żołnierz wielkiego Stalina, wypełniał jego rozkazy.

Ale żyła w nim także, oczywiście, biologiczna wrogość, instynktowny, ukryty wstręt do ludzi rewolucyjnego pokolenia - inteligentnych fanatyków, na których go szczuto.

Spełniał swoją powinność. Nie załatwiał z nikim porachunków, pisał donosy wiedziony instynktem samozachowawczym. Pracował, by zdobyć kapitał cenniejszy od złota i dóbr tej ziemi - zaufanie partii. Wiedział, że w życiu radzieckim mieć zaufanie partii to mieć wszystko: siłę, zaszczyty, władzę.

I wierzył, że jego kłamstwa służą wyższej prawdzie, dostrzegał w donosie prawdę.

Czyż można go za to winić, skoro nie takie głowy nie zdołały się połapać, gdzie jest kłamstwo, a gdzie prawda, skoro nawet czyste serca nie mogły pojąć, co jest dobrem, a co złem?

On przecież wierzył, ściślej mówiąc - chciał wierzyć, ściślej mówiąc - nie mógł nie wierzyć.

Coś w tej ciemnej sprawie było mu niemiłe, ale przecież - powinność! Ale też coś w tej strasznej sprawie podobało mu się, upajało, wciągało. „Pamiętaj - mówili mu mentorzy. - Nie masz ani ojca, ani matki, ani braci, ani sióstr - masz tylko partię”. I wzbierało w nim dziwne, drażniące uczucie: bezmyślność, posłuszeństwo nie pozbawiały go sił, lecz obdarzały groźną potęgą.

A w jego złych generalskich oczach, w jego władczym, ostrym głosie coraz to migały cienie zupełnie innej, ukrytej w nim głębokoko natury - oszołomionej, ogłupiałej, wykarmionej wiekami rosyjskiej niewoli, azjatyckiego bezprawia...

Tak, tak, tutaj też trzeba będzie się zastanowić. Wykonać wyrok na strasznym człowieku to także rzecz straszna.

82

A oto nowy towarzysz - Judasz numer cztery.

To lokator komunalnych mieszkań, skromny urzędnik, aktywista kołchozowy. Kimkolwiek jednak jest - twarz ma zawsze taką samą. Czy jest młody, czy stary, brzydki czy dorodny i rumiany jak bohater rosyjskich baśni ludowych, od razu można go poznać... To mieszczanin, chciwy posiadacz, fanatyk dóbr materialnych. Fanatyzm, z jakim zdobywa wersalkę, kaszę gryczaną, polską serwantkę, deficytowe materiały budowlane, importowane tekstylia, dorównuje siłą fanatyzmowi Giordana Bruna i Andrieja Żelabowa.

To twórca imperatywu kategorycznego przeciwstawnego Kantowskiemu; człowiek, człowieczeństwo są dla niego zawsze jedynie środkiem w ustawicznym polowaniu na rzeczy. Jego oczy - jasne i ciemne - mają zawsze ten sam obrażony i rozdrażniony wyraz. Zawsze ktoś nastąpił mu na odcisk, zawsze ma z kimś porachunki.

Pasja, z jaką państwo dąży do zdemaskowania wrogów ludu, jest dla niego błogosławieństwem - jak pasat wiejący nad oce-

anem. Potężny pomyślny wiatr wypełnia jego mały żółty żagiel. Ten człowiek za cenę cierpień ludzi, których gubi, zdobywa wszystko, czego mu trzeba: dodatkowy metraż mieszkaniowy, podwyżkę pensji, chałupę sąsiada, komplet polskich mebli, ocieplony garaż dla swojego moskwicza, ogródek...

Człowiek ten gardzi książkami, muzyką, piękną przyrodą, miłością, matczyną czułością. Rzeczy, tylko rzeczy.

Ale i on nie zawsze kieruje się tylko względami materialnymi.

Łatwo się obraża i długo pamięta krzywdy.

Pisze donos na kolegę z pracy, który tańczył z jego małżonką i o którego był zazdrosny, na dowcipnisia, który żartował z niego

83

obrońca: Tak, takie wypadki zdarzały się, rzeczywiście, to były skutki pomyłki. Ale przecież tylko Bóg nie myli się nigdy. Zresztą proszę sobie przypomnieć, jak rzadkie bywały uniewinnienia, a więc i pomyłki.

oskarżyciel: Tak, donosiciele i tajni współpracownicy znali swoją robotę. Powiedzcie mi jednak, dlaczego donosiliście?

donosiciele i tw: Zmuszono mnie... Bito... A mnie za-hipnotyzował strach, potęga bezgranicznej przemocy... Jeśli chodzi o mnie - spełniałem swój obowiązek partyjny, tak jak wtedy go rozumiałem.

oskarżyciel: A dlaczego wy nic nie mówicie, czwarty towarzyszu?

judasz numer cztery: Co tam ja, dlaczego mnie się cze-piacie, jestem ciemny człowiek, łatwiej mnie skrzywdzić niż ludzi wykształconych, uświadomionych.

obrońca (przerywając mu): Przepraszam, może ja wyjaśnię. Mój klient rzeczywiście donosił dla korzyści osobistych. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że w danym wypadku korzyść osobista nie pozostawała w sprzeczności z korzyścią państwa. Państwo nie odrzucało donosów mojego klienta, a więc z punktu widzenia państwa wykonywał on dobrą robotę, choć na pierwszy rzut oka może się wydać, że rzeczywiście donosił tylko ze względów egoistycznych, z pobudek czysto osobistych. I jeszcze jedno. Za czasów Stalina zostalibyście oskarżeni, towarzyszu oskarżycielu, o niedocenianie roli państwa. Czy wiecie, że pola siły stworzone przez nasze państwo, jego masa o ciężarze trylionów ton, potworne przerażenie i potworna

pokora, które państwo budzi w marnym puchu, jakim jest człowiek, są tak wielkie, że wobec nich tracą sens wszelkie oskarżenia skierowane przeciw słabemu, bezbronnemu

86

człowiekowi. To doprawdy śmieszne - zarzucać puchowi, że spada na ziemię.

oskarżyciel: Rozumiem wasz punkt widzenia: nie chcecie, by ludzie, których bronicie, wzięli na siebie bodaj najmniejszą część winy. Jedynie państwo. Proszę jednak powiedzieć, tajni współpracownicy i donosiciele, czy to możliwe, żebyście się nie czuli ani trochę winni?

tw i donosiciele (wymieniają spojrzenia, naradzają się szeptem, wreszcie głos zabiera wykształcony TW): Chciałbym odpowiedzieć. Pańskie pytanie mimo pozornej prostoty wcale nie jest takie proste. Przede wszystkim jest w ogóle pozbawione sensu, ale to właśnie nie ma znaczenia. Rzeczywiście, po co teraz szukać winnych zbrodni popełnionych za czasów Stalina? To tak samo jakby po przeniesieniu się z Ziemi na Księżyc wszczynać proces o działki przyzagrodowe. Z drugiej strony, jeśli weźmiemy pod uwagę, że te epoki nie są właściwie bardzo odległe jedna od drugiej i - jak powiedział poeta - na przestrzeni wieków znajdują się niemal obok siebie, dostrzeżemy sporo innych komplikacji. Dlaczego chcecie koniecznie demaskować nas, ludzi słabiutkich? Zaczynjcie od państwa, wytoczcie proces państwu. Przecież nasz grzech jest jego grzechem, wytoczcie więc proces państwu. Odważnie, pełnym głosem! Nie możecie postąpić inaczej, musicie działać odważnie, przemawiacie przecież w imieniu prawdy. A więc do dzieła! Ponadto, powiedzcie proszę, dlaczego opamiętaliście się dopiero teraz? Znaliście nas wszystkich za życia Stalina. Chętnie spotykaliście się z nami, czekaliście na przyjęcie pod drzwiami naszych gabinetów, niekiedy tylko cichutko szeptaliście coś na nasz temat. Ale myśmy także bardzo cicho szeptali. Tak samo jak my uczestniczyliście w dziele Stalina.

87

Czemuż to wy, którzy żyliście w tej epoce, macie sądzić nas, współwinnych? Rozumiecie, na czym polega komplikacja? Może nawet nie jesteśmy bez winy, ale nie ma sędziego, który by miał moralne prawo orzekać o naszej winie. Pamię-

tacie, jak to jest u Tołstoja: nie ma na świecie winowajców!
A w naszym państwie istnieje nowa formuła: wszyscy jesteśmy
winni i nie ma na świecie ani jednego niewinnego. Chodzi
o skalę, o stopień winy. Czy godzi się, byście nas oskarżali,
towarzyszu prokuratorze? Tylko zmarli, tylko ci, co nie przeżyli,
mają prawo nas sądzić. Ale zmarli nie zadają pytań, zmarli
milczą. Pozwólcie więc, że odpowiemy na wasze pytania także
pytaniem. Po ludzku, po prostu, od serca, zgodnie z rosyjskim
zwyczajem. Co spowodowało tę podłą, ogólną, naszą i waszą
słabość, uległość?

oskarżyciel: Uchylacie się od odpowiedzi.

(Wchodzi sekretarz, podaje wykształconemu TW kopertę, mówiąc
„Rządowy”.)

wykształcony tw (przeczytawszy papier, podaje go oskarżycie-
lowi): Proszę bardzo - w związku z moim sześćdziesięcioleciem
wymienione tu są moje nader skromne zasługi na polu nauki
o czystej.

oskarżyciel (po przeczytaniu papieru): Nie mogę wam nie
pogratulować, to odruch. Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi
radzieckimi.

wykształcony tw: Tak, tak, oczywiście, dziękuję (mamrocze
pod nosem). Proszę, by wolno mi było podziękować za pośred-
nictwem waszej gazety... instytucjom, organizacjom, a także
towarzyszom i przyjaciołom...

obrońca {przybiera uroczystą pozę i wygłasza przemówienie):
Towarzyszu oskarżycielu i wy, panowie przysięgli! Towarzysz
88

prokurator zarzucił mojemu klientowi, że uchylił się od odpo-
wiedzi na pytanie, czy uznaje się za winnego bodaj w jakimś
stopniu. Ale przecież wy także nie odpowiedzieliście mu, co
spowodowało naszą powszechną uległość. Może sama ludzka
natura stworzyła donosicieli, prowokatorów, szpicli? Może two-
rzą ich gruczoły wydzielania wewnętrznego, zawartość jelit,
bulgot gazów żołądkowych, błona śluzowa, praca nerek, może
działają pod wpływem pozbawionych wzroku i powonienia
instynktów życia, samoobrony, zachowania gatunku.

Ach, przecież to wszystko jedno, czy szpicle są winni, czy nie.
Jakkolwiek rzeczy się mają, wstrętne jest to, że szpicle w ogóle
są. Ohydna jest zwierzęca, roślinna, mineralna, fizyczno-

-chemiczna strona człowieka. Z tej właśnie śluzowatej, obrośniętej sierścią, przyziemnej strony istoty ludzkiej wywodzą się donosiciele. Donosiciele wyłaniają się z człowieka. Gorąca para strachu przed państwem rozgrzała rodzaj ludzki i drzemiące w nim ziarenka napeężniały, ożyły. Państwo to gleba. Jeśli w glebie nie kryją się ziarna, nie wyrosnie na niej ani pszenica, ani chwasty. Człowiek jest osobiście odpowiedzialny za istnienie ludzkiej zgnilizny.

Ale czy wiecie, co jest najwstrętniejsze w szpiclach i donosicielach? Myślicie, że zło, które w nich tkwi?

Nie! Najstraszniejsze jest tkwiące w nich dobro, najsmutniejsze jest to, że są pełni zalet i cnót.

To kochający, czuli synowie, ojcowie, mężowie... Zdolni do dobrych uczynków, do heroicznej pracy.

Lubią naukę, wielką literaturę rosyjską, piękną muzykę, niektórzy z nich wypowiadają śmiało i mądre sądy na temat najbardziej skomplikowanych zjawisk we współczesnej filozofii i sztuce...

89

Są oddanymi i dobrymi przyjaciółmi, troskliwie odwiedzają chorych kolegów w szpitalu!

Są to wytrwali i odważni żołnierze, którzy dzielili się z kolegą ostatnim sucharem, szczyptą machorki, na rękach wynosili z pola walki ociekających krwią towarzyszy.

A iluż jest wśród nich utalentowanych poetów, muzyków, fizyków, lekarzy, zręcznych ślusarzy i stolarzy, takich, o jakich lud mówi z zachwytem: „To złota rączka!”.

To właśnie jest przerażające: wiele, bardzo wiele dobra tkwi w donosicielach, w ich ludzkiej istocie.

Kogóż zatem należy sądzić? Naturę ludzką! To ona jest odpowiedzialna za to morze kłamstw, podłości, tchórzostwa, słabości. Ale naturze ludzkiej właściwe są także cechy dodatnie: dobroć, czystość, miłosierdzie. Donosiciele i szpicle bywają pełni cnót, puście ich do domu. Jakże są jednak ohydni ze swoimi cnotami, z całym tym odpuszczeniem grzechów... Któż to zażartował tak kiepsko: „Człowiek - to brzmi dumnie!”?

Tak, tak, donosiciele są winni, kierowały nimi ponure, żelazne siły, przygniatały ich tryliony pudów. Wśród tych, co żyją, nie ma niewinnych. Winni jesteśmy wszyscy - i ty, oskarżony,

i ty, prokuratorze, i ja, który myślę o oskarżonym, prokuratorze i sędzi.

Czemuż jednak takim bólem, takim wstydem przejmuję sama myśl o naszej ludzkiej nikczemności?

8

„Co mnie podkusiło, żeby pójść pieszo” - powtarzał w duchu Piniegin. Nie miał ochoty myśleć o tym, co było ciemne i złe, co spało przez kilkadziesiąt lat i nagle się obudziło. Nie zły postępek go gniewał, ale głupi przypadek - przypadkowe spotkanie z człowiekiem, któremu zgotował niegdyś zgubę. Gdyby się nie spotkali na ulicy, to, co spało, nie obudziłoby się nigdy.

Ale przeszłość się obudziła i Piniegin bezwiednie coraz mniej myślał o głupim przypadku, a coraz bardziej się niepokoił i każał: „Cóż, to przecież prawda, to właśnie ja na Wanieczkę doniosłem, a mogłem tego nie robić. I zламаłem człowiekowi życie, niech go diabli wezmą. Spotkalibyśmy się teraz i wszystko by było w porządku. Ach, cholera, takie paskudztwo się poruszyło w sercu, jakbym sięgnął do torebki jakiejś kobiety, ona mnie złapała za rękę, a naokoło wszyscy moi referenci, sekretarze, kierowca. Och, och, nieszczęście, wprost żyć się nie chce po takim paskudztwie! Może całe moje życie to świństwo. Należało żyć zupełnie inaczej”.

Nie na żarty wstrząśnięty Piniegin wstąpił do restauracji Inturistu, gdzie od dawna wszyscy go znali: i kierownik, i kelnerzy, i szwajcar.

91

Na jego widok dwaj szatniarze wybiegli zza bariery, powtarzając: „Prosimy, prosimy”, i parskając jak konie, jeden przez drugiego sięgali po jego okrycie. Mieli przenikliwe oczy, bystre oczy cwaniaczków z szatni restauracji Inturistu, którzy potrafią dobrze zapamiętać, kto przychodził, jak był ubrany i co mimochodem powiedział. A już Piniegina ze znaczkim deputowanego do Rady Najwyższej traktowali serdecznie, wylewnie, niemal jak swojego bezpośredniego szefa.

Bez pośpiechu, czując pod stopami uległą, a zarazem sprężystą miękkość dywanu, Piniegin wszedł do wysokiej i obszernej sali restauracyjnej. Panował tam uroczysty półmrok. Piniegin głęboko odetchnął spokojnym, chłodnym i jednocześnie

ciepłym powietrzem i obrzucił wzrokiem stoliki nakryte wykrochmalonymi serwetami, na których delikatnie połyskiwały kryształowe flakony z kwiatami, puchary i kieliszki. Skierował się do dobrze sobie znanego przytulnego kąta pod misternie wyciętymi liśćmi rododendronu.

Szedł między stolikami, na których stały chorągiewki wielu państw świata. Wyglądało to tak, jakby były to liniowce i krążowniki, a on - dowódca tej floty - przyjmował defiladę.

Z owym poczuciem wodzostwa, które tak pomagało mu w życiu, Piniegin usiadł przy stoliku, bez pośpiechu wyciągnął rękę po oliwkowo-granatowe, podobne do dyplomu laureata menu i otworzywszy je, zagłębił się w dziale „Zakąski zimne”.

Przeglądając nazwy dań wydrukowane w jego ojczystym języku i w innych najważniejszych językach świata, Piniegin przewrócił sztywną kartę, spojrzął na stronę „Zupy”, poruszył ustami i zerknął na „Dania mięsne... dziczyzna”.

Kiedy się zastanawiał, co ma wybrać - danie mięsne czy dziczyznę, kelner, widząc jego wahanie, powiedział:

92

- Polędwica dzisiaj wyjątkowo dobra.

Piniegin długo milczał.

- No, jak polędwica, to polędwica - zdecydował wreszcie.

Siedział w półmroku, w ciszy, z przymkniętymi oczami i głębokie przekonanie, że żyje jak należy, walczyło w nim z niepokojem i przerażeniem, przerażeniem, które nagle w nim zmartwychwstało z ogniem i lodem skruchy.

Ciężki aksamit przysłaniający drzwi do kuchni drgnął i Piniegin dostrzegł łysinę kelnera: „Mój!”.

Taca wypłynęła z półmroku, Piniegin zobaczył różowawoszare plasterki łososa wśród żółtych słoneczek cytryny, ciemny kawior, ciepłarnianą zieleń ogórków, strome boki karafki z wódką i butelki z borżomi.

Nie był właściwie wielkim smakoszem i nawet nie czuł się bardzo głodny, ale właśnie w tej chwili stary człowiek w waciaku przestał zakłócać jego niezłomne przekonanie o słusznym wyborze postawy życiowej.

9

Po przyjeździe na dworzec Iwan Grigorjewicz poczuł, że nie ma już po co krążyć po ulicach Leningradu. Stał w zimnym wyso-

kim gmachu i zastanawiał się. I może niejednen z przechodniów mijających ponurego starego człowieka wpatzonego w czarną tablicę z rozkładem jazdy pomyślał: „Oto stary Rosjanin wypuszczony z obozu, stoi na rozdrożu, zastanawia się, wybiera swoją drogę”. Nie, Iwan Grigorjewicz nie wybierał drogi.

W ciągu jego życia dziesiątki śledczych stwierdzało, że nie jest on ani monarchistą, ani eserowcem, ani esdekiem, że nie brał udziału ani w opozycji trockistowskiej, ani w bucharinowskiej. Nie należał ani do nowej, ani do starej cerkwi, ani do adwentystów dnia siódmego.

Na dworcu, myśląc o ciężkich dniach spędzonych w Moskwie i Leningradzie, przypomniał sobie rozmowę z carskim generałem artylerii z sąsiedniej pryczy. Stary generał mówił: „Nigdzie z obozu nie pójdę - ciepło, ludzi znam, ten da kawałek cukru, tamten - ciastko z paczki”.

Nieraz spotykał takich starców. Już nie chcieli wychodzić z obozu, tu był ich dom, posiłek o wyznaczonej godzinie, datki dobrych sąsiadów, ciepło piecyka.

I rzeczywiście - dokąd mieli iść? Jedni zachowywali w zwapniałych zakamarkach serca wspomnienie o roziskrzonych

94

żyrandolach w Carskim Siole, o zimowym słońcu w Nicei, inni pamiętali Mendelejewa, który wpadał do nich po sąsiedzku na herbatę, młodego Błoka, wspominali Skriabina i Riepina, jeszcze inni przechowali we wciąż ciepłym popiele pamięć o Plechanowie, Gerszunim, Trigonim, o przyjaciółach wielkiego Żelabowa. Zdarzało się, że wypuszczeni na wolność starcy prosili, by przyjąć ich z powrotem do obozu, wicher życia zwał ich z drżących, słabych nóg, ogromne miasta przerażały bezludziem, zimnem.

Iwan Grigorjewicz zapragnął znowu znaleźć się za drutami, odszukać tych, co przywykli do ciepłych łachmanów, do miski z lurą, do barakowego piecyka. Miał ochotę im powiedzieć: to prawda, na wolności jest strasznie!

Opowiedziałby starcom, którzy stracili siły, jak odwiedził bliskiego człowieka, jak poszedł pod dom, gdzie mieszkała kochana niegdyś kobieta, jak wpadł na ulicy na kolegę uniwersyteckiego, który zaproponował mu pomoc. I powiedziałby obozowym starcom, że największe szczęście - to, nawet będąc

ślepy, beznogim, wyczołgać się z obozu i umrzeć na wolności, bodaj dziesięć metrów od przeklętych drutów.

10

Spokój i smutek ogarnął Iwana Grigorjewicza, kiedy skończyły się jego kłopoty ze znalezieniem mieszkania i pracy. Jako ślusarz w spółdzielni metalowców uzyskał w dowodzie osobistym upragnioną pieczętą o zameldowaniu i za czterdzieści rubli miesięcznie zamieszkał kątem u wdowy po poległym na froncie sierżancie Michalewie.

U Anny Siergiejewny, chudej, szpakowatej i mimo to jeszcze młodej kobiety, mieszkał syn zmarłej siostry, blady dwunastolatek w połatanej i pocerowanej kurteczce, dziwnie nieśmiały, cichy i wszystkiego ciekawy. Tacy chłopcy bywają tylko w bardzo ubogich rodzinach.

Na ścianie wisiała fotografia Michalewa - mężczyzny o niewesołej twarzy, jak gdyby fotografując się, przewidział już swój los. Syn Anny Siergiejewny odbywał służbę wojskową w oddziałach ochrony. Jego fotografia - podobizna pucołowatego młodzieńca o krótko ostrzyżonych włosach - wisiała obok fotografii ojca.

Mąż Anny Siergiejewny zaginął bez wieści w pierwszych dniach wojny; jednostkę, w której służył, rozbiły w pobliżu granicy niemieckie czołgi i nikt nie mógł powiedzieć, czy Michalew został na polu niepochowany, czy zastrzelili go fizylierzy

96

niemieccy, czy też trafił do niewoli, i wobec tego wojsko nie wypłacało wdowie emerytury.

Michalewa pracowała jako kucharka w stołówce, ale mimo to żyło jej się ciężko. Starsza siostra, kołchoźnica, raz przysłała jej ze wsi paczkę dla sieroty siostrzeńca - placki z razowej mąki z otrębami i mętny miód z woskiem.

Ale Michalewa także w miarę możliwości posyłała siostrze na wieś żywność: mąkę, olej słonecznikowy, a czasem także biały chleb i cukier.

Iwan Grigorjewicz dziwił się, że pracując w kuchni, Anna Siergiejewna jest taka szczuplutka i blada. W obozie od razu poznawało się w tłumie więźniów pucołowatego kucharza.

Michalewa nie wypytywała Iwana Grigorjewicza o jego życie w obozie. Wypytywał go natomiast szczegółowo kierownik kadr

w artelu. Nie pytała o nic, ale wiele zauważyła, obserwując lokatora mądrymi, wiele rozumiejącymi oczami.

Iwan Grigorjewicz mógł spać na gołych deskach, pił gorącą wodę bez esencji i cukru, żuł suchy chleb, zamiast skarpet nosił onuce, nie miał bielizny pościelowej. Anna Siergiejewna spostrzegła jednak, że koszula lokatora, mimo że pożółkła od prania, ma zawsze czysty kołnierzyk, i że rano lokator wyjmuje szczoteczkę z porysowanego i pogiętego blaszanego pudełka po landrynkach i czyści zęby, a myjąc się starannie, mydli twarz, szyję i ręce do łokci.

Dziwna wydawała mu się nocna cisza. Przez kilkadziesiąt lat przywykł do chrapania, sapania, mamrotania, jęków setek śpiących w barakach ludzi, do stukotu kołatek, do skrzypienia kół. Zupełnie sam bywał tylko w karcercze, a poza tym kiedyś podczas śledztwa trzymano go raz w pojedynczej celi trzy i pół miesiąca.

97

Do spółdzielni dostał się dzięki szczęśliwemu przypadkowi - w parku miejskim nawiązał rozmowę ze zgarbionym niby płoża od sań suchotnikiem, który opowiedział mu, że porzuca księgowość w spółdzielni inwalidów i wyjeżdża, a wyjeżdża, bo nie chce być pochowany w mieście, gdzie cmentarz jest położony w bagnistej okolicy, tak że trumny w mogiłach pływają w wodzie. Księgowy chciał po śmierci leżeć z wygodami, oszczędził więc pieniądze na dębową trumnę i kupił mocny czerwony materiał na obicie oraz zapas miedzianych gwoździ, używanych do obijania skórzanych kanap na dworcach. Nie może przecież z całym tym dobrem moknąć w wodzie.

Księgowy mówił o tym wszystkim tonem człowieka, który zamierza się przenieść na nowe, wygodniejsze mieszkanie. Dzięki jego poleceniu Iwan Grigorjewicz został przyjęty jako ślusarz do spółdzielni, gdzie produkowano zamki i klucze, a także pobielano i naprawiano garnki. Przydała się tu specjalność Iwana Grigorjewicza, który przez pewien czas pracował w obozowym warsztacie ślusarskim.

Wśród robotników byli inwalidzi wojenni i inwalidzi pracy w przemyśle i transporcie, byli trzej starcy, inwalidzi jeszcze z wojny 1914 roku. Znalazł się w spółdzielni także stary łagier-
nik, robotnik z fabryki Putiłowa, nazwiskiem Mordań, skazany

z artykułu pięćdziesiątego ósmego w 1936 roku. Zwolniony dopiero po wojnie, Mordań nie chciał wracać do Leningradu, gdzie podczas blokady umarły mu żona i córka. Zamieszkał więc u siostry na południu i znalazł tam zajęcie.

Inwalidzi w spółdzielni byli to przeważnie ludzie pogodni, patrzący na życie z przymrużeniem oka. Czasem jednak któryś z nich dostawał ataku, a wtedy stukot młotów i zgrzyt pilników zlewał się z krzykiem chorego, który się wił na podłodze.

98

Siwowłosemu cynowaczowi Pataszkowskiemu, jeńcowi wojennemu z 1914 roku (mówiono, że jest Austriakiem, ale podaje się za Polaka), nagle drętwiały ręce. Z podniesionym młotkiem nieruchomiał wtedy na swoim taborecie, twarz mu zastygła i przybierała jakiś wyniosły wyraz. Trzeba było go wtedy potrząsnąć za ramię, żeby wyrwać z odrętwienia. Pewnego dnia atak, którego dostał jeden z inwalidów, udzielił się innym i w różnych kątach warsztatu młodzi i starzy ludzie zaczęli więc się na podłodze i krzyczeć.

Ogromną przyjemność sprawiało Iwanowi Grigorjewiczowi nieznanne mu dotychczas uczucie - pracował na wolności, bez konwojenta, bez strażników na wieżach. I nie mógł się nadziwić - praca niby taka sama, narzędzia dobrze znane, ale nikt go nie nazwie gnojkiem, nie podniesie na niego ręki bandyta, pachołek władzy obozowej nie zagrozi mu kijem.

Iwan Grigorjewicz zobaczył niebawem, w jaki sposób ludzie starają się powiększyć swój nędzny zarobek. Niektórzy ze swojego kupionego prywatnie materiału robili imbryki i rondle. Sprzedawali je przez spółdzielnię po cenie urzędowej, nie taniej i nie drożej. Inni umawiali się z klientami prywatnie, reperowali im różne starocie i nie wypisywali kwitów. A za swoją pracę brali tyle samo co państwo - nie mniej, ale i nie więcej.

Mordań, człowiek o tak wielkich dłoniach, że miało się wrażenie, iż w zimie mógłby zgarniać nimi śnieg z chodników, opowiadał podczas przerwy obiadowej, co się wydarzyło w jego domu poprzedniego dnia. W sąsiednim mieszkaniu jest pięciu lokatorów - tokarz, krawiec, monter z fabryki maszyn i dwie wdowy: jedna zatrudniona w zakładach krawieckich, druga - sprzątaczką w radzie miejskiej. I oto w dzień wolny

od pracy obie wdowy spotkały się w komisariacie milicji - zostały zatrzymane za sprzedawanie na ulicy siatek na zakupy, które w nocy plotły w tajemnicy jedna przed drugą. Milicja zrobiła w mieszkaniu rewizję i okazało się, że krawiec szyje w nocy palta chłopskie i damskie, monter zainstalował pod podłogą elektryczną płytę, na której piecze wafle, a jego żona sprzedaje ten przysmak w dzień na targu; tokarz z fabryki „Czerwona Pochodnia” okazał się nocnym szewcem - robił eleganckie damskie pantofelki, a wdowy nie tylko plotły siatki, lecz robiły także sweterki na drutach.

Mordań rozbawił słuchaczy, opowiadając, jak monter krzyczał, że piecze wafle dla rodziny, a inspektor zapytał go, czy rzeczywiście dla rodziny naszykował dwa pudy ciasta. Każdy z tych „przestępców” zapłacił po trzysta rubli kary, o każdym dano znać do miejsca pracy i zagrożono zesłaniem w ramach oczyszczania życia radzieckiego z pasożytów i elementu uchylającego się od pracy.

Mordań lubił używać w rozmowie uczonych słów - oglądając zepsuty zamek, mówił z ważną miną: „Tak, zamek zupełnie nie reaguje na klucz”. Idąc kiedyś do pracy ulicą z Iwanem Grigorjewiczem, Mordań nagle powiedział:

- Nie wróciłem do Leningradu nie tylko dlatego, że żona i córka zginęły. Nie mogę patrzeć swoimi robotniczymi oczami na los proletariatu z zakładów Pułiłowskich. Nie wolno im nawet strajkować. A cóż to za robotnik bez prawa do strajku? Wieczorem gospodyni wracała do domu. Przynosiła w torbie jedzenie dla siostrzeńca - zupę w bidonie i drugie danie w glinianym garnuszku.

- Może pan skosztuje? - pytała cicho Iwana Grigorjewicza. - Dla nas wystarczy.

100

- Widzę, że pani sama nic nie je - odpowiadał Iwan Grigorjewicz.

- Przez cały dzień jem, taką mam pracę - odpowiedziała Anna Siergiejewna i zrozumiawszy chyba jego spojrzenie, dodała: - Ta praca bardzo mnie męczy.

Początkowo blada twarz gospodyni wydawała się Iwanowi Grigorjewiczowi niemiła. Potem się przekonał, że Anna Sier-

giejewna jest dobra.

Niekiedy opowiadała mu o wsi. W kołchozie była brygadzystką, a przez pewien czas nawet przewodniczącą. Kołchozy nie wykonywały planów - a to niedostateczne zasiewy, a to susza, a to ziemię tak wyżyłowano, że się wyczerpała, straciła siły, a to wszyscy mężczyźni, i starzy, i młodzi, poszli do miasta... Jeśli nie wykonano planu dostaw, kołchoźnicy dostawali po sześćdziesiąt kopiejek za dniówkę i po sto gramów ziarna. Zdarzały się lata, kiedy nie otrzymywali ani grama. A za darmo ludzie nie lubią pracować. Kołchoźnicy chodzili obdarci. Czysty czarny chleb bez ziemniaków i żołądzi jedli tylko w święta, jak piernik. Pewnego razu Anna Siergiejewna zaniósła starszej siostrze na wieś trochę białego chleba, ale dzieciaki bały się go jeść - po raz pierwszy w życiu widziały coś takiego. Chaty niszczeją, a wieś nie dostaje drewna na budowę.

Iwan Grigorjewicz słuchał i patrzył na Annę Siergiejewną. Promieniała dobrocią, kobiecością. Przez kilkadziesiąt lat nie widział kobiet, ale przez długie lata słyszał w baraku ciągle opowieści o kobietach - krwawe, smutne, brudne. I kobiety w tych opowieściach albo stały moralnie bardzo nisko, niżej od zwierząt, albo były czyste, wzniosłe, święte. Więźniowie potrzebowali ciągłej myśli o kobiecie nie mniej niż codziennej racji

101
chleba. Myśl ta nie opuszczała ich w rozmowach, w czystych i brudnych marzeniach i snach.

I - rzecz dziwna - po zwolnieniu z obozu Iwan Grigorjewicz widział oczywiście piękne, eleganckie kobiety na ulicach Moskwy i Leningradu, siedział przy stole z Marią Pawłowną, siwą, piękną panią, ale ani rozpacz, jaka go ogarnęła na wiadomość, że jego młodzieńcza miłość go zdradziła, ani przyjemny widok zadbanej kobiety i atmosfera zadowolenia i przytulności w domu Marii Pawłowny nie wywołały w nim uczucia, jakiego doznał, słuchając opowieści Anny Siergiejewny, patrząc w jej smutne oczy, na miłą, przywidłą, a zarazem młodą twarz.

Jednocześnie zaś nie było w tym nic dziwnego. Nie mogło być dziwne to, co od tysięcy lat działo się ciągle między mężczyzną a kobietą.

Anna Siergiejewna tłumaczyła mu:

- Serce nie pozwalało mi zaganiać głodnych do pracy. To nie o mnie powiedziano, że kucharka może rządzić państwem. Kobiety, które pracowały przy młócce, miały specjalne pończochy przyszyte u dołu spódnicy i wsypywały do nich ziarno. Trzeba było te kobiety rewidować i oddawać pod sąd. A za przywłaszczenie mienia kolchozowego najmniej siedem lat. Te baby miały dzieci. Leżę w nocy i myślę - państwo bierze od kolchozu ziarno, płaci sześć kopiejek za kilo, a sprzedaje chleb po rublu za kilo, w naszym kolchozie przez cztery lata nie dali ani grama. Więc jak to jest? Złapał człowiek garstkę ziarna, tego, które przecież sam posiał, i dostaje siedem lat. Nie, ja się z tym nie zgadzam. No i ziomkowie znaleźli mi w mieście pracę kucharki, żebym karmiła ludzi. Robotnicy mówią: „W mieście jednak jest lepiej. Budowlani mają taryfę: 102

drzwi osadzić, zamek założyć - dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek, a za tę samą pracę w święto prywatny klient zapłaci pięćdziesiąt rubli - państwo im płaci dwadzieścia pięć razy taniej. Od ludzi na wsi bierze więcej". A ja uważam, że i z miejskich, i z wiejskich bierze za dużo. I domy wczasowe, i szkoły, i ciągniki, i wojsko, rozumiem to wszystko, ale za dużo biorą, trzeba brać mniej.

Anna Siergiejewna spojrzała na Iwana Grigorjewicza.

- Może przez to całe życie jest źle urządzone?

Powoli przeniosła wzrok z jego twarzy na twarz siostrzeńca i dodała:

- Wiem, o tym nie należy mówić. Ale widzę, jaki z pana człowiek, więc zapytałam. A pan nie wie, jaki ze mnie człowiek, więc nie odpowiada.

- Nie, dlaczego, odpowiem - odparł Iwan Grigorjewicz. - Myślałem dawniej, że wolność to wolność słowa, prasy, sumienia. Ale wolność to całe życie wszystkich ludzi, wolność to: masz prawo siać, co chcesz, szyć buty, palta, piec chleb z ziarna, które zasiałeś, możesz to ziarno sprzedawać albo nie sprzedawać - jak ci się żywnie podoba. I ślusarz, i hutnik, i artysta malarz - powinni żyć i pracować, jak chcą, a nie jak im każą. Tymczasem wolności nie mają ani ci, co piszą książki, ani ci, co sieją zboże czy szyją buty.

W nocy Iwan Grigorjewicz leżał i słuchał w ciemności czyjegoś sennego oddechu; był taki lekki, że nie wiedział, czy to oddycha dziecko, czy kobieta.

Teraz - rzecz dziwna - wydawało mu się, że przez całe życie był w drodze, w dzień i w nocy jechał turkoczącym wagonem, przez kilkadziesiąt lat słuchał turkotu kół i oto nareszcie dojechał - transport stanął.

103

A od tej trzydziestoletniej podróży, od stukotu, jaki słyszał przez trzydzieści lat, miał ciągle szum w głowie, dzwoniło mu w uszach i nie mógł się pozbyć wrażenia, że transport jedzie, jedzie, jedzie...

Ale to nie łoskot pociągu szumiał mu w uszach, to dudniła w głowie skleroza - życie wszak dobiegało końca.

11

Siostrzeniec Anny Siergiejewny, Alosza, był tak drobny, że wyglądał na osiem lat. Chodził do szóstej klasy; po powrocie ze szkoły przynosił wodę, mył naczynia, po czym zabierał się do lekcji.

Czasami podnosił oczy na Iwana Grigorjewicza i prosił:

- Niech mnie pan przepytasz z historii.

Pewnego dnia, kiedy Alosza odrabiał biologię, Iwan Grigorjewicz z nudów zaczął lepić z gliny różne zwierzęta narysowane w podręczniku: żyrafę, nosorożca, goryla. Alosza osłupiał - tak piękne wydały mu się te gliniane zwierzęta.

Patrzył na nie, przestawiał je z miejsca na miejsce, w nocy umieścił na krześle przy łóżku. O świcie, idąc do kolejki po mleko, chłopiec błagalnym szeptem zapytał lokatora, który się mył w przedpokoju:

- Iwanie Grigorjewiczu, czy mogę pańskie zwierzęta zabrać do szkoły?

- Proszę bardzo, weź je sobie - odpowiedział Iwan Grigorjewicz.

Wieczorem Alosza oznajmił, że nauczycielka rysunków powiedziała: „Przekaż waszemu lokatorowi, że powinien koniecznie się uczyć”.

105

Michalewa po raz pierwszy zobaczyła, że Iwan Grigorjewicz się śmieje, i skarciła go:

- Niech pan się nie śmieje, ale pójdzie do nauczycielki, może pan sobie coś wieczorem dorobi w domu, bo co to za życie - trzysta siedemdziesiąt pięć rubli miesięcznie.

- Nie szkodzi, dla mnie wystarczy - odparł Iwan Grigorjewicz. - A uczyć się trzeba było trzydzieści lat temu.

I natychmiast pomyślał: „Czym ja się denerwuję? To znaczy, że jeszcze żyję, a więc nie umarłem”.

Opowiadając Aloszy pewnego dnia o wyprawie Tamerlana, Iwan Grigorjewicz spostrzegł, że Anna Siergiej ewna przerwała jakieś szycie i uważnie go słucha.

- Nie w tej spółdzielni powinien pan pracować - powiedziała z uśmiechem.

- Och - odparł Iwan Grigorjewicz - gdzie mi tam, mam wiadomości z książek z wydartymi stronicami, bez początku i końca.

Alosza pomyślał, że to pewnie dlatego lokator opowiada wszystko na swój sposób, a nauczyciele streszczają podręczniki od początku do końca.

Ta drobna historia z lepieniem zwierząt z gliny poruszyła Iwana Grigorjewicza. Nie miał, oczywiście, prawdziwego talentu, ale tylu na jego oczach zginęło, poszło do ziemi młodych fizyków, historyków, znawców starożytnych języków, filozofów, muzyków, młodych rosyjskich Swiftów i Erazmów z Rotterdamu...

Literatura przedrewolucyjna często ubolewała nad losem pańszczyźnianych aktorów, muzyków, malarzy. A kto w dzisiejszych książkach westchnął nad tą młodzieżą, tymi chłopcami i dziewczętami, którym nie dane było namalować swoich obrazów i napisać swoich książek? Ziemia rosyjska szczerze
106

wydaje na świat własnych Platonów i Newtonów, ale jakże okrutnie i łatwo pożera swoje dzieci.

Teatry i kina budziły w nim smutek i niepokój: miał wrażenie, że ktoś siłą go zmusza, by patrzył na scenę, i już stąd nie wypuści. Wiele powieści i wierszy wywoływało trudne do zniesienia wrażenie natrętnego, przymusowego wbijania do głowy ciągle tych samych myśli. W książkach pisano jakby o jakimś innym, nieznanym mu życiu, w którym nie ma baraków o zaostrzonym rygorze, brygadzystów, nadzorców, systemu paszportowego, nie ma wszystkich tych uczuć, cierpień, namiętności, niepokojów,

jakimi żyli ludzie wokół niego...

Pisarze wymyślali swoich bohaterów, ich uczucia i myśli, wymyślali pokoje, w których ci ludzie mieszkają, pociągi, którymi jeżdżą... Literatura, która się mieniła realistyczną, była nie mniej konwencjonalna niż sentymentalne osiemnastowieczne powieści. Powieściowi kołchoźnicy, robotnicy, wiejskie kobiety, wszystkie te postacie wydawały się pokrewne tamtym strojnym, smukłym wieśniakom i ufryzowanym pasterkom, którzy grali na fujarkach i tańczyli na łąkach wśród białych baranków z niebieskimi kokardami.

Przez lata spędzone w obozach Iwan Grigorjewicz wiele się dowiedział o ludzkich słabościach. Teraz widział, że jest ich niemało po obu stronach drutów. Cierpienia miały nie tylko siłę oczyszczającą. Walka o dodatkową łyżkę obozowej stawy, o lżejszą pracę była okrutna; ludzie słabi staczali się na samo dno. Teraz, z dala od obozu, Iwan Grigorjewicz wyobrażał sobie, jak niejeden z tych zadbanych i wyniosłych ludzi, których spotykał na wolności, za drutami wyskrobywałby łyżką cudze opróżnione miski lub kręcił się koło kuchni w poszukiwaniu obierzyn i zgniłych liści kapusty.

107

Ludzie złamani, przytłoczeni przemocą, wyczerpani głodem, brakiem ciepła i tytoniu, którzy się przeobrazili w obozowych „szakali”, wypatrujących błędnym wzrokiem okruchów chleba i zaślinionych niedopałków, budzili w nim litość.

Ludzie z obozów pomogli mu zrozumieć ludzi na wolności.

Na wolności zobaczył te same uczucia, co w barakach obozowych, taką samą żalostną słabość i okrucieństwo, i chciwość, i strach. Ludzie byli wszędzie jednakowi. I było mu ich żal.

A w powieściach i poematach ludzie radzieccy jak w sztuce średniowiecznej wyrażali ideę kościoła, bóstwa: głosili chwałę prawdziwego boga; człowiek istniał nie sam przez się, ale dla boga, istniał, by słać jego imię i jego kościół. Niektórzy zaś pisarze, podając kłamstwo za prawdę, ze szczególną starannością opisywali szczegóły ubrania i otoczenia swoich zmyślonych, szukających boga bohaterów, umieszczając ich wśród żywych dekoracji.

Zarówno na wolności, jak i w obozie ludzie nie chcieli przyznać, że wszyscy mają jednakowe prawo do wolności. Niektórzy

prawicowi odchyleńcy uważali, że nie są winni, ale usprawiedliwiali represje wobec odchyleńców lewicowych. A i jedni, i drudzy nie lubili szpiegów - tych, którzy korespondowali ze swoimi mieszkającymi za granicą krewnymi, tych, których zruszczeni rodzice mieli polskie, łotewskie lub niemieckie nazwiska.

Chłopi mogli godzinami zapewniać o tym, że przez całe życie pracowali od świtu do nocy - polityczni im nie wierzyli: „Wiemy, wiemy! Bez powodu nie przeprowadzano by rozkułaczania biedniaków”.

Iwan Grigorjewicz mówił do sąsiada z pryczy, byłego oficera Czerwonej Gwardii:

108

- Przez całe życie byliście oddani idei bolszewizmu, jesteście bohaterem wojny domowej i siedzicie z oskarżenia o szpiegostwo.

A tamten odpowiadał:

- Jeżeli chodzi o mnie, to popełniono pomyłkę. To szczególna sytuacja. Tego nie można nawet porównywać.

Kiedy kryminaliści, upatrzawszy sobie ofiarę, dręczyli ją bezlitośnie i okradali, jedni polityczni odwracali się, inni siedzieli z tępym wyrazem nieruchomych twarzy, a jeszcze inni uciekali; niektórzy zaś, naciągnawszy koc na głowę, udawali, że śpią.

Setki więźniów, wśród których nie brakowało bohaterów czasu wojny, nie umiało sobie poradzić z kilkoma kryminalistami. Kryminaliści robili, co chcieli, uważali się za prawdziwych patriotów, politycznych zaś nazywali „faszystami”, wrogami ojczyzny. Ludzie w obozie są jak ziarnka suchego piasku, nic ich nie łączy.

Jeden uważał, że popełniono błąd tylko w stosunku do niego, ale w ogóle „nikogo nie sadzają bez powodu”.

Inni rozumowali tak: na wolności myśleliśmy, że nikogo nie wsadzają za niewinność, a teraz przekonaliśmy się na własnej skórze, że wsadzają. Ale nie wyciągali z tego żadnych wniosków i pokornie wzdychali.

Chudy, cierpiący na drgawki działacz Kominternu Młodzieżowego, talmudysta i dialektyk, wyjaśnił Iwanowi Grigorjewiczowi, że nie popełnił żadnego przestępstwa przeciw partii, ale

organa słusznie go aresztowały jako szpiega i obłudnika: nie popełnił przestępstwa, należy jednak do warstwy wrogo usposobionej do partii, warstwy, z której wywodzą się obłudnicy, trockiści, oportuniści, malkontenci i niedowiarki.

109

Pewien mądry więzień, były obwodowy działacz partyjny, wdał się kiedyś w dłuższą rozmowę z Iwanem Grigorjewiczem:

- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, a prawda partii pozostaje prawdą partii, jest ważniejsza od mojego nieszczęścia. - I dodał: - Więc poleciałem jak wiór podczas rąbania.

Zmieszał się jednak, kiedy Iwan Grigorjewicz odparł:

- To właśnie całe nieszczęście, że drwa rąbią. Po co to robią? W obozach Iwan Grigorjewicz bardzo rzadko spotykał ludzi, którzy rzeczywiście walczyli z władzą radziecką.

Dawni oficerowie carscy trafiali do obozu nie dlatego, że usiłowali stworzyć organizację monarchistyczną. Siedzieli za to, że mogliby ją stworzyć.

W obozach siedzieli socjaldemokraci i eserowcy. Wielu z nich aresztowano, kiedy byli całkowicie lojalni i nie zajmowali się żadną działalnością polityczną. Wsadzono ich nie dlatego, że walczyli z władzą radziecką, ale że istniało prawdopodobieństwo, iż mogliby z nią walczyć.

Chłopów zsyłano do obozów nie dlatego, że walczyli z kołchozami. Zamykano tych, którzy w pewnych warunkach zaczęliby może przeciwstawiać się kołchozom.

Ludzie trafiali do obozów za niewinną krytykę - temu nie podobały się nagradzane przez państwo książki i sztuki teatralne, tamtemu radzieckie radiodbiorniki i wieczne pióra. W pewnych warunkach tacy ludzie mogli się stać wrogami państwa.

Zsyłano ludzi do obozów za to, że utrzymywali korespondencję z ciotkami i braćmi, którzy mieszkali za granicą, gdyż prawdopodobieństwo, że zostaną szpiegami, było w ich przypadku większe niż w przypadku tych, którzy nie mieli krewnych za granicą.

110

Był to terror skierowany nie przeciw przestępcom, ale przeciw tym, którzy zdaniem organów ścigania mieli nieco więcej danych niż inni, by przestępcami zostać.

Zupełnie inni byli ludzie rzeczywiście wrogo usposobieni do władzy radzieckiej, ci, którzy ją zwalczali: starzy eserowcy, mieńszewicy, anarchiści albo zwolennicy niepodległej Ukrainy, Estonii, Łotwy, a podczas wojny - banderowcy.

Więźniowie radzieccy uważali ich za wrogów, ale mimo to podziwiali jako tych, którzy zostali uwięzieni za konkretną sprawę. W obozie o zaostrzonym rygorze Iwan Grigorjewicz spotkał wyrostka, ucznia szkoły średniej, Borysa Romaszkina, skazanego na dziesięć lat więzienia. Ten chłopiec rzeczywiście pisał ulotki - oskarżał w nich państwo o prześladowanie osób, które nie popełniły żadnej zbrodni; naprawdę pisał te ulotki na maszynie, naprawdę je rozklejał w nocy na murach domów w Moskwie. Borys opowiadał Iwanowi Grigorjewiczowi, że podczas śledztwa mnóstwo pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa przychodziło na niego popatrzeć, było wśród nich nawet kilku generałów - wszystkich interesował chłopak, którego uwięziono za konkretną działalność polityczną. W obozie Borys był także postacią popularną - wszyscy go znali, pytali o niego więźniowie z sąsiednich obozów. Kiedy Iwana Grigorjewicza przeniesiono do nowego obozu odległego o 800 kilometrów, od razu pierwszego wieczoru usłyszał opowieść o Borysie Romaszkinie - na całej Kołymie o nim mówiono.

Ale rzecz dziwna - więźniowie skazani za rzeczywistą walkę z państwem radzieckim uważali, że wszyscy skazańcy polityczni są niewinni i wszyscy bez wyjątku zasługują na wypuszczenie na wolność. Ci zaś, którzy zostali skazani na podstawie zmyślnych, lipnych oskarżeń, a takich były miliony, twierdzili, że tylko

111

oni zasługują na amnestię, i usiłowali dowieść rzeczywistej winy rzekomych szpiegów, kułaków, szkodników, usprawiedliwić okrucieństwo państwa.

Więźniowie i ludzie żyjący na wolności różnili się zasadniczo pod jednym względem. Iwan Grigorjewicz widział, że w obozie ludzie pozostawali wierni epoce, z której się wywodzili. W charakterze i myślach każdego żyły różne okresy historii Rosji. Byli tu uczestnicy wojny domowej ze swoimi ulubionymi pieśniami, bohaterami, książkami; byli tu zieloni, petlurowcy z niespełnionymi pragnieniami swoich czasów, ze swoimi pieśniami, wierszami, zwyczajami; byli tu działacze Kominternu lat dwu-

dziestych ze swoją górnolotną retoryką, ze swoją filozofią, charakterystycznym zachowaniem, sposobem mówienia; byli tu także sędziwi starcy - monarchiści, mieńszewicy, eserowcy, ci zachowali swój świat idei, sposób bycia bohaterów literackich sprzed czterdziestu i pięćdziesięciu lat.

W obdartym, kaszlącym staruchu można było od razu poznać tchórzliwego, zdemoralizowanego, a zarazem szlachetnego arystokratę kawalergarda, a w jego sąsiedzie z pryczy, również obdartym i porośłym siwą szczecina - nieskruszonego socjal-demokratę, w zgarbionym zaś „przygłupku” sanitariuszu - komisarza pociągu pancernego.

Na wolności natomiast starsi ludzie nie mieli piętna minionych czasów, na wolności przeszłość zacierała się w nich bez trudu. Wchodzili w nową epokę, myśleli i przeżywali zgodnie z dniem dzisiejszym, ich słownictwo, myśli, namiętności zmieniały się pokornie, bez oporu, zgodnie z biegiem wydarzeń i wolą władz.

Czym się tłumaczyła ta różnica? Może w obozie człowiek zamierał jakby pod działaniem środków znieczulających?

112

Żyjąc w obozie, Iwan Grigorjewicz widział ciągle naturalne dążenie ludzi do wyrwania się zza drutów, do powrotu do żon i dzieci. Kiedy jednak spotykał na wolności ludzi wypuszczonych z obozów - ich pokorna obłuda, ich strach przed własną myślą, ich przerażenie wobec możliwości ponownego uwięzienia były tak ogromne, że ludzie ci wydawali mu się bardziej uwięzieni niż w czasie obozowych prac przymusowych.

Po wyjściu z obozu, pracując na podstawie dobrowolnej umowy, żyjąc z kochanymi i bliskimi osobami, taki człowiek skazywał siebie czasem na większą, pełniejszą i głębszą niewolę niż ta, do której zmuszały go druty obozu.

I mimo to, wśród udręk, brudu i zamętu życia obozowego, światłem i siłą uwięzionych dusz była wolność. Wolność pozostawała nieśmiertelna.

W małym miasteczku, mieszkając u wdowy po sierżancie Michalewie, Iwan Grigorjewicz szerzej i głębiej zaczął pojmować sens wolności.

W walce o byt, którą ludzie ciągle toczą, w kombinacjach, jakich się dopuszczają robotnicy, by pracując w nocy, zdobyć nieco

więcej rubli, w bojach toczonych przez kołchoźników o chleb i ziemniaki - ich jedyne wynagrodzenie za pracę - Iwan Grigorjewicz dostrzegał nie tylko pragnienie lepszego życia. Tym ludziom nie chodziło jedynie o nakarmienie i ubranie siebie i swoich dzieci. W walce o prawo do szycia butów, robienia na drutach, do siania tego, co chce siał rolnik, przejawiało się naturalne, właściwe człowiekowi pragnienie wolności. To samo pragnienie Iwan Grigorjewicz obserwował w obozie. Wolność wydawała się nieśmiertelna po obu stronach obozowych drutów. Pewnego wieczoru, po pracy, zaczął przypominać sobie obozowe słownictwo. Wielki Boże, istniały obozowe słowa na każdą

113 literę alfabetu! I o każdym obozowym słowie można by napisać artykuły, poematy, powieści.

Areszt... barak... ciupa... donos... fasunek... głód... kapuś... muzulman i tak do końca alfabetu. Ogromny świat, własny język, gospodarka, kodeks moralny. Pracami na ten temat można by wypełnić biblioteki. Więcej by było tych ksiąg niż w zainicjowanej przez Gorkiego serii „Historia fabryk i wielkich zakładów”.

Proszę, oto temat - historia pociągu, transportu więźniów. Formowanie pociągu, pociąg w drodze, konwój... Jak naiwne, wprost swojskie wydają się współczesnym więźniom transporty z lat dwudziestych, podróż więźnia politycznego w przedziale pociągu pasażerskiego, z konwojentem filozofem, który częstuje go pasztecikami. Nieśmiałe początki tradycji obozowej, wiek kamienia łupanego, kurczę ledwie wykluwające się z jajka... I obecny transport - zestaw sześćdziesięciu wagonów w drodze do okręgu krasnojarskiego: ruchome więzienne miasto, wagony towarowe, zakratowane okienka, dwupiętrowe prycze, wagony magazyny, wagony sztabowe pełne konwojentów, wagony kuchnie, wagony z psami węszącymi na postojach wzdłuż pociągu; naczelnik transportu niby padyszach z bajki w otoczeniu przypochlebnych kucharzy, prostytutek nałożnic; apele, kiedy do wagonu wchodzi nadzorca, a reszta strażników stoi na zewnątrz z automatami skierowanymi na rozsunięte drzwi - więźniowie tłoczą się zbitą gromadą, a nadzorca wprawnie przegania sprawdzonych z jednej części wagonu do drugiej; żeby nie wiadomo jak szybko każdy się zrywał z miejsca, konwojent

nie omieszkał nigdy zdzielić go pałką po krzyżu albo po głowie. Niedawno, już po Wojnie Ojczyźnianej, pod spodem ostatnich wagonów umieszczono stalowe grzebienie. Jeśli podczas

114
jazdy więzień zrobi otwór w podłodze i rzuci się na płask między szyny, grzebień ten go zgarnie, porwie i ciśnie pod koła. Dla tych natomiast, którzy zrobiwszy otwór w suficie wagonu, wydostaną się na dach, ustawiono specjalne reflektory: krzyżujące się smugi światła przeszywają ciemności od lokomotywy do ostatniego wagonu, a cekaem, wycelowany wzdłuż pociągu, wie, co ma robić, kiedy po dachu biegnie człowiek. Tak, postęp jest wszędzie. Wytworzyła się nawet specjalna gospodarka transportu - dodatkowe produkty, wspaniałe wikt oficerów konwoju w wagonie sztabowym, resztki, przywarte na dnie kotła więźniów i z kotła psów, pieniądze na delegacje doliczane proporcjonalnie do drogi przebytej w ciągu sześćdziesięciu dni w kierunku obozów we wschodniej Syberii. Okrutna, swoista akumulacja pierwotna i równoległa do niej pauperyzacja. Tak, wszystko płynie, wszystko na świecie się zmienia, nie można wejść dwa razy do tego samego transportu.

Któż zdoła opisać rozpacz człowieka wobec ruchu pociągu, który oddala od żony, te nocne zwierzenia przy wtórze żelaznego stukotu kół i skrzypienia wagonów, tę pokorę, tę ufność, to pograżenie się w przepaść obozową, listy wyrzucane z mroku bydłych wagonów w mrok stepu - ogromnej skrzynki pocztowej. Niektóre jednak dochodziły!

W transporcie więźniowie nie są jeszcze przyzwyczajeni do obozowego życia, pograżeni w lagrowej codzienności; wszystko jest obce, okropne dla zboleiałych, rozdartych serc: półmrok, skrzypienie, szorstkie deski, drgawki śpiących skazańców, twarde spojrzenia konwojentów.

Oto podnieśli na ramionach młodego chłopca do okratowanego okienka; chłopiec krzyczy:

- Dziadku, dziadku, dokąd nas wiozą?

115

I wszyscy w wagonie słyszą przeciągły, drżący starczy głos:

- Na Syberię, kochany, na katorgę...

Nagle Iwan Grigorjewicz pomyślał: „Czy to możliwe, że to moja droga, mój los? Od takich transportów zaczęła się moja

droga. A teraz jest już skończona".

Dręczyły go chaotyczne, często pozbawione związku wspomnienia obozu. Czuł, pamiętał, że w tym chaosie można się połapać, że jest dość silny, by się połapać, i że teraz, kiedy się skończyła ta droga obozowa, nadszedł czas, by wszystko wyraźnie zobaczyć, dostrzeżł prawa w chaosie cierpień, sprzeczności między winą a świętą niewinnością, między fałszywym przyznawaniem się do niepopelnionych przestępstw a fanatycznym oddaniem, między bezsensownym mordowaniem milionów niewinnych i oddanych partii ludzi a żelazną logiką tych mordów.

12

Ostatnio Iwan Grigorjewicz zrobił się milkliwy, prawie nie rozmawiał z Anną Siergiejewną. Ale w pracy bardzo często myślał o niej, o Aloszy, i raz po raz zerkał na zegar wiszący w dziale ślusarskim - czy prędko pójdzie do domu.

A podczas tych swoich milczących dni nie wiadomo dlaczego, wspominając życie w obozie, myślał głównie o losach kobiet... Nigdy chyba tak dużo nie myślał o kobietach.

...Równouprawnienie kobiet zostało uznane nie na katedrach uniwersyteckich i nie w pracach socjologów... Świadczy o nim nie tylko praca w fabrykach, nie loty w kosmos, nie udział w rewolucji - potwierdza je cała historia Rosji teraz i zawsze, na wieki wieków, cierpieniem pańszczyzny, obozów, więzień. Przez wieki pańszczyzny, a potem na Kołymie, w Norylsku, w Workucie kobieta zrównała się w prawach z mężczyzną. Obozy potwierdziły i tę drugą, prostą jak dziesięcioro przykazań prawdę: niepodobna oddzielić życia mężczyzn od życia kobiet.

Szatańska siła tkwi w każdym zakazie, w tamie. Zatrzymana tamą woda strumieni i rzek ujawnia swą tajemną, mroczną siłę. Ta utajona siła ukryta w przyjemnym plusku, w grze promieni słonecznych, w kołysaniu się lilii wodnych obnaża nagle

117

bezlitosną złośliwość wody - kruszy kamień, z szaleńczą szybkością obraca łopatki turbiny.

Bezlitosna staje się potęgą głodu, kiedy taka tama oddzieli człowieka od chleba. Naturalna i dobra potrzeba pożywienia przeobraża się w siłę, która niszczy miliony istnień ludzkich,

zmusza matki, by zjadały własne dzieci, doprowadza człowieka do okrucieństwa i zezwierzecenia.

Zakaz, który oddziela w obozie kobiety od mężczyzn, okalecza ich ciała i dusze.

Wszystko w kobiecie - jej czułość, troskliwość, namiętność, macierzyństwo - to chleb i woda życia. Wszystko to powstaje w kobiecie dlatego, że są na świecie mężowie, synowie, ojcowie, bracia. Wszystko to wypełnia życie mężczyzny, bo jest żona, matka, córka, siostry.

Ale oto w życie wdziera się siła zakazu. I wszystko to, co takie jest proste i dobre - chleb i pitna woda życia - nagle odsłania swoją podłość i mroczne instynkty.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemoc, zakaz nieuchronnie zabijają w człowieku dobro, przemieniają je w zło.

...Między obozem kryminalnym żeńskim a męskim rozpościerał się pas pustynnej ziemi zwany strefą ognia, ledwie bowiem na tej ziemi niczyjej ukazywał się człowiek, cekaemy otwierały ogień. Kryminaliści czołgali się na brzuchu przez strefę ognia, przekopywali podziemne przejścia, przełazili pod drutami, włązili na druty, a ci, co mieli pecha, pozostawali tam z przestrzelonymi głowami i nogami. Przypominało to szaleńczy, tragiczny ciąg ryb podczas tarła w rzekach przegrodzonych tamami. Kiedy do okropnych obozów o zaostrzonym rygorze, gdzie kobiety przez długie lata nie widziały mężczyzn, nie słyszały

118
męskiego głosu, przychodzili skierowani do różnych prac ślusarze, kierowcy, stolarze, więźniarki dręczyły ich, zameczały na śmierć. Kryminaliści bali się tych obozów, gdzie kobiety uważały za szczęście możliwość dotknięcia ramienia martwego mężczyzny, i nie chcieli tam iść nawet pod ochroną uzbrojonych strażników.

Ponure, ciemne nieszczęście paczyło ludzi na katordze, obrażało ich w nieludzi.

Na katordze kobiety zmuszały swoje towarzyszki do nie-naturalnego współżycia. W kobiecych barakach pełno było wynaturzonych istot - bab-chłopów o chrapliwych głosach, zamasztych męskich ruchach, paradujących w spodniach wpuszczonych w wysokie buty. A obok zagubione, żałosne

istoty - pasywne lesbijki.

Aktywne lesbijki piły czyfir, paliły machorkę, po pijanemu biły swoje kłamliwe, płocze kochanki, ale pięścią i nożem ochraniały przed krzywdą i ordynarnymi zaczepkami. Ten tragiczny, potworny świat, ten układ stosunków to właśnie miłość w obozie. Świat ten był straszny, ale nie wywoływał śmiechu ani sprośnych uwag, jedynie przerażenie w sercach złodziei i morderców.

W tajdze miłosny szal katorżników nie znał odległości, nie znał drutów, murów, straży, zamków - parł na owczarki konwojentów, na ostrza noży, pod kule straży. Tak z oczami wyłażącymi z orbit, ze złamanym grzbietem płynie podczas tarła ryba, rozbijając się o skały i kamienie górskich bystrzyn i wodospadów.

A jednocześnie więźniowie nie przestawali kochać żon i matek, a obozowe „zaoczne” narzeczone, które nigdy nie widziały i nie zobaczą swoich zaocznie wybranych obozowych

119
narzeczonych, nie zlekłyby się najsroższych tortur, by w imię wydumanych amorów dochować wierności nieszczęśliwemu obozowemu wybrańcowi.

Coś niecoś będzie darowane człowiekowi, jeśli wśród brudu i smrodu obozowej przemocy pozostaje jednak człowiekiem.

13
Cicha Maszeńka... Nie ma już na sobie cienkich pończoszek ani granatowego sweterka. Trudno dbać o czystość w wagonie towarowym. Masza wsłuchuje się z napięciem w dziwną, jakby nierosyjską mowę złodziejek, sąsiadek na pryczy. Z przerażeniem patrzy na królową transportu - bladoustą, histeryczną kochankę słynnego rostowskiego bandyty.

Masza wyprała w kubku chusteczkę, resztą wody przetarła stopy i suszy chustkę na kolanie, wpatrując się w półmrok. We mgle mieszają się wydarzenia ostatnich miesięcy: płacz trzyletniej Julki, która przejadła się na urodzinach, twarze ludzi, którzy robili u Maszy rewizję, bielizna, wykresy, lalki, naczynia na podłodze, wyciągnięty z doniczki fikus - ślubny prezent mamy, ostatni uśmiech męża z progu ich pokoju, żaloszny, błagalny - niech będzie mu wierna! Wspominając ten uśmiech, Masza krzyczała, chwytając się za głowę. Potem

szaleńcze tygodnie, podczas których wszystko było niby tak jak dawniej, a obok rondelka z kaszką dla Julki mrożąca krew w żyłach potworność Łubianki; kolejki w poczekalni Więzienia Wewnętrzznego, głos z okienka: „Zakaz przyjmowania paczek”, bieganie do krewnych, uczenie się na pamięć adresów bliskich, pospieszna, nieumiejętna sprzedaż szafy z lustrem i książek -
121

wydawnictwo „Akademia” - ból w sercu, bo najserdeczniejsza przyjaciółka przestała telefonować; znowu nocni goście i rewizja do rana, pożegnanie z Julką, której pewnie nie oddano babci, ale zawieziono do domu dziecka, więzienie na Butyrkach, gdzie mówi się szeptem, gdzie do szycia zamiast igieł używa się zapalek i wyłowionych z więziennej lury ości, miganie wypranych chusteczek, majtek, staników, które więźniarki suszą, wywijając nimi w powietrzu; nocne przesłuchanie - po raz pierwszy w jej życiu podniesiono na Maszę pięść i mówiąc do niej „ty”, zwymyślano od kurew i prostytutek. Oskarżano ją, że nie doniosła na męża, który został skazany na dziesięć lat bez prawa do korespondencji za to, że nie doniósł o zdradzie. Masza nie zrozumiała, dlaczego ona i dziesiątki takich jak ona kobiet powinny pisać donosy na mężów, dlaczego Andriej i setki takich jak on mężczyźni powinni donosić na kolegów z pracy, na przyjaciół z dzieciństwa. Śledczy wezwał ją tylko raz. Potem minęło osiem miesięcy w więzieniu - dzień i noc, noc i dzień. Po rozpaczy następowało tępe oczekiwanie na to, co będzie dalej, po czym nagle, niby morska fala zalewała Maszę nadzieją: pewnośc bliskiego spotkania z mężem i córką. Wreszcie nadzorca wręczył jej wąski pasek bibułki; przeczytała: 58 - 6 - 12.

Ale i potem nie straciła nadziei - a nuż anulują wyrok: mąż uniewinniony, Julia w domu, spotkają się i już nigdy się nie rozstaną. Na myśl o tym spotkaniu oblewał ją żar szczęścia, ogień i chłód.

Obudzono Maszę w nocy: „Lubimowa z rzeczami!”. Czarną budą powieszono ją - omijając więzienie etapowe na Krasnej Presni - na dworzec towarowy Kolei Jarosławskiej, by załadować do transportu.

122

Szczególnie utkwiał Maszy w pamięci poranek po aresztowaniu

męża, jak gdyby poranek ten ciągle jeszcze trwał.

Trzasnęły drzwi wejściowe, rozległ się warkot motoru i zapadła cisza. Serce Maszy zlodowaciało z przerażenia. W przedpokoju dzwonił telefon, winda zatrzymała się nagle naprzeciw ich drzwi, sąsiadka, człapiąc rannymi pantoflami, szła z kuchni i nagle człapanie ucichło.

Masza wycierała szmatką zwalone na podłogę książki, ustawiała je na półce, związała w toboł rozrzuconą bieliznę. Miała ochotę tę bieliznę uprać, wygotować, rzeczy w pokoju wydawały się jej splugawione. Wsadziła fikusa z powrotem do doniczki i pogłaskała jego twarde, lśniący liść - Andriusza śmiał się z tego fikusa, uważał, że jest symbolem mieszczaństwa, i w głębi serca Masza przyznawała mu rację. Nie pozwalała jednak nigdy fikusa obrażać, nie pozwoliła mężowi wynieść go do kuchni - żal jej było biednej mamy: staruszka wiozła swój prezent przez całą Moskwę i wlokła na czwarte piętro, bo tamtego dnia winda akurat była zepsuta.

Naokoło cisza! Ale sąsiedzi nie spali. Litowali się nad Maszą, bali się jej i umierali ze szczęścia, że to nie do nich przyszli z nakazem rewizji i aresztowania. Juleńka spała, a Masza sprzątała pokój. Zazwyczaj nie robiła tego tak starannie. Mało ją w ogóle obchodziły rzeczy, nie interesowały jej nigdy żyrandole, ładna porcelana. Niektórzy uważali, że jest złą gospodynią, flejtuchem. Ale mężowi podobała się ta obojętność żony wobec rzeczy i bałagan w pokoju. A teraz wydawało się Maszy, że jeśli wszystko wróci na swoje miejsce, poczuje się spokojniejsza i łatwiej jej będzie żyć.

Rzuciła okiem w lustro, obejrzała sprzątnięty już pokój.

Podróże Guliwera są już na swoim miejscu, na półce z książkami,
123

tam gdzie stały wczoraj przed rewizją. I fikus wrócił na swoje miejsce, na stolik. A Julia, która do czwartej rano płakała i kurczowo trzymała się matki, nareszcie zasnęła. W przedpokoju cisza, sąsiedzi jeszcze nie krzątają się w kuchni.

W tym starannie sprzątniętym pokoju Masza poczuła nagle dojmującą rozpacz. Rozgorzała czułość i miłość do Andrieja i od razu w tej domowej ciszy, wśród przedmiotów, do których przywykła, poczuła jak nigdy dotychczas bezlitosną siłę, zdolną wygiąć oś Ziemi. Ta siła wdarła się do niej, do Julki, do małego

pokoju, o którym Masza mawiała:

- Nie trzeba mi nawet dwudziestu metrów z balkonem, bo tutaj jestem szczęśliwa.

Jula! Andriusza! Zabierają ją od nich! Stukot kół świdruje mózg. Masza jest coraz dalej od Julii, z każdą godziną zbliża się Syberia, gdzie czeka ją życie z dala od tych, których kocha.

Maszeńka nie ma już na sobie spódnicy w kratę, jej grzebieniem rozczesuje swoje trzeszczące, naelektryzowane włosy złodziejka o cienkich, bladych wargach.

Pewnie tylko młode kobiece serce może zżerać taka podwójna udreka: macierzyńska - bezgraniczne pragnienie uratowania swojego bezradnego dziecka, a zarazem dziecięca bezradność wobec gniewu państwa, pragnienie schowania głowy na matczynej piersi.

Te brudne, połamane paznokietki były kiedyś wymanikiurowane, kolor lakieru bardzo interesował Julkę, a kiedyś tatuś powiedział trzyletniej córce: „Mama ma paznokcie jak łuski u rybki”. Nie ma już także ani śladu trwałej ondulacji. Masza była u fryzjera na miesiąc przed aresztowaniem Andrieja, kiedy

124

wybierała się z nim na urodziny do koleżanki, tej, co przestała telefonować.

Juleńka, Juleńka, nieśmiała, nerwowa Juleńka w domu dziecka! Masza jęczy cicho, żałośnie, robi jej się ciemno w oczach - jak obronić córkę przed okrutnymi wychowawczy-niami, niegrzecznymi, złymi dziećmi, podartym i ordynarnym ubraniem, żołnierskim kocem, kłującą poduszką wypchaną słomą? A wagon skrzypi, koła stukają i coraz dalej jest Moskwa i Jula, a coraz bliżej Syberia.

Boże wielki, czy to wszystko było? Po chwili to, co dzieje się teraz, wydawało się snem: ten duszny półmrok, aluminiowa miska, złodziejki palące machorkę na twardej pryczy, brudna bielizna, swędzenie całego ciała, ból w sercu: „Żeby już prędzej postój, przynajmniej konwojenci obronią przed kryminalistkami”. A na postoju przerażenie na widok konwojentów, którzy wymyślają, wymachując kolbami. I myśl: „Żeby już pociąg prędzej ruszył”. A złodziejki mówią: „Konwojenci z Wołogdy gorsi od śmierci”.

Nieszczęście Maszy to jednak nie skrzypiąca prycza, nie szron na ścianach wagonu, kiedy zgaśnie piecyk, nie okrucieństwo konwojentów i nie bezczelność kryminalistek. Nieszczęściem jest to, że w wagonie osłabło otępienie, które opancerzyło jej serce podczas ośmiu miesięcy w celi więziennej.

Całym swoim jestestwem Masza czuje dziewięć tysięcy kilometrów podróży w grobową głąb Syberii.

Tu nie ma już bezsensownej więziennej nadziei, że otworzą się nagle drzwi celi i strażnik zawoła: „Lubimowa, na wolność z rzeczami!”. I Masza wyjdzie na Nowosłobodską, pojedzie autobusem do domu, gdzie już czekają na nią Andriej i Julka.

125

W wagonie nie ma otępienia, nie ma obozowego zmęczenia, kiedy człowiek już nic nie pamięta, jest tylko krwawiące serce.

A jeśli Jula zasiusia majteczki, a mycie rąk, zasmarkany nos? Mała musi jeść jarzyny, zawsze się odkrywa w nocy, śpi golutka.

Maszeńka nie ma już na nogach pantofli, ma żołnierskie bucior, podeszwa jednego jest naderwana. Czy to naprawdę ona, Maria Konstantinowna, która czytała wiersze Błoka, studiowała na wydziale filologicznym, w tajemnicy przed Andriejem pisała wiersze? Masza, która biegała na Arbat zapisywać się do fryzjera Iwana Afanasjewicza - Jeana, Maszeńka, która potrafiła nie tylko czytać książki, ale i gotować barszcz, i piec napoleonkę, i szyć, która wykarmiła dziecko? Masza, niezmiennie zachwycona Andriejem, jego pracowitością, skromnością, i budząca wśród przyjaciół zachwyt swoim oddaniem i miłością do męża i córki, Masza, która umiała płakać i śmiać się, i oszczędzać każdą kopiejkę.

A pociąg jedzie i jedzie. Masza ma początki tyfusu - myśli jej się płaczą, w głowie szumi. Ale nie, to nie tyfus, Masza jest zdrowa. I znowu tutaj, w tym transporcie, nadzieja znalazła drogę do jej serca. Oto przyjedzie do obozu, a tam zawołają: „Lubimowa, wystąp, przyszedł tu w twojej sprawie telegram - zwolnienie” - no i tak dalej, i tym podobne: Masza wraca do Moskwy pociągiem pasażerskim, oto Sofrino, Puszkino, oto Dworzec Jarosławski, Masza widzi Andrieja, który trzyma na

rękach Julę.

Nadzieja sprawia, że Masza się zadrecza - niechby już prędzej dojechali na Syberię, na miejsce przeznaczenia, niechby już prędzej nadszedł telegram o zwolnieniu. Jak przebierają

126
chudziutkie nóżki Julii, mała biegnie obok coraz wolniej jadącego wagonu.

I oto obrabowana przez złodziejki Masza wysiadła z pociągu, chowa marznące ręce w rękawy zatłuszczonego waciaka, głowę ma obwiązaną brudnym ręcznikiem. A obok szkliscie skrzypią na śniegu pantofle setek mieszkanek Moskwy, skazanych na dziesięć lat obozu za to, że nie zadenuncjowały swoich mężów.

Kroczą nogi w jedwabnych pończochach, potykają się nogi w pantoflach na wysokich obcasach. Towarzyszki niedoli zadzroszczą Maszy - jechała w wagonie ze złodziejkami, a nie z „żonami”, okradziono ją, ale teraz ma waciak, a do buciorów może napchać papieru i szmat.

Potykają się, padają żony wrogów ludu, pospiesznie zbierają swoje rozsypane na śniegu tobołki, ale boją się płakać.

Masza obejrzała się: za sobą widzi szopę stacji, wagony towarowe wyglądają jak czerwone korale na śnieżnobiałym ciele, przed nią zaś wije się ciemny wąż - kolumna kobiet. Naokoło przysypane śniegiem stosy drewna, konwojenci w cudownie ciepłych kożuszkach, ujadające owczarki o ciepłej, gęstej sierści. Upajająco czyste po dwóch miesiącach jazdy transportem powietrze wydaje się ostrzejsze od brzytwy. Zerwał się wiatr, sucha zamieć powiała nad ziemią, czoło kolumny utonęło w białej mgłę. Mroźny wiatr chłoszcze po twarzy, nogach. Maszy kręci się w głowie.

I nagle poprzez zmęczenie, poprzez strach przed odmrożeniami i gangreną, poprzez marzenie o ciepłe i łaźni, poprzez przerażenie na widok masywnej starej kobiety w pince-nez, leżącej na śniegu z dziwnym, głupio kapryśnym wyrazem twarzy, dwudziestosześcioletnia Masza zobaczyła w śnieżnej mgłę

127
życie, jakie ją czeka w obozie... A na dawnym życiu, tym, co zostało za nią, o tysiące wiorst stąd, na jej dawnym życiu w zaułku Spaskopieskowskim wisi łąkowa pieczęć. Z mgły wynurzyły

się wieże strażnicze, widać strażników w kozuchach, szeroko otwartą bramę. W owej chwili Masza zobaczyła wyraźnie swoje dwa życia: to, co odeszło, i to, co nadchodzi.

Masza biegnie, potyka się, chucha na zlodowaciałe palce i szaleństwo nadziei jej nie opuszcza - oto zaraz przyjdą do obozu, a tam dowie się o nadesłanym telegramie, o zwolnieniu. Dlatego tak biegnie, że aż dech jej zapiera z pośpiechu.

Niełatwą dostała pracę! Bolał ją brzuch, łamało w krzyżu od ciężaru ponad siły kobiety, potwornego ciężaru brył wapna, a nosiłki, nawet puste, wydawały się jej ciężkie jak z żelaza. Ciężkie były łopaty, łomy, deski, belki, baki z brudną wodą, kible pełne nieczystości, kilkupudowe stosy mokrej wypranej bielizny.

Ciężka była droga do pracy w porannej mgle, w półmroku, trudne do zniesienia apele na deszczu i na mrozie; obrzydliwa, a zarazem upragniona wydawała się kukurydziana lura z ochłapami flaków i wstrętą, lepiącą się do podniebienia rybią łuską. Podle, bezlitośnie okradano w barakach, ohydne rozmowy toczyły się w nocy na pryczach, skąd dobiegały odgłosy obrzydliwych ruchów, szepty i szelesty. Jakże upragniony był zawsze czarny, lekko spleśniały razowiec.

Z szesnastoletnią Leną Rudolf, sąsiadką Maszy na pryczy, zaczął żyć kryminalista Mucha pracujący w kotłowni. Lena dostała syfilisu, zlazły jej paznokcie na rękach, wyszły włosy. Służba sanitarna przeniosła chorą do obozu inwalidów, a matka Leny, niebieskooka, dobra i uczynna Zuzanna Karłowna, która i w obozie zachowała eleganckie maniery, pracowała nadal, choć

128
głowę miała już siwą. Zuzanna Karłowna gimnastykowała się co dzień przed świtem i nacierała się śniegiem.

Masza pracowała do zmroku jak kobyła, wielbłądzica, oślica. Był to obóz o zaostrozonym rygorze, Masza nie miała prawa do korespondencji, nie wiedziała, czy mąż jej żyje, czy został stracony. Nie wiedziała, co się dzieje z Julką. Czy trafiła do domu dziecka, czy się zgubiła jak zwierzątko bez imienia. A może mama znalazła małą, ale czy mama żyje? Czy żyje brat Maszy, Wołodia? Masza jakby już przywykła, że nic nie wie o swoich bliskich, nie marzyła o listach, pragnęła tylko jednego: lżejszej pracy, nie na mrozie, nie w tajdze, gdzie zżerają owady, ale

w kuchni, w izbie chorych.

Tęsknota za mężem i córką nie osłabła jednak, nadzieja nie umarła, tak mogło się tylko wydawać. Nadzieja spała. Masza czuła ją, jak się czuje na rękach śpiące dziecko, a kiedy nadzieja się budziła, serce młodej kobiety przepelniały szczęście, światło i rozpacz.

Zobaczy jeszcze Julę i męża. Nie dziś oczywiście i nie jutro.

Miną lata, ale zobaczy oboje: jak posiwiałeś, jakie masz smutne oczy... Juleńka, Juleńka! Ta blada szczuplutka dziewczyna - to jej córka. I Maszę ogarnia niepokój: czy Julia ją pozna, czy pozna swoją obozową mamę, czy nie odwróci się od niej?

Starszy nadzorca Siemisotow zmusił Maszę do współżycia, wybił jej dwa zęby, walnął pięścią w skroń; działo się to podczas jej pierwszej jesieni w obozie. Masza próbowała się powiesić, źle się jednak do tego zabrała, sznur okazał się lichey. Niektóre kobiety jej zazdrościły. Potem ogarnęła ją beznadziejna obojętność. Dwa razy w tygodniu Masza wlokła się z Siemisotowem do magazynu, gdzie była drewniana prycza przykryta baranym kozuchem. Siemisotow był zawsze ponury, milczał i Masza

129
panicznie się go bała, aż ją mdliło ze strachu, kiedy pijany wpadał we wściekłość. Ale kiedyś dał jej pięć cukierków i Masza pomyślała: „Żeby tak to posłać Juli do domu dziecka”. Nie zjadła tych cukierków, ale schowała na pryczy pod siennikiem. Potem ktoś je ukradł. Pewnego razu Siemisotow powiedział: „Brudna paniusia, cholera, wiejska dziewczucha nie dopuściłaby do takiego uświnienia”. Zawsze mówił do niej „paniusia”, nawet pijany na umór. Słowa Siemisotowa ucieszyły Maszę, pomyślała jednak, że jeśli ją rzuci, będzie znowu musiała pracować przy wapnie.

Pewnego wieczoru Siemisotow poszedł i już więcej się nie pokazał. Masza dowiedziała się później, że przenieśli go do innego obozu. I cieszyła się, mogąc wieczorem siedzieć w baraku na pryczy, a nie wlec się ponuro do magazynu. Potem wyrzucono ją z biura, gdzie za czasów Siemisotowa myła podłogę i paliła w piecach: nie miała czym się opłacać. Na miejsce Maszy przyszła złodziejka, ta, co w pociągu zabrała jej wełniany sweterek. Masza cieszyła się, a jednocześnie czuła się dotknięta: na pożegnanie Siemisotow nie powiedział jej nawet pół słowa, gorzej

niż psu. A Masza miała kiedyś stałe zameldowanie w Moskwie, mieszkała w osobnym samodzielny pokoju z mężem i Julą, myła się w łazience, jadła z talerza.

Praca w obozie, ciężka podczas zimowych miesięcy, wiosną i jesienią była także niełatwa, tak samo jak w lecie. Masza wspominała już nie Arbat i nie Andrieja, ale tylko to, że za Siemisotowa myła podłogi w biurze. Czy to możliwe, że miała taką gratkę?

Nadzieja tliła się jednak w jej sercu. Spotkają się... Będzie już, oczywiście, starą kobietą, zupełnie siwą. Jula będzie już miała dzieci - ale się jednak spotkają, nie mogą się nie spotkać.

130

Głowa jej pękała ze zmartwień, strachu, rozpacz. To podarła jej się koszula, to dostała wrzodów, to bolał ją brzuch i nie mogła pójść do izby chorych, bo nie miała zwolnienia, to nagle pękała skóra na piętach, Masza kulą, a onuce miała czarne od krwi, to rozłaził się walonek, to trzeba było koniecznie bodaj trochę się umyć, nie czekając na kolejne pójście do łaźni, to coś przeprać, to wysuszyć przemoknięty w niepogodę waciak... A wszystko zdobywało się walką - garnuszek gorącej wody, nitkę do cewowania, igłę na chwilę, łyżkę z całym trzonkiem, szmatkę, żeby coś załatać. Jak się chronić przed meszkami, jak ratować twarz i ręce od złośliwego jak konwojenci obozowi mrozu?

Równie jednak trudne do zniesienia były kłótnie i plugawe obelgi, bójki uwięzionych kobiet.

A życie w baraku toczyło się dalej.

Ciocia Tania, sprzątaczką z Orła, szepcze: „Biada tym, co żyją na ziemi...”. Tania ma prostacką, chłopską twarz, która się wydaje twarda, zawzięta. Ale obce jest jej okrucieństwo, zawziętość. Ciocia Tania to wcielenie dobroci. Za co ta święta kobieta trafiła do obozu? Z jakąś niepojętą wprost łagodnością gotowa jest myć za każdą więźniarkę podłogę, pełnić dyżur. Stare mniszki Warwara i Ksenia rozmawiają pośpiesznym szeptem i milkną, gdy tylko zbliżą się do nich grzeszne świeckie kobiety. Warwara i Ksenia żyją we własnym, osobnym świecie; podpisać się pod jakimś papierem to grzech, powiedzieć swoje świeckie imię - to grzech, pić z tego samego kubka co świeckie kobiety - to grzech, włożyć obozową kurtkę - to grzech. Można je zabić, tak są uparte w swojej świętości. Świętość tę wi-

dać w ich ubraniu, białych chustkach, zaciśniętych wargach, ale w oczach mają chłód i pogardę dla cierpień obozowych, dla grzechu. Ich cnotliwe staropanieństwo brzydzi się babskimi
131

namiętnościami, babską niedolą, zmartwieniami matek i żon, wszystko to wydaje im się nieczyste. Najważniejsze zaś - zachować czystość chustki, kubeczka, z zaciśniętymi wargami stronić od grzesznego obozowego życia. Złodziejki ich nienawidzą, a „żony” nie lubią i unikają.

Żony, żony, moskiewskie, leningradzkie, kijowskie, charkowskie, rostowskie, smutne, praktyczne i marzycielskie, grzeszne, słabe, łagodne, złośliwe, wesołe, Rosjanki i nie-Rosjanki, kobiety w katorżniczych waciakach. Żony lekarzy, inżynierów, malarzy i agronomów, żony marszałków i chemików, żony prokuratorów, rozkułaczonych chutorników rosyjskich i białoruskich, ukraińskich. Poszły wszystkie śladem swoich mężów. Utonęły w barbarzyńskim mroku obozowych baraków.

Im znakomitszy był pogneębiony wróg ludu, tym szerszy stawał się krąg kobiet, które szły za nim do obozu: obecna żona, była żona, najpierwsza żona, siostry, sekretarki, córka, przyjaciółka żony, córka z pierwszego małżeństwa.

O niektórych mówiono: „Niezwykle prosta, skromna...”. O innych: „Och, okropna, zupełnie nieznośna, wyniosła panusia, jak gdyby i tutaj była na Kremlu”. Takie i tu mają swoje rezydentki, swoje zausznicie. Żyją w aureoli władzy i nieuchronnej zguby. O nich mówi się szeptem: „Tak, żywe nie wyjdą na wolność”.

Były tu i stare kobiety o zmęczonym, spokojnym spojrzeniu, które trafiły do więzienia jeszcze za Lenina i spędziły kilkadziesiąt lat w więzieniach i obozach. To członkinie partii narodników, eserówki, socjaldemokratki. Szanują je strażnicy, a złodziejki traktują z respektem; one nie wstają z pryczy, nawet przy wejściu samego komendanta obozu. Podobno jedna z nich, Olga Nikołajewna, drobna siwiutka staruszka, była przed
132

rewolucją anarchistką. Rzuciła bombę do powozu gubernatora Warszawy, strzelała do generała żandarmerii. Teraz siedzi na pryczy i czyta książki, popijając z kubeczka gorącą wodę. Raz, kiedy Masza wróciła w nocy z magazynu od Siemisotowa, sta-

ruszka podeszła do niej, pogłaskała ją po głowie i powiedziała: „Moja ty biedna dziewczynko”. Ach, jak wtedy Masza płakała! Nieopodal Maszy leży na pryczy Zuzanna Karłowna Rudolf. Gimnastykuje się, oddycha przez nos. Mąż jej, profesor, amerykańskizowany Niemiec, chrześcijański socjalista, przyjechał z rodziną do Rosji radzieckiej i przyjął radzieckie obywatelstwo. Profesor Rudolf, skazany na dziesięć lat obozu bez prawa do korespondencji, został rozstrzelany na Łubiance; Zuzannę Karłownę i trzy córki - Agnesę, Luizę i Lenę - zesłano do obozów o zaostrozonym rygorze. Zuzanna Karłowna nic nie wie o dwóch starszych córkach. Najmłodsza, Lena, teraz także nie jest z matką - została przeniesiona do obozu dla inwalidów. Zuzanna Karłowna nie wita się z Olgą Nikołajewną, która powiedziała, że Stalin jest faszystą, a Lenin - mordercą rosyjskiej wolności. Zuzanna Karłowna mówi, że pracą swoją pomaga w tworzeniu nowego świata i to daje jej siłę, by znosić rozłąkę z mężem i córkami. Zuzanna Karłowna opowiadała, że mieszkając w Londynie, przyjaźnili się z Herbertem Wellsem, a w Waszyngtonie spotykali się z Rooseveltem - prezydent lubił rozmawiać z jej mężem. Ta stara kobieta akceptuje wszystko, wszystko wydaje się jej zrozumiałe, tylko jedna rzecz niezupełnie: widziała, jak człowiek, który aresztował profesora Rudolfa, włożył do kieszeni dużą, wielkości dziecięcej dłoni unikatową złotą monetę wartości stu dolarów. Był na niej profil Indianina z piórami. Człowiek, który przeprowadzał rewizję, wziął tę monetę dla swojego młodszego syna, nie myśląc nawet, że jest złota.

133

Wszystkie one - czyste i upadłe, wymęczone i niespożyte - żyły w świecie nadziei. Nadzieja to spała, to się budziła, ale nie opuszczała ich nigdy.

Masza także miała nadzieję - nadzieja dręczyła ją, ale Masza mogła oddychać tylko dzięki nadziei, nawet kiedy stawała się ona udręką.

Po surowej syberyjskiej zimie, długiej jak wyrok, nadeszła bladziutka wiosna i Maszę popędzono wraz z dwiema innymi kobietami do naprawy drogi prowadzącej do miasteczka socjalnego, gdzie w drewnianych domkach mieszkali kierownicy obozu i wolny personel.

Masza zobaczyła z daleka w wysokich oknach swoje firanki

z Arbatu i sylwetkę fikusa. Widziała, jak dziewczynka z torni-
strem wbiegła na ganek i weszła do domu naczelnika zarządu
obozów.

Konwojent powiedział: „Cóż to, przyszłaś tutaj kino oglą-
dać?”.

A kiedy o zmierzchu wracali do obozu, nieopodal składu
tarcicy rozległy się dźwięki radia z Magadanu.

Masza i dwie kobiety, które wlokły się z nią, człapiąc w błocie,
opuściły łopaty i stanęły jak wryte.

Na tle bladego nieba wznosiły się wieże strażnicze, wartow-
nicy w czarnych kozuszkach stali na nich nieruchomo jak duże
muchy, ale przysadziste baraki wokoło jakby wyszły spod ziemi
i zastanawiały się, czy tam nie powrócić.

Muzyka nie była smutna, była wesoła, taneczna, a słuchając
jej, Masza zalewała się łzami; chyba jeszcze nigdy w życiu
tak nie płakała. Obie kobiety obok niej także płakały; jedna
była rozkułaczoną chłopką, a druga, niemłoda, w okularach
z pękniętymi szklami - mieszkanką Leningradu. Zapłakiwały
134

się obie, stojąc obok Maszy. I wydawało się, że szkła okularów
popękały od tych właśnie łez.

Konwojent się zmieszał: więźniarki rzadko płakały, serca
miały skute zmarzliną jak tundra.

Poszturchiwał je więc i prosił:

- Dobra, wystarczy, kurwa wasza mać, po dobremu mówię.
I rozglądał się dokoła. Nie przyszło mu nawet do głowy, że
kobiety tak płaczą z powodu radia.

Masza też nie rozumiała, dlaczego nagle ogarnęła ją taka
rozpacz. Jak gdyby połączyło się wszystko, co było w jej życiu:
miłość matczyna, wełniana sukienka w kratkę, w której było jej
tak ładnie, Andriej, piękne wiersze, gęba śledczego, świt nad
rozpromienionym nagle morzem w Kalesuri pod Suchumi,
szczebiot Julki, Siemisotow, stare zakonnice, zażarte kłótnie
lesbijek, przerażenie, że brygadzistka zaczyna na nią spoglądać
zmrużonymi oczami, jak niegdyś Siemisotow. Przy dźwiękach
tej wesołej tanecznej muzyki Masza jakoś wyraźniej poczuła
brudną koszulę na ciele, ciężkie wilgotne buty, cuchnącą czymś
kwaśnym kurtkę i nagle jak brzytwa smagnęło ją po sercu py-
tanie: za co, dlaczego to wszystko spotyka ją, Maszę, te mrozy,

ten upadek moralny, ta nagła pokora wobec katorgi.

Nadzieja, która ciągle przygniatała serce Maszy swoim żywym ciężarem, opuściła ją nagle, umarła.

Przy dźwiękach wesołej tanecznej muzyki Masza na zawsze pożegnała się z myślą, że kiedykolwiek zobaczy Julkę zagubioną gdzieś wśród sierocińców, domów poprawczych, kolonii i przytułków w ogromie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Przy dźwiękach wesołej muzyki bawiła się młodzież w internatach i klubach. I Masza zrozumiała, że jej męża już nigdzie nie ma, że został rozstrzelany i nigdy się nie zobaczą.

135

Została tak bez nadziei, zupełnie sama... Nigdy nie zobaczy Juli, ani teraz, ani jako siwa staruszka, nigdy.

Boże, Boże, zlituj się nad nią, Boże, ulituj się nad nią, weź ją w swoją opiekę.

Po roku Masza wyszła z obozu. Przed powrotem na wolność leżała w mroźnej ziemiance na sosnowych deskach i nikt jej nie pędził do pracy, nikt nie krzywdził. Sanitariusze włożyli Maszę Lubimową do zwykłej skrzyni zbitej z wybrakowanych, odrzuconych przez kontrolę techniczną desek, spojrzeli po raz ostatni na jej twarz: wyrażała miły, dziecinny zachwyt i niedowierzenie - tak samo jak wówczas, kiedy stojąc przy składzie tarcicy, Masza słuchała wesołej muzyki i w pierwszej chwili się ucieszyła, a potem zrozumiała, że nie ma dla niej nadziei. I Iwan Grigorjewicz pomyślał, że w obozie na Kołymie kobieta nie ma tych samych praw co mężczyzna, los mężczyzny jest tam jednak mniej ciężki.

14

Iwan Grigorjewicz zobaczył we śnie matkę. Szła drogą, omijając długi szereg ciągników i wywrotek, i nie widziała syna. A on wołał: „Mamo, mamo, mamo...”. Ale huk ciągników zagłuszał jego głos.

Nie wątpił ani przez chwilę, że w tłoku na drodze matka pozna w siwym więźniu obozowym swego syna, byleby tylko go usłyszała, byleby się obejrzała.

W rozpaczę otworzył oczy: pochylała się nad nim na wpół rozebrana kobieta - we śnie wołał matkę i podeszła do niego kobieta.

Była obok. Poczul od razu całym swoim jestestwem, że jest

piękna. Słyszała, jak krzyczał we śnie, i podeszła do niego pełna czułości i współczucia. Jej oczy były suche, ale zobaczył w nich coś więcej niż łyzy współczucia, zobaczył to, czego nigdy nie widział w oczach ludzi.

Była piękna, bo była dobra. Ujął ją za rękę. A ona położyła się obok niego i poczuł ciepło, delikatne piersi, ramiona, włosy. Wydawało mu się, że to sen, a nie jawa: na jawie nigdy nie był szczęśliwy.

Ta kobieta była samą dobrocią i Iwan Grigorjewicz rozumiał swoją cielesną istotą, że jej czułość, jej ciepło, jej szept są

piękne, bo jej serce przepelnia dobroć dla niego, a miłość jest właśnie dobrocią.

Pierwsza noc miłosna.

- Nie chcę tego wspominać, to bardzo ciężkie, ale nie mogę także zapomnieć. Żyje to we mnie - ni to śpi, ni to nie śpi. Żelazo w sercu, ostry nóż. Nie mogę się go pozbyć... Jak mam zapomnieć... Byłam już całkiem dorosła.

Miły mój, bardzo kochałam męża. Ładna byłam, ale zła; tak, nie byłam dobra. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. Nie pokochałbyś mnie wtedy, choć byłam ładna. Wiem, czuję wyraźnie, jak czuje kobieta: jestem dla ciebie nie tylko dlatego, żeśmy się obok siebie położyli. Patrzę na ciebie, nie gniewaj się, jak na Chrystusa. Ciągle chcę przed tobą się kajać, jak przed Bogiem. Mój ty dobry, najmiłszy, chcę ci o tym opowiedzieć, przypomnieć sobie wszystko, co było.

Nie, przy rozkułaczaniu nie cierpieliśmy jeszcze na wsi głodu, zmniejszono tylko zasiewy. A głód nastał w trzydziestym drugim, rok po rozkułaczaniu.

Pracowałam w rejkomie, myłam podłogi, a przyjaciółkę miałam w wydziale rolnym i dużo rzeczy wiedziałyśmy, mogę opowiedzieć wszystko, jak było. Księgowy mi mówił: „Powinnaś być ministrem”. Szybko rzeczywiście chwytam i pamięć mam dobrą.

Rozkułaczanie zaczęło się w dwudziestym dziewiątym roku, pod sam koniec, a przybrało na sile w lutym-marcu trzydziestego.

Pamiętam: przed aresztowaniem wyznaczono im dostawy obowiązkowe. Za pierwszym razem dali radę, za drugim ra-

zem sprzedawali, co się dało, byleby zgromadzić na dostawę. Wydawało się im, że jeśli wszystko wypłaca, państwo się nad 138

nimi zlituje. A niektórzy rznąli bydło, pędzili z ziarna samogon i pili, jedli, przecież i tak - mówili - nasze życie skończone. Może w innych obwodach było inaczej, ale w naszym tak to wyglądało. Najpierw aresztowali tylko głowy rodzin. Najwięcej wzięli tych, co za Denikina służyli w jednostkach kozackich. Tylko GPU aresztowało, aktyw nie brał w tym udziału. Pierwszą partię rozstrzelali całą, nikomu nie darowali. A tych, których wzięli pod koniec grudnia, trzymali w więzieniach dwa-trzy miesiące i wysyłali na przesiedlenie. Kiedy aresztowali ojców, rodzin nie ruszali, tylko opisywali gospodarstwo: nie należało już do rodziny, rodzina musiała go jedynie pilnować.

Obwód przysyłał plan - liczbę kułaków - do rejonów, rejony dzieliły swoją liczbę na rady wiejskie, a rady już układały listy. I podług tych właśnie list zabierano kułaków. A kto te listy układał? Trójki. Jakieś mętne typy wyznaczały, kto ma żyć, a kto umierać. No i oczywiście tu było już wszystko - i łapówki, i z powodu bab, i przez zadawnioną złość. Biedota trafiała zawsze na listę kułaków, a ci co bogatsi wykupywali się.

Teraz widzę, że nie to było najgorsze, że czasem te listy układały różne szuje. Uczciwych w aktywie więcej było niż szuj, a podłość jednych i drugich - ta sama. Najważniejsze, że te listy były nikczemne, niesprawiedliwe, a kogo tam wpisywano - czy to nie wszystko jedno? I ten jest niewinny, i tamten. Kto tę liczbę wyznaczył na całą Rosję? Kto ułożył ten plan dla całego chłopstwa? Kto go podpisał?

Ojcowie siedzą. Na początku trzydziestego roku zaczęto zabierać całe rodziny. Wtedy już samo GPU nie mogło dać sobie rady. Zmobilizowano aktyw. Wszyscy swoi ludzie, znajomi, ale jakoś rozum stracili, jakby ich ktoś zauroczył: grozili ludziom bronią, na dzieci mówili wyrzutki kułackie. „Krwio pijcy!” -

139

krzyczeli, a w tych krwio pijcach ze strachu kropli krwi nie zostało, biali jak płótno. Aktywiści patrzyli jak koty drapieżnym, złym wzrokiem. Przecież większość to swoi ludzie. Co prawda, jakby głowy stracili - tak sobie wmówili, że kułacy są jakby zapowietrzeni, żadnej ich rzeczy dotknąć nie wolno; ręcznik

kułaka jest zapaskudzony, przy stole kułaka pasożyta za nic nie siada, i dziecko kułaka obrzydliwe, i dziewczyna gorsza od wszy. Patrzyli na rozkułaczonych jak na bydło, na świnię, wszystko w kułakach ich mierziło: i wygląd, i że duszy nie mają, i że śmierdzą, cierpią na choroby weneryczne, a najważniejsze, że to wrogowie ludu, wyzyskiwacze mas pracujących. A biedota - Komsomoł i milicja - wszyscy co do jednego są niczym Czapajew, sami bohaterowie. Ale jak spojrzeć na ten aktyw: ludzie jak ludzie, i smarkacze są wśród nich, i podleców też nie brak.

Na mnie to gadanie też podziałało, byłam jeszcze smarkułą, a tu zebrania, specjalne szkolenia, i w radiu mówią, i w kinie pokazują, i pisarze piszą, i sam Stalin, a wszystko zmierza do jednego: kułacy to pasożyty, zboże palą, dzieci mordują. I ogłoszono wprost: należy podniecać gniew mas pracujących na kułaków, tępić ich wszystkich, przeklętych złoczyńców, jako klasę... Ja także chodziłam jak zamroczona, ciągle mi się zdało, że kułacy są winni wszystkich nieszczęść, że kiedy się ich wytepi, dla chłopstwa od razu nadejdą szczęśliwe czasy. Żadnej dla nich litości: nie są ludźmi, ale nie wiadomo czym - bydłem. Wstąpiłam do aktywu. A tam było wszystko: i tacy, co wierzyli w tamto gadanie i nienawidzili pasożytów, a chcieli bronić biedniejszych chłopów, i tacy, co chcieli upiec przy tym własną pieczeń, a najwięcej takich, co spełniali rozkazy - tacy ojca i matkę zabijają, byleby wszystko wykonać

140
według instrukcji. I nie ci byli najgorsi, co wierzyli, że nadejdzie szczęśliwe życie, jeśli się wytepi kułaków. Dzikie zwierzęta nie są najstraszniejsze. Najgorsi byli ci, co na cudzej krwi chcieli się bogacić, krzyczeli o uświadomieniu, a załatwiali własne porachunki i kradli. Ludzi niszczyli dla własnej korzyści, dla gratów, pary butów, a zniszczyć człowieka jest łatwo - napisz, podpisu nawet nie trzeba - że wynajmował parobków, którzy na niego pracowali, że miał trzy krowy, i już jest kułakiem. Na własne oczy widziałam to wszystko i nie podobało mi się to oczywiście, ale nie przeżywałam głęboko. Gdyby na fermie rżnęli bydło nie tak jak trzeba, więcej bym się martwiła, ale też mogłabym spać.

Naprawdę nie pamiętasz, co mi raz odpowiedziałeś? Nie

zapomnę nigdy twoich słów. Od tych słów robi się jasno, to jasne słowa. Zapytałam, jak Niemcy mogli żydowskie dzieci truć w komorach gazowych, jak mogli potem żyć? I czy nie ma na nich sądu ani u ludzi, ani u Boga? A tyś odpowiedział: „Jeden sąd jest nad katem - kat swojej ofiary nie uważa za człowieka i sam przestaje być człowiekiem, zabija w sobie człowieka. Sam sobie jest katem, a ofiara jego pozostaje na wieki człowiekiem, żeby nie wiem jak ją mordował”. Pamiętasz?

Teraz rozumiem, dlaczego poszłam na kucharkę, nie chciałam być przewodniczącą kołchozu. Ale już ci o tym mówiłam. Przypominam sobie teraz rozkułaczanie i inaczej wszystko widzę, nie jestem już zamroczona, ludzi zobaczyłam. Dlaczego taka byłam, jak z lodu? Przecież ludzie się okropnie męczyli. Straszne rzeczy tym ludziom robiono! A ja mówiłam: „To nie ludzie, to kułactwo”. Przypominam to sobie, przypominam sobie to wszystko i zachodzę w głowę - kto też takie słowo wymyślił: „kułactwo”? Czyżby Lenin? Jaką mękę na siebie wziął! Żeby ich

zabić, trzeba było ogłosić: „Kułacy to nie ludzie”. Niemcy tak samo mówili: „Żydzi to nie ludzie”. Tak samo i Lenin, i Stalin: „Kułacy to nie ludzie”. To nieprawda! To ludzie. Oni także są ludźmi! To zaczęłam rozumieć. Wszyscy są ludźmi!

No więc, na początku trzydziestego roku zaczęto rozkułaczać całe rodziny. Największa zjadłość była w lutym i marcu. Przynaglali z rejonu, żeby na porę siewów już nie było kułaków i zaczęło się nowe życie. Tak mówiliśmy: „Będzie to pierwsza kołchozowa wiosna”.

Wysiedlał oczywiście aktyw. Nie dostaliśmy instrukcji, jak trzeba to robić. Jeden przewodniczący spędzi tyle furmanek, że nie ma co w nie ładować, niby kułacy, a furmanki jadą na wpół puste. Z naszej wsi rozkułaczonych pędzili piechotą. Tylko tyle ci kułacy z domu zabrali, ile mogli na siebie wziąć - pościel, ubranie. Błoto na drogach było takie, że buty w nim grzęzły i spadały z nóg. Strasznie wyglądali ci rozkułaczeni. Idą kolumną, na chaty się oglądają, ze swojego pieca ciepło jeszcze na sobie niosą. Co oni musieli czuć - przecież w tych domach się urodzili, w tych domach córki wydawali za męż! Rozpalili w piecach, a kapuśniak niedogotowany został, mleko niedopite, z kominów dym jeszcze wali. Kobiety płaczą, a boją

się krzyżeć. A my ani drgnęliśmy, wiadomo, aktyw! Popędzamy ich jak gęsi. Na końcu jedzie wózek, na nim ślepa Pelagia, staruszek Dymitr Iwanowicz, który już z dziesięć lat z chaty nie wychodził przez te swoje nogi, i Marusia niespełna rozumu, sparaliżowana kułacka córka. W dzieciństwie tę Marusię koń walnął kopytem w skroń i od tamtej pory rozum straciła. A w mieście rejonowym więzienie za małe! Cóż to zresztą było za więzienie, wiejski areszt, nie więzienie. A tu wałą tłumy - z każdej wsi cała kolumna ludzi. Aresztowanych umieszczano 142

w kinie, w teatrze, w klubie, w szkołach - gdzie się dało. Niedługo ich zresztą trzymali. Popędzili na stację, na bocznych torach czekały już puste pociągi towarowe. Pędzili pod strażą - milicja, GPU - jak morderców: dziadków i staruszki, baby i dzieci. Ojców nie było, ojców zabrali jeszcze w zimie. A ludzie szepczą: „Pędzą kułactwo”, jak gdyby to wilki pędzili. Niektórzy ich przeklinali. A oni nawet nie płaczą - skamienieli...

Nie widziałam, jak ich wieźli, ale słyszałam od ludzi, w czasie głodu nasi jeździli po ratunek za Ural, do kułaków. Dostałam list od przyjaciółki; później niektórzy uciekali z osiedli zesłańców, z dwoma takimi rozmawiałam...

Wieźli ich w opieczętowanych bydłych wagonach, rzeczy jechały osobno, wzięli ze sobą tylko żywność, to, co mieli w rękę. Na jednej stacji tranzytowej - pisała mi przyjaciółka - wsadzili do pociągu ojców, wielka radość była tego dnia w tych bydłych wagonach i wielki płacz... Jechali przeszło miesiąc: tory zapchane pociągami, z całej Rosji wieźli wtedy chłopów. Leżeli w tych wagonach jeden przy drugim, w bydłych wagonach prycz nie było. Chorzy oczywiście umierali po drodze, nie dojeżdżali. Ale najważniejsze, że ich żywiono - na stacjach węzłowych dawano wiadro polewki i chleb, po dwieście gramów na osobę.

Konwój był wojskowy, konwojenci złości do nich nie mieli, traktowali ich bez niechęci, jak bydło. Tak mi pisała przyjaciółka.

A jak tam było, opowiadali mi ci, co uciekli: obwód rozrzucał ich po całej tajdze. Gdzie była wioska w lesie, tam niezdolnych do pracy pakowali do chat, ciasno jak w transporcie. A gdzie wsi w pobliżu nie było, tam wyładowywali prosto na śnieg. Co

słabsi umierali. A zdolni do pracy ścinałi drzewa - pni podobno
143

nie karczowali, a po co. Drzewa obdzierali z kory i budowali szałas, budy. Pracowali dniem i nocą, prawie nie śpiąc, żeby rodziny im nie wymarły; potem zaczęli budować chaty, każda miała dwie izdebki, dla jednej rodziny - jedna izdebka. Na mchu budowali, mchem utykali szpary.

Zdolnych do pracy kupiły od NKWD gospodarstwa leśno-przemysłowe, zaopatrzenie pracujący dostawali z tych gospodarstw, a niepracujący - przydział. Nazywało się to osiedle pracy - komendant, dziesiętnicy. Płacili im - opowiadano - tak samo jak miejscowym, ale cały zarobek szedł na książeczkę zakupów. Lud nasz jest jednak mocny, niedługo zaczęli zarabiać więcej od miejscowych. Za wyznaczone granice nie mieli prawa wychodzić - musieli siedzieć w osiedlu albo na porębie. Już potem słyszałam, że podczas wojny pozwolono im się poruszać w granicach rejonu, a po wojnie bohaterowie pracy dostali zezwolenie na poruszanie się poza rejonem, niektórym wydano nawet dowody osobiste.

Przyjaciółka pisała mi, że z niezdolnych do pracy kułaków zaczęli tworzyć kolonie rolnicze - na samozaopatrzeniu. Ale ziarna siewnego im dali na kredyt i do pierwszego urodzaju dostawali przydziały od NKWD. Komendant i straż - jak zwykle w osiedlach pracy. Potem przenieśli ich do spółdzielni, gdzie poza komendantem członkowie byli wybierani.

U nas bez rozkułaczonych zaczęło się nowe życie. Ludzi zapędzono do kołchozu - od rana zebrania, krzyki, przekleństwa. Jedni krzyczą: „Nie pójdziemy!”. Inni: „Dobra, pójdziemy, tylko krów nie oddamy”. A potem ukazał się artykuł Stalina - o niebywałych sukcesach. Znow zamęt, krzyczą: „Stalin nie każe siłą zaganiać do kołchozu”. Zaczęli na strzępach gazet pisać oświadczenia: „Wychodzę z kołchozu do indywidualnych”.
144

Potem znow zapędzono do kołchozów. A rzeczy, które zostały po rozkułaczonych, przeważnie rozkradano.

Myśleliśmy, że nie ma gorszego losu niż ten, który spotkał kułaków. Pomyliliśmy się! Topór spadł na ludzi wiejskich, od małego do najstarszego.

Przyszła męka głodu.

Ja wtedy już podłóg nie myłam, byłam rachmistrzem. I jako aktywistkę posłano mnie na Ukrainę dla wsparcia powstającego kołchozu. Tam u nich - tłumaczono nam - duch własności prywatnej jest silniejszy niż w Federacji Rosyjskiej. To prawda, u nich szło to jeszcze oporniej niż u nas. Wysłali mnie niedaleko - jesteśmy przecież na granicy z Ukrainą, nie było nawet trzech godzin jazdy od nas do tego miejsca. A miejsce piękne. Przyjechałam tam - ludzie jak ludzie. I zostałam w ichnim zarządzie rachmistrzem.

Ze wszystkim chyba dawałam sobie radę. Nie bez powodu widać ten staruszek nazwał mnie ministrem. Tobie jednemu o tym mówię, bo mówić tobie to jak samej sobie, ale obcemu człowiekowi nie chwałę się nigdy. Całą rachunkowość bez papierków miałam w głowie. I kiedy było szkolenie, i kiedy nasza trójka miała naradę, i kiedy szefowie pili wódkę, słuchałam wszystkich rozmów.

Jak było? Po rozkułaczeniu zasiewy się bardzo zmniejszyły, urodzaje zrobiły się liche. A w sprawozdaniach podawano, że niby bez kułaków nasze życie od razu rozkwitło. Rada wiejska kłamie rejonowi, rejon - obwodowi, obwód - Moskwie. Meldują o szczęśliwym życiu, żeby Stalin się ucieszył: jego mocarstwo będzie się nurzać w kołchozowym ziarnie. Po pierwszych kołchozowych zbiorach Moskwa przysłała kolejne plany do wykonania. I znowu wszystko jak trzeba: centrum - obwodowi, '45

obwód - rejonom. I wyznaczyli nam na wieś plan - przez dziesięć lat tego nie wyrobisz! W radzie wiejskiej ci, co nigdy wódki do ust nie brali, ze strachu upili się na umór. Widać Moskwa najbardziej liczyła na Ukrainę. Potem najwięcej złości było też na Ukrainę. Wiadomo - nie wykonałeś, więc widać sam jesteś niedobity kułak.

Planu dostaw nie można było oczywiście wykonać - zasiewy się zmniejszyły, urodzajność zmalała, skąd wziąć to morze kołchozowego ziarna? A więc widać schowali ziarno niedobici kułacy, nieroby! Kułaków usunięto, ale duch kułacki pozostał. Chłopom na Ukrainie w głowie tylko własność prywatna.

Kto zarządził to masowe morderstwo? Często myślę: czyżby sam Stalin? Chyba takiego rozkazu jak Rosja Rosją nigdy nie było. Takich rozkazów nie wydawali nie tylko car i Tatarzy, ale

i niemieccy okupanci. A rozkaz był - wytępić głodem chłopów na Ukrainie, nad Donem, na Kubaniu, zabić wszystkich, najmniejsze dzieci także. Polecono też zabierać całe ziarno siewne. Szukali ziarna, jakby to było nie zboże, ale bomby czy broń. Całą ziemię podziurawili bagnetami, wyciorami, wszystkie piwnice przekopali, łamali podłogi, szukali w ogrodach. Niektórym zabrano ziarno, jakie mieli w chatach wsypane do dzbanów, do niecek. Jednej kobiecie zabrali upieczony chleb, załadowali na wóz i też powieźli do komitetu rejonowego. W dzień i w nocy skrzypiały wozy - kurz się unosił nad ziemią, a elewatorów nie było. Zsypywano ziarno prosto na ziemię, naokoło chodzili wartownicy. Ziarno przed zimą zwilgotniało na deszczu, zaczęło gnić. Nie starczyło władzy radzieckiej brezentu, żeby je przykryć.

A kiedy jeszcze wywozili ziarno ze wsi, naokoło unosił się kurz, dym spowijał wszystko: i wieś, i pole, i księżyc w nocy.

146

Jeden zwariował: pali się, niebo się pali, ziemia się pali! - krzyczy. Nie, nie paliło się niebo, to życie się paliło.

Zrozumiałam wtedy: dla władzy radzieckiej najważniejszy jest plan. Wykonaj plan! Dawaj kontygent, dostawy! Najważniejsze jest państwo. A ludzie to po prostu zero, ludzie to nic.

Ojcowie i matki, chcąc ratować dzieci, schować choć trochę zboża, słyszeli: „Gryzie was okrutna nienawiść do kraju socjalizmu, chcecie plan zerwać, darmozjady, gady”. Nie chcemy zerwać planu, ale ratować dzieci, sami chcemy się ratować.

Ludzie muszą przecież jeść.

Opowiedzieć mogę wszystko, ale w opowieści są tylko słowa, a to było życie, męka, śmierć głodowa. Muszę dodać, że kiedy zabierali zboże, tłumaczyli aktywowi, że będą karmić ludność z zapasów. Skłamali. Ani jednego ziarenka nie dali głodnym. Kto zabierał zboże? W większości byli to swoi, ludzie z rejonowego komitetu wykonawczego, z rejonu, Komsomoł, swoi chłopcy, no i oczywiście milicja. NKWD. Gdzieśgdzie było nawet wojsko, widziałam jednego zmobilizowanego z Moskwy, ale ten się tak nie starał, ciągle usiłował wyjechać. I znowu jak podczas rozkułaczania ludzie byli jacyś rozjuszeni, jak dzikie zwierzęta.

Grisza Sajenko, milicjant ożeniony z miejscową dziewczyną,

przyjeżdżał zabawić się na święta. Wesoły był chłopiec, dobrze tańczył i tango, i walca, śpiewał ukraińskie wiejskie pieśni. Podszedł do niego kiedyś siwiutki dziadek i mówi: „Grisza, wy nas wszystkich rujnujecie, to gorsze od morderstwa. Dlaczego władza robotniczo-chłopska robi przeciw chłopom takie rzeczy, których nawet car nie robił?”. Grisza odepchnął dziadka, a potem poszedł do studni umyć ręce i mówi: „Jak mógłbym wziąć łyżkę do ręki, kiedy dotknąłem mordy tego pasożyta”.

147

A jaki był kurz - i w dzień, i w nocy się kurzyło, kiedy wywozili zboże. Księżyc - na połowę nieba, a w świetle tego księżyc wszystko wyglądało upiornie. I tak gorąco było w nocy jak po kożuchem. A pole zdeptane, stratowane, strach patrzeć. Ludzie się zrobili jacyś dziwni, zagubieni, było też niesamowite, bało się wszystkiego, ryczało, skarżyło się, a psy okropnie wyły po nocach. I popękała ziemia.

No, a potem nadeszła jesień bez deszczu, potem śnieżna zima. A chleba nie ma.

I w ośrodku rejonowym nie można kupić, bo wprowadzili kartki. I na dworcu w kiosku nie kupisz, bo zmilitaryzowana straż nie puszcza. A komercyjnego chleba nie było.

Na jesieni wszyscy rzucili się na ziemniaki, bez chleba szybko poszły. A przed Bożym Narodzeniem zaczęli rżnąć bydło. A to skóra i kości, mięso marne, chude. Kury wyrznęli oczywiście. Mięso szybko zjedli, ani kropli mleka nie było i w całej wsi nie dostałbyś ani jednego jajka. A najgorsze to brak chleba. Zboże na wsi zagarnęli przecież całe, do ostatniego ziarenka. Jarego chłopci nie mieli czym siać, zapas na zasiew zabrano im także do ostatniego ziarna. Cała nadzieja w ozimym. Ozime jeszcze pod śniegiem, wiosny nie widać, a na wsi już głód. Mięso zjedli, jagły, jakie były, już się kończą, ziemniaki w większych rodzinach wszystkie też już zjedzone.

Ludzie rzucili się prosić o pożyczanie - do rady wiejskiej, do rejonu. Nikt nawet nie chciał z nimi gadać. A do rejonu gościńcem dziewiętnaście kilometrów, a koni nie ma.

Zaczęły się straszne czasy. Matki patrzą na dzieci i ze strachu zaczynają krzyczeć. Krzyczą, jakby żmija wpęzła do domu. A ta żmija to śmierć, to głód. Co robić? W głowie chłopci mają jedno - jeść! Ssie w dołku, szczęki się zaciskają, ślina napływa

do ust, człowiek ją łyka, ale śliną nie można się najeść. W nocy się człowiek obudzi, naokoło cisza, żadnych rozmów, na harmonii nikt nie gra. Jak w grobie. Tylko głód krąży, nie śpi. Dzieci w chatach płaczą od świtu - proszą o kawałek chleba. A co matka może im dać? Śniegu? I znikąd pomocy. Partyjni mają na wszystko jedną odpowiedź - trzeba było pracować, nie bumelować. „Poszukajcie u siebie, w waszej wsi ludzie zakopali zapas zboża na dobre trzy lata”.

W zimie nie było jeszcze jednak prawdziwego głodu. Tylko ludzie zrobili się osowiali, brzuchy im wzdęło od ziemniaczanych obierzyn, ale nikt jeszcze nie spuchł. Zaczęli wykopywać żołądźce spod śniegu, suszyli te żołądźce, a młynarz poluzował żarna i mełł je na mąkę. Niektórzy piekli z tej mąki chleb, a raczej placki. Ciemne, bardzo ciemne, ciemniejsze od razowego chleba. Niektórzy dodawali otręby albo suszone obierzyny. Żołądźce też się szybko skończyły - dąbrowa była niewielka, a rzuciły się do niej od razu trzy wsie. Przyjechał z miasta pełnomocnik i w radzie wiejskiej mówi: „Co za pasożyty, spod śniegu gołymi rękami wygrzebują żołądźce, byle tylko nie pracować”.

Do szkoły starsze klasy chodziły prawie do samej wiosny, młodsze w zimie przestały. Na wiosnę szkołę zamknięto - nauczycielka wyjechała do miasta. Felczer z przychodni także wyjechał: nie miał co jeść. No i głodu nie wyleczysz lekarstwami. Wieś została sama - naokoło pustynia i głodni ludzie w chatach. Różni delegaci z miasta przestali przyjeżdżać - po co mieli jeździć? Wziąć od głodnych nic nie można, więc i jeździć do nich nie trzeba. I leczyć nie trzeba, i uczyć nie trzeba. Kiedy państwo nie może nic zabrać człowiekowi, człowiek nie jest mu już potrzebny. Po co go uczyć i leczyć?

Ludzie zostali na wsi sami, państwo porzuciło głodnych. Zaczęli chodzić po wsiach, żebrać jedni u drugich, żebracy u żebraków, głodni u głodnych. Tym, co mieli mniej dzieci albo byli samotni, do wiosny coś niecoś jeszcze zostało, więc wielodzietni u nich żebrali. Czasem dostawali nawet garstkę otrąb czy ze dwa ziemniaki. Ale partyjni nic nie dawali - nie

z nienawiści, chciwości czy złości, ale dlatego, że bardzo się bali. A państwo nic głodnym nie dało, ani ziarenka, a przecież stoi na chłopskim zbożu... Czyż to możliwe, żeby Stalin o tym nie wiedział? Starzy ludzie opowiadali: bywał głód i za Mikołaja - ale wtedy pomagali i na kredyt dawali, i po miastach chłopi żebrali, otwierano dla nich kuchnie i studenci na nich kwestowali! A za władzy robotniczo-chłopskiej, przy rządzie robotniczo-chłopskim ani ziarenka nie dali, na wszystkich drogach poustawiali wojsko, milicję, NKWD: nie wypuszczają głodnych ze wsi, nie dają iść do miasta. Naokoło dworców, na najmniejszych przystankach strażę: nie ma dla was chleba, karmiciele. W mieście na kartki dawali robotnikom po osiemdziesiąt deka dziennie! Boże wielki, czy to możliwe - tyle chleba: osiemdziesiąt deka! Ale dla chłopskich dzieci nie było ani grama - Niemcy tak truli gazem żydowskie dzieci: nie ma dla was życia, jesteście Żydami. Ale tutaj nic nie można zrozumieć: tu ludzie radzieccy i tam także ludzie radzieccy, i tu Rosjanie, i tam Rosjanie, władza robotniczo-chłopska, więc dlaczego mają ginąć?

Kiedy śnieg zaczął topnieć, wieś głodowała już na całego. Dzieci nie śpią, krzyczą: w nocy także proszą o chleb. Ludzie twarze mają ziemiste, oczy zamglone, pijane. Chodzą senni, chwieją się z głodu, drogę nogą wymacują, ręką trzymają się ściany. Zaczęli mniej z domu wychodzić - leżą ciągle. I ciągle

150

im się majaczy, że wozy skrzypią - to z rejonu Stalin przysłał mąkę, żeby dzieci ratować.

Baby okazały się odporniejsze od mężczyzn, zajadlej czepiały się życia. A miały gorzej - dzieci do matek zwracają się o chleb. Niektóre kobiety uspokajały dzieci, całowały: „No, nie krzycz, trochę cierpliwości, skąd ja ci wezmę chleba?”. Były i takie, co wpadały we wściekłość: „Nie jęcz, bo zabiję!”, i biły dzieciaki tym, co im wpadło pod rękę, żeby tylko przestały prosić. Albo uciekały z domu, przesiadywały u sąsiadów, żeby nie słyszeć krzyku i płaczu.

Wtedy już nie zostało na wsi psów ani kotów - wszystkie zjedzono. A niełatwo było je łapać - nie ufały ludziom, ślepia miały dzikie. Gotowano je - same kości i żyły, z łbów baby robiły galarete.

Śnieg stopniał, ludzie zaczęli puchnąć z głodu - twarze mieli obrzękłe, nogi jak poduszki, w brzuchu woda, ciągle się moczają - nie zdążą wyjść na dwór. A dzieci chłopskie! Widziałeś - to było w gazetach - dzieci w obozach niemieckich? Wszystkie wyglądają jednakowo: głowy ciężkie jak pociski armatnie, szyje cieniutkie jak u bocianów, na rękach i nogach widać, jak każda kosteczka chodzi pod skórą, jak się łączą, cały szkielet obciążony skórą niby żółtą gazą. Twarze jak u starców, udęczone, jak gdyby te maluchy przeżyły na świecie siedemdziesiąt lat. Na wiosnę niepodobne już były do ludzkich twarzy, ale do ptasich łebków z dziobkiem albo do żabich mordek - wargi cienkie, szerokie, niejedno dziecko wyglądało jak kielbik - usta otwarte. Tak, twarze miały nieludzkie. A oczy, wielki Boże! Towarzyszu Stalin, czyś ty widział te oczy? Może rzeczywiście o niczym nie wiedział, napisał przecież artykuł o zawrocie głowy od wielkich sukcesów.

151

Czego tylko ludzie na wsi nie jedli! Łapali myszy, łapali szczury, kawki, wróble, mrówki, wykopywali robaki, zaczęli mleć na mąkę kości, skórę, stare śmierdzące podeszwy krajały na makaron, klej wygotowywali. A kiedy wyrosła trawa, chodzili kopać korzenie, gotowali liście, pączki roślin, chwytali wszystko: i mlecze, i łopiany, i polne kwiaty, i pokrzywy, i zioła - rozchodnik i inne. Suszyli lipowe liście, ścierali na mąkę, ale mało było u nas lip. Placki z lipy są zielone, a smak jeszcze gorszy od żółdziowych.

Pomocy ciągle nie było! Ale wtedy chłopcy o nic już nie prosili. Nawet teraz, kiedy sobie to przypominam, od zmysłów odchodzi: czy to możliwe, żeby Stalin wyrzekł się ludzi? Zdecydował się na taką straszną zbrodnię? Przecież miał zboże. A więc umyślnie mordowano ludzi, skazywano na śmierć głodową? Nie chcieli pomóc dzieciom. Czy to możliwe, żeby Stalin był gorszy od Heroda? Czy to możliwe? Żeby zabrał zboże, ludzi pozbawił chleba, a potem wymordował głodem? Nie, nie mogło tak być. Ale przecież tak było! I znowu - nie. To niemożliwe. Dopóki jeszcze nie całkiem opadli z sił, chodzili przez pola do kolei, nie na dworzec, na dworzec straż nie puszczą, ale na tory. Kiedy jedzie pociąg pospieszny Kijów-Odessa, ludzie klękają i krzyczą: „Chleba, chleba!”. Niektórzy podnoszą wysoko

swoje straszne dzieciaki. Pasażerowie rzucali czasem kawałki chleba, różne resztki. Przemknie pociąg, kurz opadnie i wieś czołga się wśród torów, szuka skórek chleba. Ale potem wydano rozkaz: kiedy pociąg przejeżdża przez głodną okolicę, straż ma zamykać okna i zaciągać firanki. Pasażerom nie wolno było podchodzić do okien. Zresztą ludzie ze wsi przestali przychodzić do pociągów - nie mieli już siły nie tylko, żeby się dowlec do kolei, ale nawet żeby się wyczołgać z chaty.

152

Pamiętam, jak jeden stary chłop przyniósł przewodniczącemu strzep gazety, który podniósł na szynach. A tam wiadomości: przyjechał do nas jakiś Francuz, minister, i zawieźli go do obwodu dnipropropietrowskiego, gdzie najstraszniejszy był wtedy pomór, jeszcze gorszy niż u nas. Tam ludzi jedli. Przywieźli tego Francuza do przedszkola kołchozowego, a on pyta: „Dzieci, coście jadły na obiad?”. Dzieci odpowiadają: „Rosółek z kury z pasztecikiem i kotlety z ryżu”. Sama czytałam, jeszcze teraz to widzę, ten strzep gazety. Jakże to? Zabijają po kryjomu miliony ludzi i cały świat oszukują! Rosółek z kury, piszą! Kotlety! A tu ludzie zjedli wszystkie robaki. Stary powiedział wtedy przewodniczącemu: „Za Mikołaja wszystkie gazety na cały świat trąbiły o głodzie: Ratunku! Chłopi giną! A wy, dranie, robicie taki teatr”.

Zawyla wieś, widząc, że zbliża się śmierć. W całej wsi wyli chłopci - nie był to głos rozumu czy duszy, to było jak szum liści na wietrze czy jak szelest słomy. Złość mnie wtedy brała: dlaczego oni tak żałośnie wyją, ludźmi już nie są, a krzyczą tak żałośnie. Trzeba być z kamienia, żeby słyszeć takie wycie i jeść swój przydzielony chleb. Wychodziłam czasami ze swoim przydziałem w pole i nasłuchiwałam: wyją. Szłam dalej, no, jakby już ucichło, robię jeszcze kilka kroków i znów słyszę - to już sąsiednia wieś wyje. I wydaje mi się, że cała ziemia wyje razem z ludźmi. Boga nie ma, kto usłyszy?

Jeden enkawudzista powiedział mi raz: „Wiesz, jak w obwodzie nazywają wasze wsie? Cmentarze surowej szkoły”. Ale nie od razu zrozumiałam te słowa.

A jaka była wtedy piękna pogoda! Na początku lata padały deszcze, takie szybkie, lekkie, upalne słońce na przemian z deszczem. Pszenica dzięki temu stała jak ściana, choć toporem ją

rąbać, wysoka, wyższa od człowieka. Napatrzyłam się tamtego lata na tęczę. I na burzę, i na ciepłe ulewy.

Chłopi zastanawiali się zimą, czy będzie urodzaj, wypytywali starych ludzi, wspominali przykłady - całą nadzieję pokładali w ozimej pszenicy. I nie zawiodła ich ta nadzieja, ale nie mogli już kosić. Wstąpiłam do jednej chaty. Ludzie leżą, nie wiem, czy jeszcze oddychają, czy już oddychać przestali, jeden na łóżku, drugi na piecu, a gospodarska córka - znałam ją - leży na podłodze, jakby rozum postradała, gryzie nogę od stołka. Strasznie to wyglądało. Usłyszała, że weszłam, ale nie odwróciła się, tylko warknęła, jak warczy pies, jeśli ktoś do niego podchodzi, kiedy obgryza kość.

Ludzie zaczęli masowo umierać. Najpierw dzieci, starcy i starszki, potem ludzie w średnim wieku. Z początku chłopi zakopywali zmarłych, potem dali spokój. Walały się więc trupy na ulicach, na podwórzach, a ostatnie zostały w chatach. Zapadła cisza. Wymarła cała wieś. Kto umierał ostatni, tego nie wiem...

Nas, którzy pracowaliśmy w zarządzie, zabrano do miasta.

Z początku trafiłam do Kijowa. Zaczęto wtedy właśnie sprzedawać chleb komercyjny. Co się tam działo! Kolejki na pół kilometra ustawiały się jeszcze z wieczora. Kolejki, sam wiesz, bywają różne - w jednej ludzie stoją, żartują, pestki gryzą, w drugiej spisują numery na papierku, w trzeciej nie ma żartów: wypisują numery na dłoni albo kredą na plecach. A tu były kolejki szczególne - takich nigdzie więcej nie widziałam: jeden drugiego obejmuje w pasie i tak stoją jeden przy drugim. Jeśli kto się potknie, cała kolejka się chwieje, jakby fala po niej przebiegła. I zaczyna się coś w rodzaju tańca - z boku na bok. Coraz mocniej się ludzie kołyszą. Strach ich ogarnia, każdy się boi, że zabraknie mu sił, żeby się trzymać tego, co stoi przed

nim, że mu ręce opadną. A z tego strachu kobiety zaczynają krzyczeć i cała kolejka wyje. Tak to wygląda, jakby postradali rozum - śpiewają i tańczą. A czasem łobuzeria wdziera się do kolejki: patrzą dranie, gdzie łańcuch najłatwiej przerwać. Więc na widok chuliganów, którzy się zbliżają, cała kolejka znowu wyje ze strachu, a wydaje się, że to wszyscy śpiewają. W kolejce po chleb komercyjny stali ludzie miejscy pozbawieni

praw - liszeńcy, bezpartyjni, rzemieślnicy albo mieszkańcy przedmieść.

A ze wsi pełźnie chłopstwo w kierunku kolei i miasta. Na dworcach kordony - wszystkie pociągi rewidują. Na drogach wszędzie posterunki - wojsko, NKWD, a jednak głodni przedostają się do Kijowa - pełzną przez pola, ugory, bagna, laski, byleby ominąć posterunki na drogach. Na całej ziemi nie da się postawić straży. A już chodzić nie mogą, tylko pełzną. W mieście ludzie spieszą do swoich spraw: jedni do pracy, drudzy do kina, tramwaje jeżdżą, a głodni pełzną wśród przechodniów - dzieci, mężczyźni, dziewczyny - i wydaje się, że to wcale nie ludzie, ale jakieś wstrętne czworonogi. I toto chce jeszcze wyglądać po ludzku, wstyd jeszcze ma, dziewczyna pełźnie spuchnięta z głodu, podobna do małpy, jęczy, a spódnicę obciąża, wstydzi się, włosy chowa pod chustkę - wsiowa, po raz pierwszy do Kijowa trafiła. Ale tylko szczęściarze dopełzli do miasta, jeden na dziesięć tysięcy. A i tak nie było dla nich ratunku - leży głodny człowiek na ziemi, syczy, prosi, a jeść już nie może, kawałek chleba rzucony leży obok, a on już go nie widzi, nic nie widzi, dogorywa.

Z rana na ulice wyjeżdżały konne platformy, zbierano tych, co w nocy umarli. Widziałam jedną taką platformę - leżały na niej dzieci. Tak wyglądały, jak już mówiłam: chudziutkie, długie, 155

twarzyczki jak u martwych ptaków, dzióbki ostre. Doleciały te ptaszki do Kijowa, i co z tego? Ale były wśród nich i takie, co jeszcze piszczały i kiwały główkami. Zapytałam woźnicę, co z nimi będzie, ręką tylko machnął: zanim przywiozę na miejsce, ucichną.

Widziałam: dziewczyna czołgała się po chodniku, dozorca kopnął ją, stoczyła się na jezdnię. Nie obejrzała się nawet, pełźnie szybko, skąd ma jeszcze siły? I sukienkę otrzepuje, bo się zabrudziła, widzisz. Kupiłam tego dnia moskiewską gazetę, przeczytałam artykuł Maksyma Gorkiego o tym, że dzieciom są potrzebne kulturalne zabawki. Czyż Maksym Gorki nie wiedział o tych dzieciach, które na platformach zawożono na śmietnisko? Czy to im są potrzebne zabawki? A może wiedział? I milczał jak wszyscy. I tak samo pisał, jak tamci pisali, że niby te martwe dzieci jedzą rosołek z kury. Woźnica powiedział

mi: „Najwięcej trupów zbieramy koło komercyjnych sklepów z chlebem - zje taki spuchnięty biedak kawałek, i gotów". Zapamiętałam ja ten Kijów, choć byłam tam tylko trzy dni. Zrozumiałam jeszcze taką rzecz. Na początku głód wypędza z domu. Na początku parzy jak ogień, rozrywa i kiszki, i duszę, wtedy właśnie człowiek z domu ucieka. Ludzie wykopują robaki, rwą trawę, widzisz, docierali nawet do Kijowa. Ciągłe z domu i z domu. Ale nadchodzi taki dzień, kiedy człowiek głodny pełźnie z powrotem do swojej chaty. To znaczy: pokonał go głód i człowiek już nawet nie próbuje się ratować. Kładzie się do łóżka i leży. A jeśli głód człowieka pokonał, nie ma sposobu, by go podnieść. I to nie tylko dlatego, że brak mu sił, ale że nic już go nie obchodzi, żyć mu się nie chce. Leży spokojnie, nie trzeba go ruszać. Jeść już mu się nie chce, ciągle się moczy, ma biegunkę. I robi się senny. Nie trzeba go ruszać, trzeba go

156
zostawić w spokoju. Leżą tak głodni i dogorywają. To samo mówili mi jeńcy - jeśli jeniec się kładzie na pryczy i nie dba o przydział, to znaczy, że zbliża się koniec. Niektórych ogarniało szaleństwo. Ci do końca nie mogli się uspokoić. Można ich poznać po oczach - błyszczą im oczy. Tacy właśnie rozbierali na części martwych i gotowali, własne dzieci zabijali i jedli. Budziło się w nich zwierzę, a człowiek umierał. Widziałam taką kobietę, przywieźli ją do rejonu pod konwojem - twarz miała ludzką, a oczy wilcze. Podobno wszystkich takich ludzi, ludożerców, rozstrzeliwano. A nie oni byli winni przecież, winni byli ci, którzy matkę doprowadzili do tego, że zjadała własne dzieci. Ale możesz pytać kogo chcesz, nie znajdziesz winnych. To dla dobra, dla szczęścia ludzkości doprowadzali matki do tak strasznych rzeczy.

Zrozumiałam wtedy: człowiek głodny to jakby ludożerca. Mięso z siebie samego zjada, zostają same kości, tłuszcz jest zjedzony doszczętnie. Potem mąci mu się w głowie - to znaczy, że zjadł własny mózg. Całego siebie zjada człowiek głodny. Myślałam jeszcze - każdy głodny człowiek umiera na swój sposób. W jednej chacie - toczy się prawdziwa wojna, jeden drugiego podgląda, jeden drugiemu odbiera ostatnie okruchy. Żona huzia na męża, mąż staje przeciw żonie. Matka nienawidzi dzieci. A w innej chacie - miłość nienaruszona. Znałam

taką jedną kobietę, miała czworo dzieci. Sama z trudem porusza językiem, ale opowiada dzieciom bajki, żeby zapomniały o głodzie. Bierze każde dziecko na ręce, choć nie ma siły podnieść nawet pustych rąk. Ale żyje w niej miłość. Ludzie to widzieli - tam gdzie nienawiść, tam prędzej wszyscy umierali. Tyle że ta miłość też nikogo nie uratowała. Cała wieś wymarła, nikt nie pozostał.

157

Dowiedziałam się o tym później - cicho się zrobiło w naszej wsi. I dzieci nie słyhać. Tam już ani zabawek, ani rosołku z kury nie trzeba... Nie wyli. Nie miał kto wyć. Dowiedziałam się, że pszenicę kosiło wojsko, nie puszczano jednak żołnierzy do wymarłej wsi, mieszkali w namiotach. Wytłumaczono im, że we wsi była epidemia. A żołnierze narzekali, że bije stamtąd okropny odór. Wojsko posiało także zboża ozime. A w następnym roku przywieziono przesiedleńców z obwodu orłowskiego - przecież ziemia na Ukrainie to czarnoziem, a orłowscy zawsze mieli nieurodzaj. Kobiety z dziećmi zostawili koło dworca w barakach, a mężczyźni zawieźli do wsi. Dali im widły i kazali chodzić po chatach i wyciągać trupy. Zmarli, mężczyźni i kobiety, leżeli na podłodze, na łózkach. W chatach panował straszny fetor. Chłopi obwiązywali sobie usta i nosy chustkami, zaczęli wyciągać ciała, a trupy rozpadają się na kawałki. Potem zakopali te kawałki za wsią. Wtedy właśnie zrozumiałam - to jest cmentarz surowej szkoły! Kiedy usunęli z chat trupy, przyprowadzili kobiety, żeby umyły podłogi, pobielily ściany. Zrobiły to wszystko, ale fetor pozostał. Po raz drugi pobielily chaty i pomazały podłogi świeżą gliną. Na próżno, jak cuchnęło, tak cuchnie. Nie mogli więc przesiedleńcy w tych chatach ani jeść, ani spać i wrócili do siebie, do obwodu orłowskiego. Ale ziemia, oczywiście, nie mogła leżeć odłogiem - taka dobra ziemia!

A tamci jak gdyby nigdy nie żyli. A tyle się tam działo. I miłość, i żony rzucały mężów, i córki wydawali za mąż, i bili się po pijanemu, i gości przyjmowali, i chleb piekli... A jak pracowali! Jak pieśni śpiewali! Dzieci chodziły do szkoły... I przyjeżdżało kino objazdowe, nawet najstarsi chodzili oglądać filmy.

158

Nic nie zostało. A gdzież to życie, ta straszna męka? Czy to możliwe, że nic nie zostało? Czyż to możliwe, że nikt nie odpowie za to, co tutaj się działo? Że tak wszystko się zapomni, że nie pozostanie ślad? Trawą porośnie?

Więc pytam cię, jakże to może być?

Widzisz, minęła nasza nocka, już świta. Pora iść do pracy.

15

Głos Wasilij Timofiejewicz miał cichy, ruchy niepewne. Kiedy się zwracał do Hanny, dziewczyna spuszczała piwne oczy i odpowiadała ledwie słyszalnie.

Po ślubie bardzo się oboje wstydzili: on, pięćdziesięcioletni mężczyzna, do którego dzieci sąsiadów mówiły „dziadku”, krępował się, że szpakowaty i łysiejący, z twarzą pooraną zmarszczkami, ożenił się z taką młodą dziewczyną, jest szczęśliwy ze swojej miłości, patrzy na nią i szepcze: „Gołąbko moja... serduszko”. Ona kiedyś jeszcze jako mała dziewczynka wyobrażała sobie przyszłego męża: miał być i Szczorsesem, i najlepszym harmonistą we wsi, i poetą, miał pisać wzruszające wiersze jak Taras Szewczenko. Jej łagodne serce oceniło jednak siłę miłości tego pechowego, biednego, żyjącego zawsze nie swoim, ale cudzym życiem, nieśmiałego i niemłodego mężczyzny. On rozumiał jej młode nadzieje - oto przyjdzie po nią wioskowy rycerz i zabierze ją z ciasnej chaty ojczyma... Ale przyszedł po tę Hannę on, w starych buciorach, z wielkimi chłopskimi rękami, pochrzäkując z zażenowania, i patrzył na nią z uwielbieniem. Czuł się szczęśliwy, a zarazem winny, zmartwiony, Hanna zaś, czując się także winna wobec niego, była łagodna i małomówna.

160

Syn ich, Grisza, urodził się cichy, nigdy nie płakał. Matka, podobna po połogu do szczupłej dziewczynki, pochylała się w nocy nad kołyską niemowlęcia i widząc, że malec leży z otwartymi oczami, mówiła:

- Popłacz choć troszkę, Griszeńka. Dlaczego ty ciągle milczysz?

W chacie mąż i żona rozmawiali zawsze półgłosem, aż się sąsiedzi dziwili:

- Ta, czoho ce wy tak tycho bałakajecie?

I - rzecz dziwna - ta młoda kobieta i ten starszy, brzydki

mężczyzna byli bardzo do siebie podobni: takie same łagodne serca, taka sama nieśmiałość.

Pracowali oboje od świtu do nocy i nawet nie mieli odwagi westchnąć, kiedy brygadzysta poza kolejką wysyłał ich w pole. Pewnego dnia Wasilij Timofiejewicz z polecenia kołchozowej stajni pojechał z przewodniczącym do rejonu i podczas gdy tamten załatwiał sprawy w wydziale rolnym i finansowym, przywiązał konie do słupa i wstąpił do sklepu po gościniec dla żony: kupił jej ciastek z makiem, landrynek, herbatników, orzechów, wszystkiego po trochu, po piętnaście deka. A kiedy po powrocie do chaty rozwiązał białą chusteczkę z prezentami, żona zaczęła klaskać z radości jak dziecko i zawołała: „Oj, mamó!”. I Wasilij Timofiejewicz wyszedł zażenowany do sieni, żeby Hanna nie widziała łez w jego uszczęśliwionych oczach.

Na święta żona wyhaftowała mu koszulę, ale nie dowiedziała się nigdy, że owej nocy Wasilij Timofiejewicz Karpienko prawie nie spał, raz po raz podchodził boso do komódki, na której leżała koszula, gładził ją, dotykał wyhaftowanego krzyżykami prostego wzoru. Kiedy wioził żonę z rejonowej kliniki położniczej do domu, Hanna trzymała niemowlę na rękach, a jemu
161

się wydawało, że nigdy tego dnia nie zapomni, choćby miał żyć jeszcze i tysiąc lat.

Czasami ogarniał go strach - czy to możliwe, że spotkało go takie szczęście, czy to możliwe, że budząc się w nocy, słyszy oddech żony i syna?

Tak to było. Wracając z pracy do domu, Wasilij Timofiejewicz cieszył się na widok schnącej na płocie pieluszki, dymku z komina. Patrzył na żonę - oto pochyla się nad kołyską, stawia na stole talerz z barszczem i uśmiecha się do jakichś swoich myśli. Patrzył na jej ręce, na włosy wymykające się spod chustki, słuchał jej opowieści o niemowlęciu, o owcy sąsiadów. Niekiedy Hanna wychodziła do sieni, a wtedy od razu robiło mu się smutno, tęsknił za nią, kiedy jej przy nim nie było, czekał na jej powrót i cieszył się, kiedy wracała. A ona, czując na sobie spojrzenie męża, uśmiechała się do niego łagodnie i smutno. Wasilij Timofiejewicz umarł pierwszy, na dwa dni przed małym synkiem. Oddawał niemal wszystko, wszystkie nędzne okruchy jedzenia, żonie i dziecku, dlatego też umarł wcześniej

niż oni. Nie było chyba na świecie większego poświęcenia niż to, jakie on okazał, ani większej rozpacz niż ta, jaką czuł, patrząc na zniekształconych przedśmiertnym obrzękiem tych dwoje: żonę i synka.

Ale do ostatniej swojej godziny nie wypowiedział słowa skargi, nie zbuntował się przeciw ogromnej i bezsensownej sprawie rozpętanej przez państwo i Stalina. Nie zapytał nawet: „Za co?“, za co na udrękę głodowej śmierci skazano jego i żonę, ludzi łagodnych, pokornych i pracowitych, i ich cichutkiego, rocznego synka.

162

Szkielety leżały razem przez zimę w butwiejących szmatach - mąż, młoda żona i malutki synek, nierozłączni nawet po śmierci.

Później, już na wiosnę, kiedy przyleciały szpaki, pełnomocnik wydziału rolnego wszedł do chaty, zasłaniając usta i nos chustką, obejrzał naftową lampę bez szkiełka, małą ikonę, komódkę, zimne saganki, łóżko i powiedział:

- Tutaj dwoje i małe.

Stojąc na tym świętym progu miłości i czułości, brygadzysta kiwnął głową i postawił znaczek na papierku.

Po wyjściu na powietrze pełnomocnik spojrzął na białe chaty, na zielone ogródki naokoło i zawyrokował:

- Jak sprzątniecie trupy, nie ma sensu odbudowywać tej budy.

I brygadzysta znów kiwnął głową.

16

W pracy Iwan Grigorjewicz nieraz słyszał opowieści o łapówkach, które biorą w sądzie miejskim, o stopniach, które w technikum radiowym można kupić dla dzieci zdających egzamin konkursowy, o dyrektorze fabryki, który za łapówki wydaje deficytowe metale spółdzielniom produkującym artykuły pierwszej potrzeby, o kierowniku młyna, który za skradzione pieniądze wybudował sobie piętrowy dom i kazał w nim ułożyć dębowy parkiet, o naczelniku milicji, który za zawrotną sumę sześciu set tysięcy rubli wypuścił na wolność jubilera, powszechnie znanego kanciarza. Słyszał, że nawet ojciec i gospodarz miasta - pierwszy sekretarz komitetu miejskiego - może za dobrą opłatą polecić przewodniczącemu rady miejskiej, by przydzielił

mieszkanie w nowym domu przy głównej ulicy.

Inwalidzi od rana byli bardzo podnieceni. Z obwodu nadeszła wiadomość o wyroku w sprawie magazyniera najbogatszej w mieście spółdzielni kuśnierskiej. Szyto tam futra i damskie pelisy, czapki z młodych renów i karakułów. I choć głównym oskarżonym w procesie był skromny magazynier, sprawa okazała się ogromna - niby ośmiornica objęła swoimi mackami życie i pracę dużego miasta. Na wyrok czekano od dawna i na jego temat toczono zazwyczaj zażarte spory podczas przerwy

164
obiadowej. Niektórzy mówili, że przybyły z Moskwy sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi nie zawaha się podać do wiadomości publicznej udziału prominentów miejskich w tej aferze.

Przecież nawet dzieci w mieście wiedziały, że miejscowy prokurator jeździ wołgą ofiarowaną mu przez łysego jąkałę magazyniera, że sekretarzowi komitetu miejskiego przywieziono z Rygi w prezencie od magazyniera komplet mebli do jadalni i sypialni, że żona komendanta milicji na koszt tegoż magazyniera wybrała się samolotem do Adleru, gdzie spędziła dwa miesiące w sanatorium Rady Ministrów, a w dzień wyjazdu otrzymała piękny prezent - pierścionek ze szmaragdem.

Inni, sceptycy, mówili, że sędzia z Moskwy nie wytoczy procesu ojcom miasta, a cios będzie wymierzony wyłącznie w magazyniera i zarząd spółdzielni.

I oto syn magazyniera, który przyleciał samolotem z miasta obwodowego, przywiózł nieoczekiwaną wiadomość: śledczy do spraw szczególnej wagi umorzył tę sprawę z braku cech przestępstwa, wobec czego magazynier wyszedł na wolność, a zobowiązanie nieopuszczania miasta złożone przez przewodniczącego i dwóch członków spółdzielni zostało anulowane.

Ta decyzja moskiewskiego dostojnika z jakiegoś powodu rozśmieszyła i ubawiła wszystkich w spółdzielni - i sceptyków, i optymistów. Podczas przerwy obiadowej inwalidzi jedli chleb, kiełbasę, pomidory i ogórki, śmiejąc się i żartując - bawiła ich ludzka słabość ważnego sędziego i śmieszyła wszechpotęga łysego jąkały-magazyniera.

Iwan Grigorjewicz pomyślał, że droga, która się zaczęła od gardzących pieniędzmi bosych apostołów i fanatyków komu-

nizmu, nieprzypadkowo doprowadziła ostatecznie do ludzi
165

dopuszczających się niezliczonych oszustw dla zdobycia wspaniałej dachy, własnego samochodu i garnka z pieniędzmi.

Wieczorem, po pracy, Iwan Grigorjewicz wstąpił do przychodni i zajrzał do gabinetu lekarza, którego nazwisko słyszał od Anny Siergiejewny. Lekarz właśnie zdejmował biały fartuch.

- Panie doktorze, chciałem się dowiedzieć o zdrowie Anny Siergiejewny Michalewej.

- A kim pan jest dla niej, mężem czy ojcem? - zapytał lekarz.

- Nie, nie jestem jej krewnym, ale to bliska mi osoba.

- A - powiedział lekarz. - Cóż, mogę panu powiedzieć, że ma raka płuc. Nie pomoże tu ani chirurg, ani wyjazd do uzdrowiska.

17

Minęły trzy tygodnie, Annę Siergiejewną zabrano do szpitala. Żegnając się, powiedziała do Iwana Grigorjewicza:

- Widać nie było nam sądzone szczęście na tym świecie.

W dzień, pod nieobecność Iwana Grigorjewicza, przyjechała siostra Anny Siergiejewny i zabrała na wieś Aloszę.

Iwan Grigorjewicz wrócił do pustego pokoju. Otoczyła go cisza. I wydało mu się nagle, że choć przeżył całe życie samotnie, dopiero tego wieczoru poczuł naprawdę, czym jest samotność.

W nocy nie spał, myślał. Tak, szczęście nie jest mu, widać, sądzone... Tylko dalekie dzieciństwo wydawało mu się jasne.

Teraz, kiedy szczęście uśmiechnęło się do niego, było tuż obok, z całą wyrazistością ocenił życie, jakie mu przypadło w udziale.

Wielki ból sprawiała świadomość własnej bezradności, niemożności uratowania Anny Siergiejewny, ulżenia jej w czekających ją ostatnich cierpieniach. I - rzecz dziwna - Iwan Grigorjewicz jakby znajdował pewną ulgę, wspominając lata, które spędził w obozie i więzieniu.

Myślał o tych latach, usiłując dociec, co leży u podstaw życia w Rosji, zrozumieć związek między przeszłością a obecnymi czasami.

167

Miał nadzieję, że Anna Siergiejewna wróci ze szpitala, a wówczas będzie mógł opowiedzieć jej wszystko, co przemyślał i co sobie przypomniał.

I ona podzieli z nim ból i dobrodziejstwo zrozumienia. W tej myśli znajdował pociechę, w niej wyrażała się jego miłość.

18

Iwan Grigorjewicz często przypominał sobie miesiące w Więzieniu Wewnętrznym i później na Butyrkach.

W więzieniu butyrskim siedział trzykrotnie, ale szczególnie zapamiętał lato 1937 roku - żył wtedy jak we mgle, w stanie lekkiego zamroczenia, i dopiero teraz, po siedemnastu latach, ta mgła się rozproszyła i zobaczył wyraźnie to, co się wówczas działo.

W 1937 roku więzienia były przepełnione, do cel przeznaczonych dla kilkudziesięciu więźniów pakowano ich setki. Podczas lipcowych i sierpniowych upałów złani potem, na wpół przytomni ludzie leżeli na pryczach w nieprawdopodobnej ciasnocie, jeden przy drugim; w nocy mogli przewracać się z boku na bok tylko razem, na komendę starosty - dowódcy dywizji kawalerii. Do kibla szli, stąpając po śpiących kolegach, przy samym zaś kiblu na podłodze spali nowicjusze zwani kiblarzami. Sen w tej potwornej duchocie i ciasnocie był podobny do stanu zamroczenia, omdlenia, do majaczeń chorego na tyfus.

Miało się wrażenie, że ściany więzienia drżą jak ściany kotła rozsadanego potężnym ciśnieniem od wewnątrz. Życie na Butyrkach huczało jak noc długa. Na dziedzińcu więziennym rozlegał się warkot samochodów: to przywożono trupio bladych

169

ludzi, którzy patrzyli z przerażeniem na ogromne więzienne państwo. Huczały ogromne czarne samochody, zabierające więźniów na Łubiankę, na przesłuchanie, na punkt etapowy do więzienia krasnopriesnienskiego, do Lefortowa na tortury, na miejsce załadunku do specjalnych wagonów na Syberię. Konwojenci wrzeszczeli do nich: „Z rzeczami!”, a koledzy się z nimi żegnali. W zalanych światłem elektrycznym korytarzach rozlegało się szuranie nóg więźniów, brzęk broni konwojentów, przy spotkaniu dwóch aresztowanych pospiesznie wpychano jednego do boksu w ścianie - stał tam w ciemności i czekał. Okna cel były zasłonięte grubymi drewnianymi okiennicami,

tak że światło przenikało tam z zewnątrz przez wąską szparę. Porę doby więźniowie określali nie według słońca czy gwiazd, ale według rozkładu więziennego dnia. Światło paliło się przez całą dobę, bezlitośnie jaskrawe, miało się wrażenie, że to żarówki tryskają duchotą i żarem. Wentylator huczał w dzień i w nocy, ale upalne lipcowe powietrze nie przynosiło więźniom ulgi. A w nocy wypełniało płuca i czaszkę niczym gorący wojłok. Nad ranem więźniowie wracali z nocnych przesłuchań do celi i bez sił padali na pryczę. Jedni popłakiwali, jęczeli, inni siedzieli bez ruchu w milczeniu i patrzyli przed siebie szeroko otwartymi oczami, a jeszcze inni rozcierali spuchnięte nogi i gorączkowo opowiadali. Niektórych konwojenci wlekli do celi. Innych, po przesłuchaniu trwającym kilka dni bez przerwy, zabierano na noszach do więziennego szpitala. W gabinecie śledczego duszna, smrodliwa cela wydawała się rajem więźniowi, który z żalem przypominał sobie miłe, udręczone twarze sąsiadów z pryczy.

Te dziesiątki, tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi - a byli wśród nich sekretarze komitetów rejonowych i obwodowych, komi-
170

sarze wojenni, szefowie wydziałów politycznych, dyrektorzy fabryk i sowchozów, dowódcy pułków, dywizji i armii, kapitanowie żeglugi wielkiej, agronomowie, pisarze, zootechnicy, pracownicy handlu zagranicznego, inżynierowie, dyplomaci, czerwoni partyzanci, prokuratorzy, przewodniczący komitetów fabrycznych, profesorowie - świadczyły o różnorodności poruszonych przez rewolucję warstw społecznych. Obok Rosjan byli tam Białorusini, Ukraińcy, Żydzi litewscy i ukraińscy, Ormianie, Gruzini, flegmatyczni Łotysze, Polacy, mieszkańcy republik środkowoazjatyckich. Do rewolucji i na wojnę domową poszli jako żołnierze, robotnicy, chłopci, studenci, gimnazjaliści i rzemieślnicy, którzy porzucili swoje warsztaty. Rozgromili armie Kornilowa i Kaledina, Kołczaka, Denikina, Judenicza, Wrangla i jak nawałnica wdarli się ze wszystkich stron w głąb rosyjskich pustkowi. Rewolucja zlikwidowała normę procentową, cenzus majątkowy i przywileje szlacheckie, zmiotła z powierzchni ziemi strefę osiedlenia i setki tysięcy osób - chłopów, robotników, majstrów, studentów, młodzieży ze wsi wołogodzkiej i żydowskich miasteczek - zaczęły wodzić rej w komitetach rewolucyjnych,

w powiatowych i gubernialnych czczewczajkach, w komitetach powiatowych, w sownarchozach, w radach gospodarki narodowej, w powiatowych zarządach opałowch, w gubernialnych komitetach żywnościowych, w wydziałach oświaty politycznej, w kombinatach. Rozpoczęła się budowa nowego państwa, jakiego jeszcze świat nie widział. Ofiary, okrucieństwa, nędza - wszystko to nie miało znaczenia, bo dokonywało się w imię Rosji, pracującej ludzkości, gwoli szczęścia ludzi pracy. Nadeszły lata trzydzieste, młodzi bojownicy wojny domowej zmężnieli, stali się czterdziestoletnimi mężczyznami, włosy zaczęły im siwieć. Dla nich czasy rewolucji, komitetów biedoty,

171
pierwszego i drugiego kongresu Kominternu były szczęśliwymi, romantycznymi czasami młodości. Siedzieli w gabinetach z telefonami i sekretarzami, zamienili bluzy na marynarki i krawaty, jeździli samochodami, zasmakowali w dobrym winie, polubili Kisłowodzk, leczyli się u słynnych lekarzy, ale mimo to czasy budionnówek, skórzanych kurtek, kaszy jaglanej, podartych butów, wzniosłych idei i światowej komuny pozostały dla nich najpiękniejszym okresem w życiu. Nie dla posiadania daczy i samochodów budowali nowe państwo. Budowali je dla rewolucji. W imię rewolucji i nowej Rosji bez ziemian i kapitalistów składano ofiary, popełniano okrucieństwa i stosowano przemoc.

Pokolenie ludzi radzieckich, które odeszło w latach 1936 i 1939, nie było oczywiście monolitem.

Pierwsi padli pod ciosem fanatycy, ci, co zburzyli stary świat. Ich patetyczna postawa, ich fanatyzm, ich oddanie rewolucji znalazły wyraz w nienawiści do jej wrogów.

Nienawidzili burżuazji, szlachty, mieszczan, filistrów, zdrajców klasy robotniczej - mienszewików i eserowców, zamożnych chłopów, oportunistów, speców wojskowych, sprzedajnej sztuki burżuazyjnej, zaprzędanych burżuazji profesorów, elegantów w krawatach, lekarzy uprawiających praktykę prywatną, upudrowanych kobiet w jedwabnych pończochach, eleganckich studentów, popów, rabinów, inżynierów w mundurowych czapkach, poetów piszących - jak Fet - demoralizujące wierszyki o pięknie przyrody, nienawidzili Kautskiego, MacDonalda; nie czytali Bernsteina, ale go potępiali, choć los ich potwierdzał

jego dewizę: „Cel jest niczym - ruch wszystkim”.

Zburzyli stary świat i pragnęli nowego, ale go nie budowali.

Serca tych ludzi, którzy utopili ziemię w morzu krwi, którzy tak
172

wiele i namiętnie nienawidzili, były dziecinnie prostoduszne, pozbawione złości, były to serca fanatyków, może szaleńców. Oni nienawidzili gwoli miłości.

Byli jak dynamit, przy ich pomocy partia burzyła starą Rosję, przygotowując miejsce dla nowych wykopów, nowych budów, dla granitu wielkiej państwowości.

A obok tych burzycieli stanęli pierwsi budowniczości. Ci z zapalem tworzyli partyjny aparat państwowy, budowali fabryki i kombinaty, wytyczali koleje i szosy, kopali kanały, mechanizowali rolnictwo.

Byli to pierwsi czerwoni kupcy, pionierzy radzieckiego przemysłu - żeliwa, perkalu, samolotów. Ci - niepomini dnia ani nocy, równie odporni na syberyjskie mrozy jak na żar Kara-Kum - robili wykopy i wznosili wieżowce. Gwacharija, Frankfurt, Zawieniagin, Gugel... Niewielu z nich umarło śmiercią naturalną. U ich boku pracowali przywódcy partyjni, twórcy i zarządcy republik radzieckich, okręgów, obwodów - Postyszew, Kirow, Warejkis, Betał Kałmykow, Fajzuła Chodżajew, Mendel Chatajewicz. Żaden z nich nie umarł śmiercią naturalną.

Byli to ludzie niezwykli: mówcy, znawcy literatury, filozofii, miłośnicy poezji, myśliwi, hulacy.

Ich telefony dzwoniły przez całą dobę, ich sekretarze pracowali na trzy zmiany, ale w odróżnieniu od fanatyków i marzycieli oni umieli także odpoczywać - doceniali jasne, obszerne dachy, przepadali za polowaniem na dziki i kozice, za wesołymi, wielogodzinnymi niedzielnymi obiadami, za ormiańskim koniakiem i gruzińskimi winami. Nie nosili już w zimie podartych skórzanych płaszczy, gabardyna ich stalinowskich bluz kosztowała więcej niż angielskie wełny.

Odnaczali się wszyscy energią, silną wolą i całkowitym
173

brakiem człowieczeństwa. Wszyscy - i wielbiciele przyrody, i amatorzy poezji, i melomani, i wesołkowie - byli nieludscy. Nie wątpili ani przez chwilę, że nowy świat buduje się dla ludu. Nie dziwiło ich, że wśród przeszkód, jakie napotykali

budując ten nowy świat, najtrudniejsze do pokonania tkwi zazwyczaj w samych robotnikach, chłopach, inteligencji. Czasem miało się wrażenie, że właśnie na to, aby zmusić człowieka do pracy ponad siły - z godzinami nadliczbowymi i bez świąt - do głodowania, do spania w baraku, do godzenia się na nędzne zarobki, a przy tym do nieznanych przedtem podatków pośrednich, pożyczek, kontyngentów, domiarów, że właśnie na to wszystko idzie potężna energia, niezłomna wola i bezgraniczne okrucieństwo przywódców nowego świata. Człowiek budował to, co wcale nie było mu potrzebne, nie potrzebny był Kanał Białomorsko-Bałtycki, arktyczne kopalnie, koleje podbiegunowe, arcy ciężkie, ukryte w tajdze fabryki arcy potężne elektrownie wodne wybudowane także w tajdze na bezludziu. Często wyglądało na to, że państwu (nie tylko ludziom) nic po tych fabrykach, po tych pustynnych morzach i kanałach. Niekiedy zaś miało się nieodparte wrażenie, że te potężne budowle wznosi się tylko po to, by zakuć w kajdany ciężkiego trudu milionowe rzesze ludzkie.

Marks, wielki marksista Lenin i wielki kontynuator jego dzieła Stalin głosili, że pierwszą zasadą teorii rewolucyjnej jest prymat ekonomiki nad polityką. I żaden z budowniczych nowego świata nie zastanowił się nad tym, że budując niepotrzebne ludziom, a często także i państwu, ogromne zakłady przemysłu ciężkiego, zadaje kłam tezie Marksa.

U podstaw państwa, założonego przez Lenina, a zbudowanego przez Stalina, leżała polityka, a nie ekonomia.

174

Polityka decydowała o treści stalinowskich pięciolatek, o planie wielkich robót. Polityka triumfowała niepodzielnie nad ekonomiką we wszystkich posunięciach Stalina, jego Rady Komisarzy Ludowych, jego Gosplanu, jego Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego, jego Ludowego Komisariatu Rolnictwa, jego Komitetu Dostaw Obowiązkowych, jego Ludowego Komisariatu Handlu.

Budowniczowie nie uważali już - jak w czasach wojny domowej - że dokonują rewolucji światowej, wprowadzają komunizm na całym świecie. Ale wierzyli, że socjalizm zbudowany w jednym kraju, w młodej Rosji, to świt socjalizmu na całym świecie.

Ale oto nadszedł rok 1937 i więzienia wypełniły się setkami tysięcy ludzi należących do pokolenia rewolucji i wojny domowej. To oni obronili w swoim czasie państwo radzieckie, oni byli jego ojcami, a jednocześnie jego dziećmi. Ale wtrącono ich do więzień, które zbudowali dla wrogów nowej Rosji. Uderzyła w nich karząca siła dyktatury, groźna potęga ustroju, który stworzyli - miecz rewolucji, który wykuli własnymi rękoma, spadł na ich głowy. Wielu zaczęło się wydawać, że nadeszła pora chaosu, szaleństwa.

Dlaczego ich zmuszano, by przyznawali się do przestępstw, których nie popełnili, ogłaszano wrogami ludu, izolowano od tego życia, które stworzyli i obronili w ciężkich walkach? Porównywanie ich do tych, którymi gardzili, których nienawidzili i z okrutnym fanatyzmem tępil jak wściekłe psy, wydawało im się czystym szaleństwem.

Znaleźli się w celach więziennych i obozowych barakach wraz z niedobitkami mieńszewików oraz z byłymi fabrykantami i ziemianami.

175

Niektórym się wydawało, że dokonano zamachu stanu, że władzę zagarnęli wrogowie i posługując się radzieckim słownictwem i radzieckimi pojęciami, rozprawiają się teraz z tymi, którzy zaplanowali i wybudowali państwo radzieckie.

Niekiedy prycza w pryczę leżeli obok siebie sekretarz komitetu rejonowego - zdemaskowany wróg ludu, i ten, kto go zdemaskował - nowy sekretarz komitetu rejonowego, który niebawem okazał się również wrogiem ludu; a po miesiącu w tej samej celi zamykano trzeciego - tego sekretarza komitetu rejonowego, który zdemaskował drugiego, po czym został także zdemaskowany jako wróg ludu.

Wszystko się przemieszało - stukot kół pociągów jadących na Północ, szczerkanie psów towarzyszących konwojentom, skrzypienie butów i lekkich pantofelków na chrzęszczącym śniegu tajgi, zgrzytanie piór sędziów na papierze, brzęk łopat, którymi kopano w zmarzniętej ziemi doły dla tych, co umarli na szkorbut, na zawał lub po prostu zamarзли na mrozie, pełne skruchy słowa tych, którzy prosili o pobłażliwość na zebraniach partyjnych i białymi, zmartwiałymi wargami powtarzali za śledczym: „Przyznaję się, że zostałem płatnym agentem obcego

wywiadu i kierowany zwierzęcą nienawiścią do wszystkiego, co radzieckie, przygotowywałem zamachy terrorystyczne na działaczy państwa radzieckiego, dostarczałem poufnych szpiegowskich wiadomości...".

Przygłuszony przez mury Butyrek i Lefortowa docierał do ich uszu nieustanny terkot wystrzałów - dziewięć gramów ołowiu w pierś lub w tył głowy tym tysiącom i dziesiątkom tysięcy ludzi niewinnych, którym „udowodniono” szczególnie szkodliwą działalność terrorystyczną i szpiegowską.

176

Na wolności budowniczo wie nowego świata zastanawiali się: „Wsadzą czy nie wsadzą?”. Wszyscy czekali na dzwonek w nocy, na szmer opon samochodu, który się nagle urywał przed bramą.

Wśród chaosu, nonsensów, wśród szaleństwa kłamliwych oskarżeń odchodziło pokolenie wojny domowej. Nadeszły nowe czasy, nowi ludzie wysunęli się na czoło...

19

Lowa Mekler, Lew Naumowicz... Na wolności nosił półbuty numer czterdzieści pięć, uszyty w Moskwie garnitur rozmiar pięćdziesiąt osiem. I oskarżono go z artykułu pięćdziesiąt osiem, punkty: zdrada ojczyzny, terror, dywersja, no i jeszcze jakieś drobiazgi.

Nie rozstrzelano go prawdopodobnie dlatego, że został aresztowany jako jeden z pierwszych, na samym początku, kiedy jeszcze nie panowała taka swoboda w wykonywaniu wyroków śmierci.

Patrząc roztargnionym spojrzeniem zmrużonych, krótkowzrocznych oczu, przeszedł, potykając się, przez wszystkie kręgi więziennego i obozowego piekła i nie zginął: ogień wiary płonący w jego sercu od lat młodzieńczych ochronił go przed nocnym czterdziestostopniowym mrozem i srogim wiatrem przed dystrofią i skorbutem; nie zginął, kiedy na Jeniseju za tonęła barka przepelniona więźniami, nie umarł na krwawą biegunkę.

Nie zarżnęli go kryminaliści, nie został zameczony w karcerze, oficer NKWD nie zatłukł go na śmierć podczas przesłuchania. Nie rozstrzelano go w okresie masowych czystek, kiedy zabijano co dziesiątego.

Skąd w tym synu smutnego i przebiegłego sklepikarza z miasteczka Fastow, uczniu szkoły handlowej, czytelniku książek ze „Złotej Biblioteki” i Louisa Boussenarda, wziął się ten potężny płomień fanatyzmu? Ani on, ani jego ojciec nie nabierali nienawiści do kapitalizmu, pracując w kopalniach czy zadymionych fabrykach. Kto tchnął w niego duszę bojownika? Czy tak podziałał nań przykład Żelabowa i Kalajewa, mądrość Manifestu komunistycznego, cierpienia żyjącej wokół niego biedoty?

Czy też ten potężny płomień, ten żar były utajone w tysiącletniej otchłani dziedziczności, gotowe rozgorzeć w walce z żołnierzami Rzymu, ze stosami hiszpańskiej inkwizycji, w głodnej zapamiętałości Talmudu Tory, w miasteczkowej samoobronie podczas pogromów?

Może odwieczny łańcuch upokorzeń, tęsknota w niewoli babilońskiej, poniżenie w getcie i nędza w strefie osiedlenia Żydów zrodziły i wykuły szaleńcze pragnienie, które rozżarzyło duszę bolszewika Lowy Meklera?

Jego nieprzystosowanie do życia ziemskiego wywoływało kpiny i podziw. Niektórym wydawał się świętym - przywódca komsomolców w podartych sandałach, w płóciennej koszuli bez kołnierzyka, bez czapki, z odkrytą kędzierzawą czupryną; komisarz pułku w wytartej skórzanej kurtce, w budionówce z wypłowiałą, bladą jakby od utraty krwi czerwoną gwiazdą. I zawsze jednakowo obdarty, nieogolony, zimą i latem w tym samym płaszczu bez guzików Lew Mekler, wszechpotężny stróż sprawiedliwości na Ukrainie, wysiadał ze służbowego samochodu i szedł do swojego ministerialnego gabinetu.

Wydawał się bezradny, nie z tego świata, ale ludzie pamiętali, z jakim zachwytem słuchali go żołnierze na burzliwych wiecach frontowych, jak szli za nim pod ogniem armii Wrangla.

Lew Naumowicz Mekler był kaznodzieją, apostołem i bojownikiem światowej rewolucji socjalistycznej. Dla rewolucji gotów był bez wahania oddać życie, poświęcić ukochaną kobietę swoich bliskich. Jednego tylko nie mógł poświęcić - szczęścia oddawszy rewolucji wszystko, co jest człowiekowi drogie na ziemi, wstąpiwszy w jej imię na stos, Lew Mekler czuł się szczęśliwy.

Przyszłe panowanie rewolucji nad całym światem wydawało mu się tak nieskończenie piękne, że spragniony tego panowania Lew Mekler gotów był stosować najbardziej bezlitosną przemoc.

Był człowiekiem dobrym z natury, nie zabijał komara ssącego jego krew, ale delikatnym przyczkiem spędzał go z ręki. Pluskwę złapaną na miejscu zbrodni zawijał w papierek i wynosił na dwór.

Jego służba dobru i rewolucji nacechowana była krwią i całkowitą bezwzględnością.

Konsekwentny w swojej rewolucyjnej pryncypialności Lew Mekler nie zawahał się wsadzić do więzienia ojca i złożył obciążające go zeznanie na kolegium w gubernialnej czerezwyczajce. Okrutnie i wrogo odwrócił się od siostry, która błagała, by obronił jej męża - sabotażystę.

Mimo całej wrodzonej łagodności Lew Mekler nie znał litości dla ludzi o innych przekonaniach. Rewolucja wydawała mu się bezradna, ufna jak dziecko, narażona na wiarołomstwo i okrucieństwo złoczyńców, na nikczemność deprawatorów.

Lew Mekler nie znał litości dla wrogów rewolucji.

Miał tylko jedną plamę na swoim rewolucyjnym sumieniu - w tajemnicy przed partią pomagał starej matce, wdowie po człowieku rozstrzelanym przez organa ścigania, a kiedy 180

umarła, dał pieniądze na pogrzeb religijny - taka była jej ostatnia, żalosna wola.

Jego słownictwo, sposób myślenia, postęпки płynęły z jednego źródła: książek napisanych w imię rewolucji, rewolucyjnego prawa, rewolucyjnej moralności, poezji rewolucji i jej strategii, kroku jej żołnierzy, jej prorocत्व, jej pieśni.

Jej oczami Lew Mekler patrzył na rozgwieżdżone niebo i na kwietniowe listowie brzoź, z jej najśłodszeogo kielicha pił urok pierwszej miłości, w jej mądrości poznawał walkę patrycjuszki i niewolników, feudałów i chłopów pańszczyźnianych, walkę klasową fabrykantów i proletariuszy. Rewolucja była jego matką, czułą kochanką, jego słońcem i jego losem.

I oto rewolucja zamknęła go w celi Wewnętrznego Więzienia, wybiła mu osiem zębów, kopiąc go nogami w oficerskich butach; przeklinając, wymyślając mu od parszywych Żydów,

żądała, żeby on, jej syn, jej kochanek, jej apostoł, uznał siebie za jej tajemnego truciciela, śmiertelnego wroga.

Lew Mekler nie wyparł się, oczywiście, rewolucji, nawet na chwilę nie zachwiała się jego wiara ani na przesłuchaniach trwających sto godzin, ani kiedy leżąc na podłodze, widział lśniący czubek wypucowanego chromowego buta przy swoich okrwawionych ustach.

Brutalna, tępa, okrutna była rewolucja na tych przesłuchaniach trwających przez wiele dni i nocy i przerywanych jedynie torturami, wpadała we wściekłość wobec wierności i łagodnej cierpliwości bolszewika Lwa Meklera.

Podobnie wpada we wściekłość gospodarz, który chce odpuścić nieodstępującego go ani na krok psa. Najpierw przyspiesza kroku, potem krzyczy na wierne zwierzę i tupie nogami, potem podnosi na nie kij i ciska w nie kamieniami. Pies odbiega,

181

przystaje, a kiedy jego pan, zrobiwszy ze sto kroków, ogląda się, widzi, jak zbity pies wlecze się za nim wiernie i wytrwale, pospiesznie kulejąc.

Największy zaś wstręt i nienawiść budzą wtedy w panu oczy psa: łagodne, smutne, kochające, pełne fanatycznego oddania psie oczy.

Ta psia miłość wywoływała szaleńczą wściekłość pana, pies widział tę wściekłość i nie mógł zrozumieć jej powodów. Nie mógł zrozumieć, że popełniając wobec niego najstraszliwszą niesprawiedliwość, pan jego chciał bodaj trochę uspokoić własne sumienie. Łagodność psa, jego wierność doprowadzały pana do szaleństwa, nienawidził swojego psa za jego miłość bardziej niż wilków, przed którymi pies bronił domu jego młodości. Brutalnym okrucieństwem pan chciał zabić miłość swojego psa.

Pies szedł za swoim panem wstrząśnięty tym nagłym, niepojętym okrucieństwem. Za co? Za co?

Pies nie mógł zrozumieć, że ta nagła nienawiść i nieprzejednana wrogość nie są bezmyślne, że wszystko to jest rzeczywiste i przemyślane.

W nienawiści wyrażała się pewna prawidłowość, jasna, matematyczna logika. A psu się wydawało, że to jakieś szaleństwo, nonsens, bał się nawet o swojego pana, chciał go uwolnić od

tego szaleństwa nie ze względu na siebie, ale na niego. Nie mógł odejść od swojego pana, przecież go kochał!

A pan już rozumiał, że pies go nie opuści, już wiedział, że pozostaje mu jedno: zabić wierne zwierzę, zastrzelić.

Nie chciał jednak, by stracenie wielbiącego go, ubóstwiającego psa zaciążyło na jego sumieniu i wywołało potępienie sąsiadów, postanowił więc podstępnie przeobrazić swojego
182

czworonożnego przyjaciela we wroga: niech przed śmiercią pies się przyzna, że chciał go zagryźć, chciał zagryźć swojego pana.

Łatwiej jest zabić wroga niż przyjaciela.

Przecież w tamtym domu, swoim pierwszym domu, który pan wybudował wśród ponurych, opuszczonych ruin, w domu, gdzie był młody, w domu jego czystych modlitw, pies był przyjacielem, strażnikiem, nieodstępnym towarzyszem.

Niech więc teraz się przyzna, że się zwałchał z wilkami.

I wśród ostatnich, śmiertelnych jęków, duszony zaciskającym się na szyi sznurem, pies patrzył na swojego pana z łagodnością i miłością, z taką samą wiarą jak ta, która prowadziła na śmierć pierwszych męczenników chrześcijaństwa.

Pies i tak nie rozumiał tej prostej rzeczy: porzuciwszy dom swojej młodości, dom pierwszych upojeń i modlitw, pan jego przeniósł się do domu z granitu i szkła, wiejski pies stał mu się obcy, stał się ciężarem. Przeszkadzał swemu panu i pan go zabił.

20

Minęły lata, opadły mgła i kurz, które przysłaniały to, co się działo. To, co się wydawało chaosem, szaleństwem, samozniszczeniem, zbiegiem niedorzecznych okoliczności, to, co swoją niepojętą, tragiczną bezsensownością doprowadzało ludzi do obłędu, zaczęło się stopniowo krystalizować, nabierać wyraźnych, jasnych cech nowego życia, nowej rzeczywistości.

Losy pokolenia rewolucji ukazały się w nowym świetle, nie były mistyczne, były logiczne. Dopiero teraz Iwan Grigorjewicz zaczął ogarniać myślą nowe losy kraju, to, co powstało na kościach pokolenia, które poległo.

To pokolenie bolszewików uformowało się podczas rewolucji w epoce hegemonii idei światowej komuny, głodnych, pracowi

tych, natchnionych czynów społecznych - subotników. Pokolenie to przejęło spuściznę po dwóch wojnach - światowej i domowej: całkowite rozprzeżenie, głód, tyfus, anarchię, bandytyzm. Ogłosiło ustami Lenina, że istnieje partia zdolna wprowadzić Rosję na nową drogę. Bez chwili wahania przyjęło dziedzictwo stuleci rosyjskiej samowoli, kiedy to dziesiątki pokoleń rodziły się i odchodziły, znając tylko jedno prawo - pańszczyźniane.

Pod wodzą Lenina pokolenie bolszewików czasu wojny domowej wzięło udział w rozpędzeniu Zgromadzenia Ustawo-

184 dawczego i zniszczeniu partii rewolucyjno-demokratycznych walczących z rosyjskim absolutyzmem.

Pokolenie bolszewików czasu wojny domowej nie wierzyło w wartość swobód jednostki, w wolność słowa i druku w ramach burżuazyjnej Rosji.

Podobnie jak Lenin uważało, że skromne i nędzne są te swobody, o których marzyły rzesze rewolucyjnych robotników i inteligencji.

Młode państwo rozbiło partie demokratyczne, torując drogę radzieckiemu budownictwu. Pod koniec lat dwudziestych partie te były całkowicie zlikwidowane, ludzie, którzy za cara siedzieli w więzieniach, znowu znaleźli się w więzieniach, poszli na katorgę.

W trzydziestym roku nad rolnictwem zawisł miecz powszechnej kolektywizacji.

Niebawem uniósł się znowu. Tym razem spadł na pokolenie wojny domowej. Nieznaczny tylko odłam tego pokolenia ocalał, ale jego duch, jego wiara w światową komunę, jego romantyczna siła rewolucyjna znikły wraz z tymi, którzy zostali zlikwidowani w 1937 roku. Ci zaś, co uszli z życiem, pracowali nadal, przystosowywali się do nowych czasów, do nowych ludzi.

Nowi ludzie nie wierzyli w rewolucję, nie byli dziećmi rewolucji, lecz stworzonego przez rewolucję państwa.

Nowe państwo zaś nie potrzebowało już świętych apostołów, zapamiętałych, fanatycznych budowniczych, wiernych wyznawców.

Nowe państwo nie potrzebowało nawet sług, lecz jedynie służbistów. I niepokoiło je tylko to, że ci jego służbiści okazywali się niekiedy nazbyt małymi i w dodatku niezbyt uczciwymi ludźmi.

Terror i dyktatura pochłoneły tych, co stworzyli to państwo.

A państwo, które się wydawało środkiem prowadzącym do celu,
185

okazało się celem. Jego twórcy sądzili, że środek ten pozwoli im wcielić w życie swoje ideały, a okazało się, że ich marzenia, ich ideały były środkiem, który prowadził do powstania wielkiego, groźnego państwa. Ze sługi państwo przeobraziło się w ponurego samowładcę. To nie naród potrzebował terroru w dziewiętnastym roku, nie naród zniósł wolność słowa i prasy, nie naród zgotował zgubę milionom chłopów (a właśnie chłopci stanowią największą część narodu), nie naród wepchnął tysiące skazańców do więzień i obozów w 1937 roku, nie naród zarządził mordercze zesłania do tajgi krymskich Tatarów, Kałmuków, Bałkarów, zniszczonych Bułgarów i Greków, Czeczeńców i Niemców nadwołżańskich, nie naród pozbawił rolników prawa do zasiewów, a robotników prawa do strajków, nie naród wymyślił potworne narzuty na koszty własne towarów.

Państwo stało się gospodarzem, pierwiastek narodowy, jego forma, stał się jego treścią, stał się istotą rzeczy, zepchnął element socjalistyczny na margines, sprowadził do zewnętrznej powłoki, do frazeologii. Z tragiczną oczywistością objawiło się święte prawo życia: wolność jednostki jest najważniejsza, nie ma na świecie celu, dla którego można poświęcić wolność człowieka.

21

Ale oto rzecz dziwna: kiedy Iwan Grigorjewicz zastanawiał się nad rokiem trzydziestym siódmym, nad kobietami wysłanymi na katorgę za winy mężów, kiedy wspominał powszechną kolektywizację i głód na wsi, prawa karzące robotników więzieniem za dwadzieścia minut spóźnienia do pracy, a chłopów ośmioma latami obozu za ukrycie kilku kiosków, nie przychodził mu nigdy na myśl wąsacz w butach z cholewami i w wojskowej bluzie. Lenin! Jak gdyby jego życie nie urwało się 21 stycznia 1924 roku.

Myśli swoje o Leninie i Stalinie Iwan Grigorjewicz zapisywał niekiedy w zapomnianym przez Aloszę szkolnym zeszytce. Wszystkie zwycięstwa partii i państwa są związane z imieniem Lenina. Ale Władimir Iljicz w tragiczny sposób brał na swoje barki także wszystkie okrucieństwa, jakich dokonano w kraju.

Rewolucyjna pasja Lenina, jego przemówienia i artykuły, jego wezwania stanowiły zachętę do tego, co się działo na wsi i w roku 1937. Prowadziły do powstania nowej biurokracji i nowego mieszczaństwa, i do przymusowej pracy więźniów. Z biegiem lat, stopniowo, jakby z wolna i niepostrzeżenie, zmieniała się postać Lenina, zmieniało się oblicze Wołodii 187

Uljanowa, młodego marksisty Tulina, syberyjskiego zesłańca, rewolucjonisty i emigranta, publicysty i myśliciela Władimira Iljicza Lenina, oblicze człowieka, który obwieścił światu nadzieję nowej ery, ery rewolucji socjalistycznej, wprowadził dyktaturę rewolucji w Rosji, zlikwidował wszystkie partie rewolucyjne z wyjątkiem jednej, tej, która wydawała mu się najbardziej rewolucyjna, oblicze człowieka, który obalił Zgromadzenie Ustawodawcze reprezentujące wszystkie klasy i partie Rosji porewolucyjnej i stworzył Rady, w których zgodnie z jego wolą reprezentowani byli jedynie zrewolucjonizowani robotnicy i chłopci.

Zmieniały się znane z portretów rysy twarzy Lenina, zmieniało się oblicze pierwszego premiera rządu radzieckiego, Władimira Uljanowa-Lenina.

Dzieło Lenina rozwijało się nadal i postać zmarłego Lenina mimo woli wzbogaciła się o te cechy, o jakie się wzbogacało rozpoczęte przez niego dzieło.

Lenin był inteligentem, pochodził z inteligencji pracującej, jego siostry i bracia należeli także do rewolucyjnej inteligencji pracującej. Starszy brat Aleksander, członek stowarzyszenia Narodna Wola, był bohaterem i został świętym męczennikiem rewolucji.

Autorzy wspomnień piszą, że będąc już wodzem rewolucji, twórcą partii, głową rządu radzieckiego, Lenin pozostawał zawsze jednakowo skromny. Nie palił, nie pił, pewnie ani razu w życiu nie zwymyślał nikogo niecenzuralnymi słowami. Wolne chwile spędzał bezgrzesznie jak student - muzyka, teatr, książka, spacer. Ubierał się zawsze skromnie, niemal ubogo.

Czy to możliwe, że ten człowiek w wytartej marynarce ze zmiętym krawatem, człowiek, który chodził do teatru na galerię, 188

chętnie słuchał Appassionaty, wielokrotnie czytał na nowo Wojnę

i pokój, syn tak miły sercu matki, kochany przez siostry brat Wołodia, stał się twórcą państwa, które odznaczyło najwyższym orderem - swoim Orderem Lenina - Jagodę, Jeżowa, Berię, Mierkułowa, Abakumowa?

Lidia Timaszuk dostała Order Lenina w rocznicę śmierci Władimira Iljicza: czy to znaczyło, że dzieło Lenina się przeżyło, czy - przeciwnie - że triumfuje?

Szły lata planów pięcioletnich, mijały dziesięciolecia, gigantyczne, tętniące rozżarzoną współczesnością wydarzenia zastęgały, dymiąc jak bryły spojone cementem epoki i stawały się historią radzieckiego państwa.

(Portret Lenina nie powstał jeszcze, Podobnych nie ma, każdy przyzna),
Lecz przyszłe wieki skończą wreszcie
Niedokończoną podobiznę."

Czy poeta rozumiał tragiczny sens tego, co napisał o Leninie? Zanotowane przez biografów i pamiętnikarzy rysy jego charakteru, które wydawały się zasadnicze i urzekały serca i umysły milionów ludzi, okazały się przypadkowe dla biegu historii; historia państwa rosyjskiego nie wydobyła owych ludzkich, humanitarnych rysów charakteru Lenina, ale odrzuciła je jak niepotrzebne rupiecie. Historykom państwa nie było potrzebne ani słuchanie Appassionaty z dłonią na oczach, ani uwielbienie Wojny i pokoju, ani skromna, dyskretna demokratyczność Lenina, ani jego serdeczność i życzliwość dla małych tego świata -
Przełożyła Wiera Bieńkowska.

189

sekretarzy, kierowców, ani jego rozmowy z chłopskimi dziećmi, ani sympatia dla zwierząt domowych, ani serdeczny ból, kiedy jego przyjaciel, Martow, stał się jego wrogiem.

Wszystko natomiast, co wyrzucono poza nawias jako przejściowe, przypadkowe, wynikłe ze szczególnych warunków życia w konspiracji i zażartych walk w pierwszych latach władzy radzieckiej, okazało się trwałe i decydujące.

Ten właśnie rys charakteru Lenina, którego nie zanotowali pamiętnikarze, a który zdecydował o zarządzeniu rewizji u umierającego Plechanowa, te właśnie rysy, które doprowadziły do braku wszelkiej tolerancji w stosunku do demokracji politycznej, z czasem się pogłębiły.

Fabrykant czy kupiec, który wywodzi się z chłopów, mieszkając we własnej willi i podróżując własnym jachtem, zachowuje cechy swego chłopskiego charakteru - zamiłowanie do kapuśniaku, kwasu i ordynarnego, celnego, ludowego słownictwa. Marszałek w wyszytym złotem mundurze nie przestaje lubić skręta z machorki i pamięta prostacki humor żołnierskich powiedzonek.

Ale czy te rysy charakteru i ta pamięć mają jakikolwiek wpływ na losy fabryk, na życie milionów ludzi związanych z fabrykami pracą i losem, czy wiążą się one z ruchem akcji na giełdzie i ruchem wojsk?

Nie zamiłowaniem do kapuśniaku i skręta z machorki zdobywano kapitały i generalskie szlify.

Pewna autorka pamiętników opowiada, jak w Szwajcarii była kiedyś w górach na niedzielnym spacerze z Władimirem Iljiczem. Zadyszani weszli stromą ścieżką na szczyt i usiedli na kamieniu. Władimir Iljicz zdawał się pochłaniać wzrokiem każdy szczegół pięknego alpejskiego krajobrazu. Młoda kobieta

190
wzruszona wyobrażała sobie, jaka poezja wypełnia duszę jej towarzysza. Nagle Lenin westchnął i powiedział:

- Och, ale paskudzą nam ci mienszewicy.

Ten sympatyczny epizod mówi coś niecoś o naturze Lenina: oto na jednej szali wagi cały świat Boży, a na drugiej - sprawa partyjna.

Rewolucja październikowa wybrała te rysy Lenina, które jej były potrzebne, odrzuciła natomiast niepotrzebne.

W historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego umiłowanie ludu i związane z tym uczucia, właściwe wielu inteligentnym działaczom rewolucyjnym Rosji, ludziom, których łagodność i gotowość do największych ofiar nie miały chyba sobie równych od pierwszych wieków chrześcijaństwa, przemieszały się z cechami wprost przeciwnymi, ale także właściwymi wielu rosyjskim reformatorom rewolucyjnym - z pogardą dla ludzkiego cierpienia, a nawet całkowitą obojętnością na nie, z uwielbieniem abstrakcyjnych zasad i gotowością niszczenia nie tylko wrogów, lecz także towarzyszy, jeśli w czymkolwiek tym zasadom uchybią. Fanatyczne dążenie do obranego celu, gotowość dławienia wolności dnia dzisiejszego w imię wolno-

ści wyдуманey, łamanie obowiązujących w danej epoce zasad moralnych w imię moralności czasów przyszłych - dawały już o sobie znać i przejawiały się w charakterze Pestela, Bakunina, Nieczajewa, w niektórych wypowiedziach narodowolców. Nie, nie tylko miłość, nie samo współczucie skierowały takich ludzi na drogę rewolucji. Źródła takich charakterów kryją się głęboko, bardzo głęboko w tysiącletniej głębi dziejów Rosji. Ludzie obdarzeni takim charakterem bywali i w dawnych czasach, ale dwudziesty wiek wyprowadził ich z za kulis na scenę życia.

191

Taki człowiek zachowuje się wśród ludzi jak chirurg w klinice - jego zainteresowanie chorymi, ich ojcami, matkami, żonami, jego żarty, dyskusje, jego walka z bezdomnością dzieci i troska o robotników w wieku emerytalnym - to głupstwa, zawracanie głowy, bzdury. Zamiast serca ma nóż.

Najgłębszą istotę takich ludzi stanowi fanatyczna wiara we wszechmoc noża chirurgicznego. Nóż to wielki teoretyk, to lider filozofii dwudziestego wieku.

Przez pięćdziesiąt cztery lata swego życia Lenin nie tylko słuchał Appassionaty, wracał raz po raz do Wojny i pokoju, prowadził serdeczne, szczere rozmowy z delegatami chłopów, troszczył się o zimowe palto swojego sekretarza, zachwycał się rosyjską przyrodą. Tak, tak, oczywiście, oprócz ogólnego oblicza jest jeszcze twarz.

Można sobie wyobrazić mnóstwo cech i właściwości Lenina, które się przejawiały w życiu codziennym, tym, które jest udziałem wszystkich ludzi - czy stoją na czele narodów, czy są dentystami, czy damskimi krawcami.

Cechy te przejawiają się o różnej porze doby, kiedy człowiek myje się rano, je owsiankę, patrzy przez okno na ładną kobietę, której spódnicę podnosi wiatr, dłubie w zębach zapalką, jest zazdrosny o żonę czy prowokuje jej zazdrość, ogląda w łaźni swoje gołe nogi i drapie się pod pachami, czyta w ubikacji strzępki gazet, usiłując połączyć podarte kawałki, czy wydaje nieprzyzwoity dźwięk, a dla niepoznaki chrząka i podśpiewuje.

Takie lub podobne rzeczy, które istnieją w życiu wielkich i małych ludzi, istniały oczywiście i w życiu Lenina.

Może wyhodował sobie brzuszek dlatego, że się objadał makaronem z masłem, przedkładając go nad jarzyny.

192

Może miewał nieznane światu utarczki z Nadeżdą Konstantinową na temat mycia nóg, czyszczenia zębów i o to, że nie pamiętał o zmianie nieświeżej koszuli z brudnym kołnierzykiem. I tak przedarłszy się przez reduty chroniące rzekomo ludzki, a w gruncie rzeczy zupełnie konwencjonalny, wzniosły obraz wodza, można - ukradkiem, czołgając się - dotrzeć do prostej, prawdziwej natury Lenina, o której nie wspominał nigdy żaden z pamiętnikarzy.

Co jednak daje znajomość prawdziwych, życiowych, tajemnych, głęboko ukrytych przed historią rysów i właściwości zachowania Lenina w łazience, sypialni, jadalni? Czy dzięki niej można lepiej zrozumieć przywódcę nowej Rosji, twórcę nowego światowego ładu? Czy znajomość tych szczegółów pozwoli zobaczyć wpływ charakteru Lenina na charakter stworzonego przezeń państwa? W tym celu należałoby założyć, że cechy Lenina jako przywódcy politycznego są odpowiednikami jego cech powszednich, ludzkich. Założenie takie jest jednak zupełnie dowolne i nie należy go przyjmować. Taki związek ma przecież czasem ten sam znak, a czasem przeciwny.

Tak na przykład w stosunkach prywatnych: nocując u przyjaciela, na wspólnych spacerach, dopomagając koledze, Lenin był zawsze człowiekiem delikatnym, miękkim, uprzejmym.

A jednocześnie stale charakteryzowała go bezwzględność, gwałtowność, brutalność w stosunkach z przeciwnikami politycznymi. Nigdy nawet nie brał pod uwagę ewentualności, że jego przeciwnik może mieć w jakimś bodaj stopniu rację, a on sam może bodaj trochę się mylić.

„Sprzedawczyk... lokaj... sługus... najemnik... agent... Judasz... sprzedał się za trzydzieści srebrników...” - takich słów Lenin często używał, mówiąc o swoich oponentach.

193

Nawet w toku dyskusji Lenin nie usiłował przekonać przeciwnika, w ogóle właściwie nie do niego się zwracał, ale do świadków dyskusji. Starał się wobec tych świadków ośmieszyć i skompromitować oponenta. Takimi świadkami mogło być i kilku obecnych, bliskich mu ludzi, i tysięczne rzesze

delegatów na zjazd, i milionowe rzesze czytelników gazet. W dyskusji Lenin nie dążył do tego, by poznać prawdę, lecz chciał odnieść zwycięstwo. Musiał zwyciężyć za wszelką cenę, a zwycięstwo mogły mu zapewnić różne środki: a więc i podstawienie nogi, i symboliczny policzek, i równie symboliczny, druzgocący cios w łeb.

I okazało się, że życiowe, powszednie, rodzinne cechy Lenina nie miały nigdy nic wspólnego z cechami człowieka stojącego na czele nowego światowego ładu.

Później, kiedy dyskusje przeszły ze stronic pism i gazet na ulice, na pola zbóż i na pola bitew, okazało się, że tutaj także dobre są środki radykalne.

Nietolerancja Lenina, jego bezwzględne dążenie do raz obranego celu, pogarda dla wolności, okrucieństwo w stosunku do ludzi o innych przekonaniach, właściwa mu zdolność, by spokojnie, bez chwili wahania zmiatać z powierzchni ziemi nie tylko fortece, lecz także całe gminy, powiaty, gubernie, które kwestionowały jego ortodoksyjną słuszność - wszystkie te cechy charakteru nie powstały dopiero po Październiku. Miał je już Wołodia Uljanow. Ich korzenie sięgają głęboko.

Wszystkie jego zdolności, jego żelazna wola, jego pasja były podporządkowane jednemu celowi - zdobyciu władzy.

Dla zdobycia władzy poświęcił wszystko, nie zawahał się złożyć w ofierze, zamordować tego, co było w Rosji najświętsze - wolności. Ta wolność była dziecięco bezbronna, naiwna. Skąd 194

owo ośmiomiesięczne niemowlę zrodzone w kraju tysiącletniej niewoli mogło mieć doświadczenie?

Kiedy tylko chodziło o jakąś ważną sprawę, cechy inteligenta, które wydawały się z natury właściwe Leninowi, przechodziły do zewnętrznej, niemającej większego znaczenia formy, a osobowość jego przejawiała się w niezłomnej, żelaznej i żartej woli.

Co skierowało Lenina na drogę rewolucji? Miłość do ludzi?

Pragnienie zlikwidowania niedoli chłopów, nędzy i bezprawia nękających robotników? Wiara w prawdziwość zasad marksizmu, we własną partyjną słuszność?

Rewolucja rosyjska nie oznaczała dla niego wolności dla Rosji. Lecz władza, do której zdobycia dążył z taką pasją, nie

jemu osobiście była potrzebna.

Tutaj się przejawia jedna ze szczególnych cech Lenina: skomplikowanie charakteru wynikające z prostoty charakteru.

Tak potężne pragnienie władzy wymaga ogromnych ambicji politycznych, ogromnej miłości władzy. Są to cechy prostackie i proste. Ale ten polityk tak żądny władzy i zdolny do wszystkiego dla jej zdobycia był w życiu osobistym wyjątkowo skromnym człowiekiem, nie dla siebie władzę zdobywał. Tu się kończy prostota i zaczynają komplikacje.

Jeśli wyobrazimy sobie, że Lenin jako człowiek był taki sam jak Lenin polityk, będziemy musieli stwierdzić, że miał charakter prymitywny i prostacki - był brutalny, autorytatywny, bezlitosny, szalenie ambitny, dogmatyczny i krzykliwy.

A jeśli rysy te przejawiają się stale, w życiu codziennym, w stosunku do żony, matki, dzieci, przyjaciela, sąsiada ze wspólnego mieszkania? Strach ogarnia na samą myśl o tym.

Wyglądało to jednak całkiem inaczej niż w życiu prywatnym.

195

Na arenie światowej był to człowiek zupełnie inny. Plus i minus, minus i plus.

I wynika z tego coś zupełnie innego, skomplikowanego, czasem wręcz tragicznego.

Piekielna żądza władzy politycznej w połączeniu z wytartą marynarką, ze szklanką słabiutkiej herbaty, ze studencką mansardą.

Zdolność do zaskakiwania oponenta, do bezlitosnego zmieszania z błotem przeciwnika w dyskusji, połączona w niepojęty sposób z sympatycznym uśmiechem, nieśmiałością, delikatnością.

Nieubłagane okrucieństwo, pogarda dla największej świętości rewolucji rosyjskiej - wolności, i tuż obok, w sercu tego samego człowieka, czysty, młodzieńczy zachwyt nad piękną muzyką, książką.

Lenin... postać ubóstwiona i Lenin - monolit, prostak, stworzony przez wrogów, łączący w sobie okrucieństwo lidera nowego ładu z prymitywnymi, ordynarnymi cechami; wrogowie widzieli w nim tylko te cechy. Wreszcie ten, który wydaje mi się najbliższy rzeczywistości i którego niełatwo zrozumieć.

22

By zrozumieć Lenina, nie wystarczy przyjrzeć się jego ludzkim, powszednim cechom jako polityka, trzeba zestawić jego charakter najpierw z mitem narodowego charakteru rosyjskiego, a następnie z losem i samym charakterem dziejów Rosji.

Ascetyzm Lenina, naturalna skromność pokrewności rosyjskich pątników, jego otwartość i wiara odpowiadają ludowemu ideałowi nauczyciela życia, a jego miłość do przyrody rosyjskiej, do lasów i pól Rosji przypomina uczucia rosyjskich chłopów. W podatności Lenina na myśl Zachodu, na Hegla i Marksa, w jego zdolności wchłaniania i wyrażania ducha Zachodu przejawia się rys głęboko rosyjski, sformułowany przez Czaadajewa. Tę właśnie wrażliwość na sprawy całego świata, zdumiewającą, a właściwą Rosjanom zdolność przyswajania sobie ducha obcych narodów Dostojewski dostrzegął u Puszkina. Właściwość ta łączy Lenina z Puszkinem. Obdarzony nią był także Piotr I.

Determinacja Lenina, niezachwiana pewność słuszności własnych przekonań wydaje się podobna do zapamiętałości Awwakuma, do jego niezachwianej wiary. Awwakum zaś to zjawisko samorodne, rosyjskie.

197

W zeszłym stuleciu myśliciele rosyjscy usiłowali wyjaśnić dzieje Rosji właściwościami narodowego charakteru rosyjskiego, rosyjskiej duszy, rosyjskiej pobożności.

Czaadajew, jeden z najinteligentniejszych ludzi Rosji dziewiętnastego wieku, głosił chwałę ascetycznego i pełnego poświęcenia ducha chrześcijaństwa rosyjskiego, jego niezmaczonej niczym bizantyjskiej natury.

Dostojewski uważał, że wszechczłowieczeństwo, dążenie do połączenia wszystkich ludzi stanowią prawdziwą podstawę duszy rosyjskiej.

Rosyjski wiek dwudziesty lubi powtarzać przepowiednie dziewiętnastowiecznych myślicieli i proroków Rosji - Gogola, Czaadajewa, Bielińskiego, Dostojewskiego.

Któż by nie lubił powtarzać o sobie takich opinii?...

Prorocy dziewiętnastego wieku przepowiadali, że w przyszłości Rosjanie staną na czele rozwoju duchowego narodów, i to nie tylko europejskich, lecz także całego świata.

Nie o chwale oręza rosyjskiego mówili ci przepowiadacze,

lecz o sławie rosyjskiego serca, rosyjskiej wiary i rosyjskiego przykładu.

„Lotna trojka”... „Dusza rosyjska, humanitarna i jednocząca ludzi, ogarnie braterską miłością całą ludzkość, a w końcu wyrzeknie może ostateczne słowo wielkiej powszechnej harmonii, ostatecznego braterskiego pojednania wszystkich ludzi zgodnie z prawem Ewangelii Chrystusa!...” „Kiedy całkiem naturalnie zajmiemy należne nam miejsce wśród narodów, których przeznaczeniem jest działać dla ludzkości nie tylko jako tyrani, lecz także jako idee”. „Czy nie tak samo i ty, Rosjo, pędzisz jak dzielna nieprześcigniona trojka? Dymi pyłem pod tobą droga, grzmią mosty...”

198

I Czaadajew natychmiast genialnie przedstawia zdumiewający rys dziejów Rosji: „jakże ważki fakt stopniowego ujarzmania naszego chłopstwa, który nie jest niczym innym jak logicznym wynikiem naszych dziejów”.

Nieubłagane tłumienie indywidualności towarzyszyło stale tysiącletnim dziejom Rosjan. Służalcze podporządkowanie jednostki carowi i państwu. Tak, i te także rysy widzieli i poświadczali prorocy Rosji.

A dostrzegając nieubłagany ucisk człowieka przez kniazia, dziedzica, cara i państwo, prorocy Rosji zdawali sobie sprawę z niespotykanej w świecie zachodnim czystości, głębi, jasności, Chrystusowej siły duszy rosyjskiej. I przepowiadali jej wielką, świetlaną przyszłość. Zgodnie głosili, że u Rosjan idea chrześcijaństwa występuje w bezpaństwowej, ascetycznej, bizantyjskiej, antyzachodniej formie, a siły właściwe duszy rosyjskiej przejawia się kiedyś w potężnym wpływie na narody europejskie i oczyszczą, przeobrażą i oświecą życie na Zachodzie w duchu braterstwa. I świat zachodni ufnie i radośnie podąży za Rosjanami. Te przepowiednie najznakomitszych umysłów i serc Rosji łączy jeden wspólny i niebezpieczny rys. Ci, którzy je wypowiadali, widzieli siłę duszy rosyjskiej i przewidywali jej rolę w świecie; nie dostrzegali jednak, że cechy tej duszy nie zrodziły się z wolności, że dusza rosyjska jest tysiącletnią niewolnicą. Co może dać światu tysiącletnia niewolnica, nawet jeśli stanie się wszechpotężna?

I oto wiek dziewiętnasty przybliżył, jak się zdawało, zapowia-

dane przez proroków Rosji czasy, kiedy Rosja, tak podatna na obce wpływy duchowe i tak chętnie je wchłaniająca, przygotowywała się do wywarcia wpływu na świat.

Przez sto lat Rosja wchłaniała przyniesioną z Zachodu ideę
199

wolności. Piła ją z ust Pestela, Rylejewa, Hercena, Czernyszewskiego, Ławrowa, Bakunina, swoich pisarzy i męczenników za ideę, takich jak Żelabow, Sofia Pierowska, Timofiej Michajłow, Nikołaj Kibalczyk, z ust Plechanowa, Kropotkina, Michajłowskiego, z ust Sazonowa i Kalajewa, z ust Lenina, Martowa, Czernowa, swoich inteligentów raznoczyńców, swojej młodzieży akademickiej, swoich postępowych robotników. Myśl tę rozpowszechniały książki, katedry uniwersyteckie, rozpowszechniali ją studenci z Heidelbergu i Paryża, żołnierze Bonapartego, inżynierowie i oświeceni kupcy, rozpowszechniała ją idąca na służbę biedota z Zachodu, której poczucie godności ludzkiej budziło zawistne zdumienie rosyjskich arystokratów.

I oto, natchniona ideami wolności i godności ludzkiej, dokonała się rosyjska rewolucja.

Cóż uczyniła dusza rosyjska z ideami świata zachodniego, jak przetworzyła je w siebie, w co się skryształizowała, jakie młode pędy miała zamiar usunąć z podświadomości historii?

„Rosjo, dokądże pędzisz...? Nie odpowiada”.

Niczym młodzieńcy ubiegający się o rękę panny przedefiniowały przed młodziutką, wyzwoloną z okowów caratu Rosją dziesiątki, a może i setki rewolucyjnych teorii, wierzeń, partyjnych liderów, przepowiedni, programów... Chciwie, namiętnie i błagalnie wpatrywali się przywódcy rosyjskiego postępu w oblicze wybranki.

Otoczyli ją szerokim kołem umiarkowani, fanatycy, narodnicy, sympatycy robotników, rzecznicy chłopów, oświeceni fabrykanci, miłujący świat duchowni-humaniści, zajadli anarchiści.

Niewidoczne, częstokroć niedostrzegalne dla nich nici łączyły ich z ideami zachodnich monarchii konstytucyjnych, parlamentów, wielce uczonych kardynałów i biskupów, fabrykantów,

200

światłych właścicieli ziemskich, przywódców robotniczych związków zawodowych, kaznodziejów, profesorów.

Wielka niewolnica zatrzymała swój dociekliwy, sceptyczny,

badawczy wzrok na Leninie. Oto jej wybraniec!

Lenin odgadł, jak w starej baśni, jej tajemną myśl, rozbudził ją z dziwnego uśpienia, wyzwolił jej marzenie.

Ale czy tak było naprawdę?

Lenin został jej wybranym, dlatego że ją wybrał i że ona go także wybrała.

Poszła za nim - obiecał jej złote góry, rzeki mlekiem i miodem płynące. Szła za nim najpierw chętnie, wierząc mu, szła wesołą, odurzającą drogą w łunie pożarów, płonących dworów, potem potykając się, oglądając za siebie, przerażona widokiem, jaki się przed nią otworzył, ale coraz mocniej czując prowadzącą ją stalową rękę.

A on szedł pełen apostołskiej wiary, szedł, prowadząc za sobą Rosję i nie pojmował cudownego snu, w którym był pogrążony. W jej posłusznych krokach, w jej nowej po obaleniu cara pokorze i przyprawiającej o szaleństwo uległości tonęło i ginęło, przeobrażało się to wszystko, co on przyniósł Rosji z rozmiłowanego w wolności rewolucyjnego Zachodu.

Wydawało mu się, że jego niewzruszona dyktatorska siła stanowi rękojmię nieskazitelnosci i bezpieczeństwa tego, w co wierzył, co przyniósł swemu krajowi.

Cieszył się tą siłą, znajdując w niej potwierdzenie słuszności swoich wierzeń, i nagle z przerażeniem zobaczył, że jego bezwzględność wobec łagodnej rosyjskiej pokory to jego największa niemoc.

Im surowsza była jego postawa, im cięższa stawała się ręka, im posłuszniej ulegała Rosja jego światłej i rewolucyjnej
201

przemocy, tym trudniej było mu walczyć z istic szatańską siłą pańszczyźnianej przeszłości.

Niewolniczy, pańszczyźniany pierwiastek nabierał mocy w duszy rosyjskiej niby tysiącletni roztwór spirytusu. Roztopił metal i sól godności ludzkiej niczym parująca własną mocą woda królewska i przeobraził całkowicie duchowe życie Rosjan.

Rozległe przestrzenie Rosji, które na pierwszy, powierzchowny rzut oka robią wrażenie rozmachu, zuchwalstwa i wolności, przez dziewięćset lat były niemą retortą niewolnictwa. Przez dziewięćset lat Rosja przechodziła od dzikich osiedli

leśnych, od zakopconych kurnych chat, od pustelni, od drewnianych chat do uralskich fabryk, donieckiego węgla, petersburskich pałaców, Ermitażu, do fregat i kotłów parowych.

Na pierwszy rzut oka powstawało wrażenie rozwijającej się oświaty i zbliżenia z Zachodem.

Im bardziej jednak życie w Rosji stawało się na pozór podobne do życia na Zachodzie, im bardziej huk fabryk, stukot kół bryczek i pociągów, łopotanie żagli na statkach, światła kryształowych żyrandoli w oknach pałaców przypominały życie na Zachodzie, tym głębsza stawała się ukryta przepaść między najbardziej tajemną istotą życia rosyjskiego a życiem Europy. Przepaść ta powstała dlatego, że na Zachodzie rozwój czerpał soki żywotne ze wzrostu wolności, w Rosji natomiast z pogłębiania się niewoli.

Historia ludzkości jest historią jej wolności. Rozwój ludzkiej potęgi przejawia się przede wszystkim w rozwoju wolności. Wolność nie jest uświadomioną koniecznością, jak myślał Engels. Wolność to przeciwieństwo konieczności, wolność jest przewyciężoną koniecznością. W samej swojej istocie postęp

202
jest postępem wolności ludzi. Przecież i życie jest także wolnością, ewolucja życia jest ewolucją wolności.

Rozwój Rosji ujawnił swoją dziwną istotę - był rozwojem niewoli. Z roku na rok twardsza stawała się niewola pańszczyźniana chłopów, coraz bardziej kurczyło się prawo chłopów do ziemi, a tymczasem rosyjska nauka, technika, oświata ciągle się rozwijały wraz ze wzrostem rosyjskiego niewolnictwa.

Powstaniu rosyjskiej państwowości towarzyszyło ostateczne ujarzmienie chłopów: zniesiony został ostatni dzień chłopskiej wolności - 26 listopada, dzień świętego Jurija, tak zwany „Jurjew dzień”.

Liczba ludzi „wolnych”, „wędrownych” ciągle topniała, wzrastała natomiast liczba zniewolonych i Rosja zaczęła wychodzić na szeroką drogę dziejów Europy. Człowiek przypisany do ziemi został przypisany do właściciela tej ziemi, potem do urzędnika reprezentującego państwo i wojsko; właściciel ziemi uzyskał prawo sądu nad chłopami pańszczyźnianymi, a później także prawo moskiewskich tortur (tak nazywano je czterysta lat temu), to znaczy prawo wieszania chłopów pańszczyźnia-

nego za związane na plecach ręce i wymierzania mu chłosty. A tymczasem rozwijała się rosyjska metalurgia, powstawały coraz większe składy towarów, rosło w siłę państwo i wojsko, rozpalala się zorza rosyjskiej chwały wojennej, rozpowszechniała się oświata.

Tytaniczna działalność Piotra, któremu Rosja zawdzięcza postęp nauki i przemysłu, była związana z równie potężnym postępem pańszczyzny. Piotr zrównał chłopów pańszczyźnianych osiadłych na roli z chłopami folwarcznymi, ludzi „wędrownych” przekształcił w pańszczyźnianych. Narzucił pańszczyznę najniższej warstwie chłopstwa, tak zwanym czarnososznikom na

203
północy i chłopom zagrodowym na południu. Obok obszarniczego poddaństwa chłopów rozkwitło za Piotra państwowe poddaństwo chłopów, które pomagało carowi w szerzeniu oświaty i postępu w swoim państwie. Piotr miał wrażenie, że przybliży Rosję do Zachodu, tak zresztą było, ale przepaść między Rosją a Zachodem ciągle rosła.

I oto nastał wspaniały wiek Katarzyny, wiek cudownego rozkwitu sztuk i oświaty w Rosji, ale także wiek, w którym rosyjskie poddaństwo chłopów osiągnęło swój szczyt.

Tak tysiącletnim łańcuchem były skute razem - rosyjski postęp i rosyjskie niewolnictwo. Każdy zryw do światła pogłębiał czarną przepaść pańszczyzny.

Wiek dziewiętnasty to szczególnie epoka w życiu Rosji.

Wiek ten zachwiały główną podstawą życia rosyjskiego - związkiem postępu z pańszczyzną.

Rewolucyjni myśliciele Rosji nie docenili uwłaszczenia chłopów w dziewiętnastym stuleciu. Wydarzenie to, jak tego dowiódł wiek następny, było bardziej rewolucyjne niż Wielka Rewolucja Październikowa. Zachwiało ono tysiącletnią podstawą Rosji, podstawą, której nie tknął ani Piotr, ani Lenin: zależnością rozwoju Rosji od rosyjskiej niewoli.

Po uwłaszczeniu chłopów przywódcy rewolucyjni, inteligencja, młodzież akademicka zażarcie, z ogromną siłą i poświęceniem walczyli o nieznaną w Rosji godność ludzką, o postęp bez niewolnictwa. To nowe prawo było zupełnie obce rosyjskiej przeszłości i nikt nie wiedział, ani jaka się stanie Rosja, jeśli się wyrzeknie tysiącletniego związku swojego rozwoju z nie-

wolnictwem, ani jak się zmieni rosyjski charakter.

W lutym 1917 roku przed Rosją otwarła się droga do wolności.

Rosja wybrała Lenina.

204

Lenin dokonał prawdziwego przewrotu w życiu Rosji. Zlikwidował ziemiaństwo, zniszczył fabrykantów i kupców.

I mimo to wiek dwudziesty wyznaczył Leninowi w Rosji - choć brzmi to potwornie i dziwnie - rolę tego, kto zachował ciężące nad Rosją przekleństwo: związek jej rozwoju z niewolą, z poddaństwem.

Tylko ci, którzy godzą w samą podstawę starej Rosji, w jej niewolniczą duszę, są rewolucjonistami.

Tak się złożyło, że rewolucyjne szaleństwo, fanatyczna wiara w prawdziwość zasad marksizmu, bezwzględna nietolerancja w stosunku do ludzi o odmiennych poglądach doprowadziły do tego, że Lenin przyczynił się do ogromnego rozwoju tej Rosji, której nienawdził całą siłą swojej fanatycznej duszy. Rzecz to istotnie tragiczna, że człowiek, który tak szczerze wielbił dzieła Tołstoja i muzykę Beethovena, przyczynił się do ponownego upańszczyźnienia chłopów i robotników, do przeobrażenia w sługusów z państwowej izby czeladnej tak wybitnych twórców jak Aleksy Tołstoj, chemik Siemionow, muzyk Szostakowicz.

Spór wszczęty przez zwolenników wolności w Rosji został wreszcie rozstrzygnięty - niewola rosyjska także tym razem okazała się nie do pokonania.

Zwycięstwo Lenina stało się jego klęską.

Tragedia Lenina była jednak nie tylko tragedią rosyjską, lecz także ogólnoludzką.

Czyż Lenin mógł przypuszczać, że w godzinie rewolucji, jakiej dokonał, to nie Rosja pójdzie za socjalistyczną Europą, ale utajone niewolnictwo rosyjskie wyjdzie poza granice Rosji i stanie się pochodnią oświetlającą nowe drogi ludzkości?

205

Rosja nie wchłaniała już wolnego ducha Zachodu. To Zachód patrzył jak urzeczony na rozwój Rosji idącej drogą niewoli.

Świat zobaczył urzekającą prostotę tej drogi. Świat zrozumiał, jaką potęgę stanowi państwo ludowe zbudowane na

niewoli.

Zdawało się, że stało się to, co przewidzieli prorocy Rosji przed stu i stu pięćdziesięciu laty.

Ale jak dziwnie i jak okropnie to się dokonało...

Leninowska synteza niewoli z socjalizmem oszołomiła świat bardziej niż odkrycie energii atomowej.

Europejscy apostołowie rewolucji narodowych zobaczyli światło ze Wschodu, Włosi, a później Niemcy zaczęli na swój sposób rozwijać ideę narodowego socjalizmu.

A światło rozpałało się coraz mocniej - przyjęła je Azja, Afryka.

Narody i państwa mogą się rozwijać w imię siły i wbrew wolności!

Nie był to pokarm dla zdrowych, był to narkotyk, lekarstwo pechowców, ludzi chorych i słabych, zacofanych lub bitych. Dzięki woli, pasji i geniuszowi Lenina tysiącletnie rosyjskie prawo rozwoju stało się prawem w całym świecie.

Takie było fatum historii.

Nietolerancja Lenina, agresywność, bezwzględność w stosunku do ludzi o odmiennych poglądach, pogarda wolności, fanatyzm jego wiary, okrucieństwo wobec wrogów - wszystko, co pozwoliło jego sprawie zwyciężyć - zrodziło się, wyłoniło z tysiącletniej głębi rosyjskiego życia pańszczyźnianego, z niewoli rosyjskiej. Dlatego właśnie zwycięstwo Lenina przyczyniło się do wzrostu niewoli. A obok, tuż-tuż, bezcielesne, pozbawione wszelkiego znaczenia, trwały nadal i budziły zachwyty

206
milionowych rzesz ludzkich cechy sympatycznego, skromnego rosyjskiego inteligenta.

No i cóż, czy dusza rosyjska jest nadal zagadkowa? Nie, nie ma tu żadnej zagadki.

I czy w ogóle była kiedykolwiek zagadką? Jakaż bowiem zagadka może tkwić w niewoli?

Czyż to naprawdę właśnie rosyjskie i tylko rosyjskie prawo rozwoju? Czy to możliwe, żeby dusza rosyjska i tylko ona miała się rozwijać nie wraz ze wzrostem wolności, lecz ze wzrostem niewoli? Czy przejawia się tutaj istotnie fatum ciężące nad duszą rosyjską?

Nie, oczywiście, że nie.

Prawo rozwoju Rosji określiły te parametry - są ich dziesiątki, a może i setki - zgodnie z którymi rozwijała się historia Rosji.

Nie o duszę tu chodzi. I gdyby zgodnie z tymi parametrami wśród lasów i stepów, topieli i równin, w polu siłowym rozpościerającym się między Europą a Azją, na ogromnych i tragicznych przestrzeniach rosyjskich przed tysiącem lat zapuścili korzenie Francuzi, Niemcy, Anglicy - prawo historii byłoby takie samo jak w przypadku Rosjan. Nie tylko zresztą Rosjanie przebyli tę drogę rozwoju. Wiele narodów na świecie, na wszystkich kontynentach - albo z daleka i mgliście, albo z bliska i wyraźnie - poznawało w swoich gorzkich doświadczeniach gorycz drogi rosyjskiej.

Najwyższy czas, by wnikliwi badacze Rosji zrozumieli wreszcie, że mistycyzm duszy rosyjskiej wywodzi się tylko z tysiącletniej niewoli.

W zachwycie dla bizantyjskiej, ascetycznej czystości, dla chrześcijańskiej pokory tkwi mimowolne wyznanie: tak, nic nie

207
zdoła zachwiać rosyjskim niewolnictwem. A źródło tej chrześcijańskiej pokory, tej bizantyjskiej ascetycznej wiary jest takie samo jak źródło właściwej Leninowi pasji, jego nietolerancji i fanatycznej wiary - to tysiącletnia pańszczyźniana niewola. Dlatego właśnie prorocy Rosji popełnili tak tragiczny błąd. Gdzież jest ta „dusza rosyjska” - wszechludzka i wszystkich jednocząca, która według przepowiedni Dostojewskiego ma „wypowiedzieć ostatnie słowo wielkiej powszechnej harmonii, ostatecznego, braterskiego pojednania wszystkich ludów zgodnie z prawem Ewangelii Chrystusa”?

Gdzież, na miłość boską, jest ta wszechludzka i jednocząca wszystkich dusza? Czyż wizja proroków Rosji, zapowiadających przyszły święty triumf duszy rosyjskiej, miała się spełnić w zgodnym zgrzycie drutów kolczastych naciągniętych w tajdze i wokół Oświęcimia?

Pod wieloma względami Lenin diametralnie się różni od proroków Rosji: jest niezmiernie daleki od ich idei łagodności, bizantyjskiej czystości chrześcijańskiej i zasad Ewangelii. Ale - rzecz zaskakująca i dziwna - jednocześnie jest razem z nimi. Idąc zupełnie inną, własną drogą, Lenin nie usiłował ochronić

Rosji przed tysiącletnim, bezdennym trzęsawiskiem niewoli, lecz podobnie jak oni uznał, że nic nie zdoła zachwiać niewolą rosyjską. Lenin - tak samo jak oni - jest wytworem naszej niewoli.

Pańszczyźniana dusza duszy rosyjskiej żyje w rosyjskiej pobożności i w rosyjskim ateizmie, w rosyjskiej łagodnej miłości człowieka, w rosyjskim rozmachu, chuligaństwie i śmiałości, w rosyjskim sknerstwie i mieszczaństwie, w rosyjskiej pokornej pracowitości, w rosyjskiej ascetycznej czystości, w rosyjskich oszustwach i tak groźnej dla wroga odwadze rosyjskich żoł-

208

nierzy, w rosyjskim braku godności ludzkiej, w rozpaczliwych buntach rosyjskich buntowników, w fanatyzmie członków różnych sekt, pańszczyźniana dusza tkwi i w rewolucji leninowskiej, i w skwapliwości, z jaką Lenin przejmował rewolucyjne teorie Europy, i w zapamiętaniu Lenina, i w przemocy Lenina, i w triumfach jego państwa.

Na całym świecie takie dusze rodzą się tam, gdzie panuje niewola.

Gdzież jest nadzieja Rosji, jeśli nawet jej wielcy prorocy nie odróżniają wolności od niewoli?

Gdzież jest nadzieja Rosji, jeśli jej geniusz widzi świetlane piękno jej duszy w pokornym niewolnictwie?

Gdzież jest nadzieja Rosji, jeśli jej wielki reformator, Lenin, nie zniszczył, ale umocnił związek rozwoju Rosji z niewolą, z pańszczyzną?

Gdzież jest epoka rosyjskiej wolnej duszy ludzkiej? Kiedyż nadejdzie?

A może jej nie będzie, może nie nadejdzie nigdy?

23

Lenin umarł, ale nie umarł leninizm. Nie wymknęła się z rąk partii władza zdobyta przez Lenina. Towarzysze Lenina, jego pomocnicy, współbojownicy i uczniowie kontynuowali dzieło Lenina.

...w rozszalałej powodzi

zostawił im ten kraj, a oni

zakuwać mieli go w betonie.

Gdy powiesz im, ich nie zatrwoży,

że Lenin umarł, nie zapłaczą,

jeszcze posepniej, jeszcze srożej
prowadzić będą to, co zaczął*

Pozostała dyktatura partii wywalczona przez Lenina, stworzone przez niego wojsko, milicja, Czeka, zwalczanie analfabetyzmu, fakultety robotnicze. Po śmierci Lenina zostało także dwadzieścia osiem tomów jego dzieł. Któryż z jego współtowarzyszy głębiej i pełniej potrafi nie tylko wchłonąć, ale też wyrazić swoją osobowością, sercem, mózgiem prawdziwą, zasadniczą

* Przełożyła Maria Trzcńska.

210

istotę leninizmu? Kto podejmie sztandar Lenina, kto będzie go niósł, kto poprowadzi partię nowego typu od zwycięstwa do zwycięstwa, kto utrwali nowy ład na ziemi?

Błyskotliwy, niepohamowany, wspaniały Trocki? Obdarzony wyjątkową zdolnością syntezy i budowania teorii czarujący Bucharin? Najbliższy interesom chłopskim i robotniczym, doświadczony praktyk w sprawach państwowych Rykow? Wytrawny polityczny polemista i mąż stanu, wykształcony i pewny siebie Kamieniew? Znamca międzynarodowego ruchu robotniczego, cięty polemista międzynarodowej klasy Zinowjew? Każdy z nich miał w swoim charakterze coś z Lenina. Okazało się jednak, że rysy te nie były najważniejsze, podstawowe, że nie one decydowały o istocie i korzeniach rodzącego się nowego ładu.

Niestety wszystkie te cechy charakteru Lenina, które występowały w charakterze genialnego niemal Trockiego, Bucharina, Rykova, Zinowjewa, Kamieniewa, okazały się herezją, zaprowadziły ich na szafot, zgotowały im zgubę.

Nie te cechy Lenina były w tych ludziach dominujące. Mieli w sobie słabość Lenina, buntowniczość, dziwactwa, złudzenia, a nie one decydowały o istocie nowego ładu.

Przecież również Łunaczarski miał w sobie coś z Lenina, słuchającego Appassionaty i zachwycającego się Wojną i pokojem. Ale nie biedny Łunaczarski miał dokonać surowego i ponurego, głównego dzieła partii leninowskiej. Nie Trocki, nie Bucharin, nie Rykow, nie Kamieniew, nie Zinowjew mieli z woli historii wyrazić tajemną istotę osobowości Lenina.

Nienawiść Stalina do przywódców opozycji była nienawiścią do tych cech charakteru Lenina, które pozostawały w sprzecz-

ności z istotą leninizmu.

211

Stalin uśmiercił najbliższych przyjaciół i współtowarzyszy Lenina, bo każdy z nich na swój sposób przeszkadzał w realizowaniu tej zasadniczej sprawy, która stanowiła najskrytszą istotę Lenina.

Walcząc z nimi, skazując ich na śmierć, Stalin niejako walczył także z Leninem i Lenina także skazywał na stracenie. A jednocześnie właśnie Stalin triumfalnie utwierdził Lenina i leninizm, podniósł i rozpostarł nad Rosją sztandar Lenina.

24

Imię Stalina zostało na wieczne czasy wpisane do annałów Rosji.

Po rewolucji Rosja poznała samą siebie, wpatrując się w Stalina.

Dwadzieścia osiem tomów dzieł Lenina - przemówień, referatów, programów, rozpraw ekonomicznych i filozoficznych - nie pomogło Rosji poznać siebie ani swojego losu. Połączenie rewolucji zachodniej z rosyjskim sposobem życia wywołało chaos większy od chaosu na wieży Babel.

Nie tylko marynarze i konnica Budionnego, nie tylko rosyjskie chłopstwo i robotnicy, lecz także sam Lenin nie byli w stanie zrozumieć tego, co się stało. Ryk rewolucyjnej burzy, prawa materializmu dialektycznego, logika Kapitału zmieszały się z grą na harmonii, z czastuszkami, z szumem aparatury do pędzenia samogonu, z mowami prelegentów i agitatorów, nawołujących marynarzy i słuchaczy uniwersytetów robotniczych, by nie ulegali trującej herezji Kautskiego, Cunowa, Hilferdinga.

Ogień, bunt, rozpasanie, jakie ogarnęły Rosję, wydobyły z dna rosyjskiego kotła ładunek krzywd i gniewu, nagromadzony w ciągu stuleci cierpień chłopstwa pańszczyźnianego.

213

Z romantyki rewolucji, z szaleństw Proletkultu, z zielonych samogonowych republik, z oparów pijackiej odwagi i chłopskiego buntu, wściekłości marynarzy na „Ałmazie” wyłaniał się nowy, potężny, niewidziany jeszcze w Rosji policmajster.

Właściwe ludowi namiętne pragnienie posiadania ziemi uprawnej i własnego gospodarstwa, zrozumiane i podchwyczone

przez Lenina, było wrogię państwu, które Lenin założył, było nie do pogodzenia z tym państwem. Dążeniu ludu do tego, by stać się gospodarzem ziemi, bezwzględnie położono kres.

W 1930 roku państwo stworzone przez Lenina zostało wyłącznym właścicielem wszystkich ziem, lasów i wód w Związku Radzieckim, całkowicie odsuwając chłopstwo od posiadania roli.

Chaos, sprzeczności, dezorientacja panowały nie tylko na stacjach węzłowych, przystaniach i dachach pociągów, nie tylko w chłopskich nadziejach i w zapalonych głowach poetów.

Chaos i dezorientacja panowały w dziedzinie rewolucyjnej teorii, w oszałamiająco sprzecznych z praktyką, krystalicznie jasnych, nowych założeniach pierwszego teoretyka partii.

Sztandarowe hasło Lenina brzmiało: „Cała władza w ręce Rad”, ale dalszy bieg wydarzeń dowiódł, że stworzone przez niego Rady nie miały i nie mają do dziś żadnej władzy i stanowią instancję czysto formalną albo tylko administracyjną i wykonawczą.

Cały zapal młodego Lenina jako teoretyka był skierowany na walkę z narodnictwem, eserowcami, na wykazanie, że Rosja nie uniknie kapitalistycznej drogi rozwoju. W roku zaś 1917 Lenin z takim samym zapalem dowodził, że omijając drogę kapitalistyczną, związaną ze swobodami demokratycznymi, Rosja może i powinna iść drogą rewolucji proletariackiej.

214

Czy mógł przypuszczać, że założywszy Międzynarodówkę Komunistyczną i głosząc na drugim kongresie Kominternu hasło rewolucji światowej, wołając „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”, przygotowywał grunt dla nieznanego w dziejach ludzkości rozrostu zasady suwerenności narodowej ?

Ta potęga państwowego nacjonalizmu i ten zaciekły nacjonalizm mas pozbawionych wolności i godności ludzkiej stały się główną dźwignią, termojądrową głowicą nowego ładu, zdecydowały o losie dwudziestego wieku.

Stalin nauczył popaździernikową, porewolucyjną Rosję rozumu, rozdał wszystkim siostrom kolczyki, a tym, którym one się nie należały, wyrwał je razem z uszami lub oderwał z głową.

Partia bolszewicka miała się stać partią państwa narodowego.

Zespolenie partii i państwa ucieleśniło się w postaci Stalina. W Stalinie, w jego charakterze, inteligencji, woli znalazły wyraz charakter, wola, inteligencja państwa.

Wydawało się, że Stalin buduje założone przez Lenina państwo na swój obraz i podobieństwo. Było jednak inaczej - to Stalin był stworzony na podobieństwo państwa, dlatego właśnie on stał się jego gospodarzem.

Czasem jednak, szczególnie pod koniec życia, wydawało mu się, że państwo jest jego sługą.

W Stalinie, w jego osobowości, w tym połączeniu Azjaty z europejskim marksistą znalazł wyraz charakter państwowości radzieckiej. Właśnie państwowości! Lenin to wcielenie rosyjskiego narodowego pierwiastka historycznego. Stalin zaś - wcielenie rosyjskiej radzieckiej państwowości. Państwowość rosyjska, która wywodzi się z Azji i udaje Europę, nie jest historyczna, jest ponadhistoryczna.

215

Zasada jej jest powszechna, niewzruszona, daje się zastosować do wszystkich układów w Rosji w ciągu jej tysiącletnich dziejów. Za sprawą Stalina odziedziczone po Leninie rewolucyjne kategorie dyktatury, terroru, walki ze swobodami burżuazyjnymi, które wydawały się Leninowi kategoriami przejściowymi, zostały przeniesione do podstaw, do fundamentów, do istoty, połączyły się z tradycyjną, narodową, tysiącletnią rosyjską niewolą. Dzięki Stalinowi kategorie te stały się właśnie treścią państwa, a socjaldemokratyczne przeżytki zostały sprowadzone do formy, do dekoracji teatralnej.

W Stalinie skupiły się wszystkie cechy niemającej litości dla ludzi pańszczyźnianej Rosji.

Stalin ze swoim nieprawdopodobnym okrucieństwem, swoim nieprawdopodobnym wiarołomstwem, zakłamaniem, obłudą, pamiętliwością i mściwością, ze swoją brutalnością, swoim poczuciem humoru - to typowy azjatycki kacyk.

Stalin ze swoją znajomością teorii rewolucyjnych, skłonnością do używania terminologii postępowego Zachodu, znajomością literatury i teatru, tak kochanych przez rosyjską demokratyczną inteligencję, ze swoim zamiłowaniem do cytatów z Gogola i Szchedrina, umiejętnością posługiwania się najsubtelniejszymi sposobami konspiracji, swoją amoralnością - to rewo-

lucjonista typu Nieczajewa, głoszący, że cel uświęca środki. Ale Nieczajew zadrżałby z pewnością, gdyby mógł zobaczyć, do jak potwornych rozmiarów doprowadził nieczajewszczyznę Józef Stalin.

W jego wierze w papier urzędowy i policję jako główną siłę życia, w jego skrywanej pasji do mundurów i orderów, w bezprzykładnej pogardzie dla godności ludzkiej, w uwielbieniu dla porządku urzędowego i biurokracji, w jego gotowości zabicia

216
człowieka w imię świętej litery prawa, a zarazem lekceważenia tegoż prawa w imię potwornej samowoli - przejawia się mentalność dygnitarza policji, duch żandarma.

Te właśnie cechy stanowiły charakter Stalina - połączenie tych trzech Stalinów.

I tych właśnie trzech Stalinów stworzyło państwowość stalinowską, tę, dla której prawo jest jedynie narzędziem samowoli, a samowola jest prawem, tę, której tysiącletnie korzenie sięgają pańszczyźnianej przeszłości, kiedy to z chłopów zrobiono niewolników, i jarzma tatarskiego, kiedy to z tych, co panowali nad chłopami, zrobiono sługusów, tę państwowość, która graniczy jednocześnie z wiarołomną, mściwą, obłudną, okrutną Azją i z oświeconą, demokratyczną, kramarską i sprzedajną Europą.

Ów Azjata w miękkich giemzowych butach, który cytuje Szchedrina, żyje, kierując się prawem krwawej zemsty, a jednocześnie posługuje się słownictwem rewolucyjnym, wprowadził pewien porządek do popaździernikowego chaosu, działał zgodnie ze swoim charakterem i odcisnął jego piętno na charakterze swojego państwa. Podstawową zaś cechą państwa, które zbudował, stanowi brak wolności.

W tym państwie ogromne fabryki, sztuczne morza, kanały, elektrownie wodne nie służą człowiekowi, służą państwu bez wolności.

W tym państwie człowiek nie sieje tego, co chce posiać, nie jest właścicielem pola, na którym pracuje, nie jest właścicielem jabłoni i mleka; ziemia rodzi wedle instrukcji państwa bez wolności.

W tym państwie nie tylko małe narody, ale też naród rosyjski nie mają wolności narodowej. Tam, gdzie nie ma wolności

jednostki, nie może być wolności narodu, wolność narodu bowiem to przede wszystkim wolność jednostki.

W tym państwie nie ma społeczeństwa, gdyż społeczeństwo opiera się na nieskrępowanej bliskości i nieskrępowanym antagonizmie ludzi, a w państwie pozbawionym wolności nie do pomyślenia jest nieskrępowana bliskość czy wrogość.

Tysiącletnia zasada rozwoju rosyjskiej oświaty, nauki i potęgi przemysłowej przy wzrastającej niewoli ludzkiej, zasada wyhodowana przez Ruś bojarów, przez Iwana Groźnego, Piotra, Katarzynę, za Stalina odniosła całkowity triumf.

Dziwne to zaiste, że Stalin, który zdławił wolność, nie przestał jednak bać się wolności.

Może ten właśnie strach zmusił go do zgoła nieprawdopodobnej obłudy.

Obłudę Stalina ukazuje wyraźnie obłuda jego państwa.

A przejawiała się ona głównie w zabawie w wolność. Państwo nie opluwało martwej wolności! Najcenniejsza, żywa, radioaktywna treść wolności i demokracji została zamordowana i przekształcona w cielca, w sieczkę słowną. Tak dzikusy, w których ręce dostały się precyzyjne sekstansy i chronometry, używają ich jako ozdób.

Zamordowana wolność stała się ozdobą państwa, ale ozdobą niepozbawioną korzyści. Martwa wolność została głównym aktorem w gigantycznej inscenizacji, w widowisku teatralnym o niebywałym rozmachu. Państwo pozbawione wolności stworzyło fikcję parlamentu, wyborów, związków zawodowych, atrapę społeczeństwa i życia społecznego. W państwie pozbawionym wolności fikcje zarządów kołchozów, zarządów związku pisarzy i związku plastyków, fikcje prezydiów rejonowych i obwodowych komitetów wykonawczych, fikcje egzekutyw i plenów

komitetów rejonowych, komitetów obwodowych i centralnych komitetów narodowych partii komunistycznych rozpatrywały sprawy, podejmowały decyzje, które były zawczasu powzięte gdzie indziej. Nawet prezydium Komitetu Centralnego partii było teatrem.

Ten teatr leżał w charakterze Stalina. Ten teatr odpowiadał charakterowi państwa pozbawionego wolności. Dlatego wła-

śnie państwo potrzebowało Stalina: charakter Stalina stał się charakterem państwa.

Co było rzeczywistością, a nie teatrem? Kto naprawdę rozstrzygał sprawy, a nie tylko udawał, że je rozstrzyga?

Rzeczywistą siłą był Stalin. Stalin decydował. Ale nie mógł, rzecz jasna, decydować osobiście o wszystkich sprawach w państwie - czy dać urlop nauczycielce Siemionowej, czy siać w kołchozie „Zorza” groch, czy też kapustę.

Choć zasada państwa pozbawionego wolności wymagała, żeby tak właśnie odbywało się wszystko i żeby Stalin decydował o wszystkich bez wyjątku sprawach, okazało się to niemożliwe fizycznie i w sprawach drugorzędnych decydowali zaufani Stalina. A decydowali zawsze jednakowo: w duchu Stalina.

Tylko dlatego byli zaufanymi Stalina albo zaufanymi jego zaufanych. Decyzje ich cechował jeden wspólny rys, niezależnie od tego, czy dotyczyły budowy elektrowni wodnej w dolnym biegu Wołgi, czy wysłania na dwumiesięczne kursy dojarki Aniuty Fieokistowej: były zawsze podejmowane w duchu Stalina. Przecież duch Stalina i duch państwa były tożsame.

Zaufani Stalina-Państwa od razu rzucali się w oczy na wszystkich posiedzeniach, zebraniach, masówkach, zjazdach - z nimi nikt nigdy nie dyskutował, przemawiali przecież w imieniu Stalina-Państwa.

219

Fakt, że państwo pozbawione wolności działało zawsze w imieniu wolności i demokracji, że bało się zrobić krok, nie wymieniając jej imienia, świadczył o sile wolności. Stalin niewiele się bał, ale ciągle i do końca życia bał się wolności, zabił wolność i usiłował się przypochlebić wolności, choć była już martwa.

Mylą się bardzo ci, co twierdzą, że wydarzenia czasu kolektywizacji i czasu jeżowszczyzny są bezmyślnymi przejawami niekontrolowanej, nieograniczonej władzy, którą dzierżył człowiek okrutny.

W rzeczywistości krew przelana w trzydziestym i trzydziestym siódmym roku była państwu potrzebna - jak mówił Stalin - i nie była ofiarą daremną. Bez niej państwo by się nie ostało. Wszak tę krew przelała niewola, by pokonać wolność. To dawne sprawy, które się zaczęły już za Lenina.

Wolność została pokonana nie tylko w dziedzinie polityki i działalności społecznej, lecz także w rolnictwie - w prawie do wolnych siewów i żniw, w poezji i filozofii, w rzemiośle szewskim, w zmianie miejsca zamieszkania, w lekturze, w pracy robotników, których normy, warunki bezpieczeństwa pracy i zarobki zostały całkowicie uzależnione od woli państwa. Niewola triumfowała niepodzielnie od Pacyfiku do Morza Czarnego. Była wszędzie i we wszystkim. I wszędzie, i we wszystkim zamordowana została wolność.

To była zwycięska ofensywa, która wymagała przelewu krwi, morza krwi: przecież wolność to życie, i zabijając ją, Stalin zabijał życie.

Charakter Stalina znalazł odbicie w gigantach pięciolatek: urzekały go te huczące piramidy dwudziestego wieku, odpowiedniki wspaniałych pomników i pałaców azjatyckiej staro-

żytności. Owe gigantyczne budowle nie służyły człowiekowi, tak samo jak niepotrzebne były Bogu gigantyczne świątynie i meczety.

Charakter Stalina wyraził się najdobitniej w działalności stworzonych przezeń organów bezpieczeństwa.

Tortury podczas przesłuchań, barbarzyńskie metody oprychników mających niszczyć nie tylko poszczególnych ludzi, lecz także całe warstwy społeczne, metody tajnej policji doskonalone od epoki Maluty Skuratowa do czasów hrabiego Benkendorfa - wszystko to miało odpowiedniki w duszy Stalina, w działalności stworzonego przezeń aparatu ścigania.

Najbardziej jednak złowieszcze były chyba te odpowiedniki, które łączyły w naturze Stalina rosyjski pierwiastek rewolucyjny z potężną i niczym nieskrępowaną, również rosyjską, tajną policją.

To połączenie rewolucji i tajnej policji, które się dokonało w naturze Stalina i odbiło się na stworzonych przezeń organach bezpieczeństwa, miało także swój prawzór w państwie rosyjskim.

Zwiążanie się Diegajewa - narodnika, inteligenta, a później agenta ochrony - z szefem tajnej policji, pułkownikiem Sudiejkinem, nastąpiło w czasach, kiedy Josif Dżugaszwili był jeszcze małym dzieckiem, i stanowi właśnie praobraz owego

złowieszczego połączenia w naturze Stalina.

Sudiejkin, człowiek inteligentny, sceptyk, znawca Rosji rewolucyjnej, doceniający ją w pełni, kpiarz-obszernik nędzy umysłowej cara i carskich ministrów, którym służył, wykorzystał narodnika Diegajewa dla osiągnięcia swoich policyjnych celów. Narodnik Diegajew zaś służył jednocześnie i rewolucji, i policji.

221

Plany Sudiejkina spełzły na niczym. Ten szef policji chciał za pomocą rewolucji, pobłażając rewolucjonistom, a następnie tworząc lipne, fałszywe sprawy, zastraszyć cara, zdobyć władzę i zostać dyktatorem. A następnie, stanąwszy na czele państwa, doszczętnie zlikwidować rewolucję. Ale jego zuchwałe marzenia się nie spełniły - Diegajew zabił Sudiejkina.

Stalin natomiast zwyciężył. W jego zwycięstwie, gdzieś w tajemnicy przed wszystkimi i przed nim samym, tkwiło zwycięstwo marzenia Sudiejkina: zaprząć do wózka dwa konie - rewolucję i tajną policję.

Stalin, twór rewolucji, rozprawił się z rewolucją i rewolucjonistami za pomocą aparatu policyjnego.

Może jego mania prześladowcza była wynikiem tajemnego, ukrytego w podświadomości lęku Sudiejkina przed Diegajewem? Pokorny, poskromiony w Trzecim Oddziale rewolucjonista narodnik budził jednak przerażenie w pułkowniku policji. Najstraszniejsze zaś było to, że obaj, wiarołomni i zaprzyjaźnieni, żyli - nienawidząc się wzajemnie - w gęstym mroku duszy Stalina.

I chyba właśnie tutaj, a przynajmniej gdzieś w pobliżu, można znaleźć wyjaśnienie zagadki, która może najbardziej zdumiewała współczesnych w 1937 roku - po co było, likwidując niewinnych, szczerze oddanych rewolucji ludzi, układać szczegółowe, a kłamliwe od początku do końca scenariusze ich udziału w zmyślonych, nieistniejących spiskach?

Stosując potworne tortury, które trwały przez całe doby, miesiące, a niekiedy i lata, organa bezpieczeństwa zmuszały nieszczęśników - udręczonych księgowych, inżynierów, agronomów - do udziału w swego rodzaju widowiskach teatralnych,

222

do odgrywania roli złoczyńców, agentów obcego wywiadu,

terrorystów, szkodników.

Po co było to wszystko? Miliony ludzi zadawały sobie miliony razy to pytanie.

Opracowując swoje scenariusze, Sudiejkin miał na celu je dno - oszukać cara. Ale Stalin nie musiał cara oszukiwać - Stalin sam był carem.

Tak, tak, a jednak za pomocą swoich scenariuszy Stalin dążył do oszukania cara, który - niewidoczny - żył mimo woli Stalina w tajemnym mroku jego duszy. Niewidoczny monarcha nadal żył wszędzie, gdzie - jak się zdawało - triumfuje niewola. Do końca swoich dni tylko jego potwornie bał się Stalin.

Z wolnością, w której imię rozpoczęła się rewolucja rosyjska w lutym 1917 roku, Stalin do końca swoich dni nie zdołał się rozprawić krwawą przemocą.

I tkwiący w duszy Stalina Azjata usiłował oszukać wolność, szukał wybiegów, straciwszy nadzieję, że dobije ją ostatecznie.

25

Po śmierci Stalina dzieło Stalina nie umarło. Tak jak w swoim czasie nie umarło dzieło Lenina.

Żyje zbudowane przez Stalina państwo pozbawione wolności. Nie wymknęła się z rąk partii stworzona przez Stalina potęga przemysłu, sił zbrojnych, organów ścigania. Niewola po dawnemu triumfuje niezmiennie od morza do morza. Prawo wszechobecnego teatru nadal obowiązuje, wciąż działa ten sam system wyborów, ciągle tak samo pozostają skute niewolnictwem robotnicze związki zawodowe, ciągle tak samo bezgranicznie zniewoleni chłopci nie mają dowodów osobistych, ciągle tak samo, z równym talentem, pracuje, jazgocze i skrzeczy w antyszambrach inteligencja wielkiego kraju. Trwa nadal ten sam system rządzenia mocarstwem za pomocą naciskania guzików, nieograniczona pozostaje władza dyspozytora.

Ale, oczywiście, wiele rzeczy musiało się zmienić, nie mogło się nie zmienić.

Państwo pozbawione wolności weszło w swój trzeci etap.

Państwo to założył Lenin, zbudował je Stalin. I oto nadszedł trzeci etap - zbudowane państwo niewoli zostało oddane do użytku, jak mówią budowniczowie.

224

Wiele rzeczy nieodzownych w okresie budowy stało się już

niepotrzebnych. Minęła pora burzenia dawnych ruder na placach budowy, niszczenia, przesiedlania, wysiedlania ludzi ze zrujnowanych willi, domków, chat.

Do wieżowca wprowadzili się nowi lokatorzy. Nie brak w nim oczywiście usterek, ale nie trzeba już zawsze używać niszczycielskich sposobów wielkiego kierownika robót, starego gospodarza.

Niewola - fundament wieżowca - pozostała po dawnemu nienaruszona.

Co będzie dalej? Czy rzeczywiście ten fundament jest tak niewzruszony?

Czy Hegel ma rację - czy wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne? Czy rzeczywiste jest to, co nieludzkie? Czy jest rozumne?

Siła rewolucji ludowej, rozpoczętej w lutym 1917 roku, była tak wielka, że nawet państwo dyktatorskie nie zdołało jej zmiążyć. I przebywając dla własnych celów swoją straszną i okrutną drogę rozwoju i gromadzenia dóbr, w swoim łonie bezwiednie ukrywało wolność.

Wolność pozostawała w głębokim mroku i głębokiej tajemnicy. Na powierzchni zaś huczała wzburzona, widoczna już dla wszystkich rzeka, która zmiatała wszystko na swojej drodze. Nowe państwo narodowe, właściciel wszystkich niezliczonych skarbów: kombinatów, fabryk, reaktorów jądrowych, wszystkich pól, jedyny władca każdego żywego oddechu - triumfowało. Rewolucja - jak się zdawało - została dokonana dla niego, dla jego tysiącletniej władzy i triumfu. Ale władca połowy świata był nie tylko grabarzem wolności.

225

Wolność żyła wbrew geniuszowi Lenina, który w natchnieniu stworzył nowy świat. Wolność żyła dlatego, że ludzie pozostawali nadal ludźmi.

Człowiek, który dokonał rewolucji w 1917 roku, człowiek, który stworzył na rozkaz nowego państwa wieżowce, fabryki i reaktory jądrowe, nie ma innego wyjścia oprócz wolności. Tworząc bowiem nowy świat, człowiek pozostał człowiekiem. Wszystko to czasem wyraźnie, a czasem mgliście rozumiał i czuł Iwan Grigorjewicz.

Nawet najwyższe wieżowce i najpotężniejsze działa, nawet

niczym nieograniczona władza państwowa i najpotężniejsze mocarstwa - są tylko dymem i mgłą, które znikną. Pozostaje, rozwija się i żyje jedynie prawdziwa siła, a siłą tą jest tylko wolność. Życ - to być wolnym. Nie wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne. Wszystko, co nieludzkie, jest bezsensowne i nie-użyteczne.

I Iwan Grigorjewicz już się nie dziwił, że słowo „wolność” było na jego wargach, kiedy jako student odchodził na Syberię, że słowo to żyje i nie opuszcza go także teraz.

26

Był sam w pokoju, ale snuł myśli tak, jakby rozmawiał z Anną Siergiejewną.

...Wiesz, w najgorszych czasach wyobrażałem sobie ramiona kobiece, myślałem o tym, jakie są dobre, o tym, że w tych ramionach znajdę zapomnienie, nie będę wspominał tego, co przeżyłem, tak jakby tego wcale nie było. A okazało się, że właśnie tobie muszę opowiedzieć o tym, co było najcięższe, ty także przez całą noc o tym mówiłaś. Okazuje się, że szczęściem jest podzielić się z tobą ciężarem, którym z nikim innym podzielić się nie mogę. Kiedy wrócisz ze szpitala, opowiem ci moją najcięższą godzinę. Była to pewna rozmowa w celi o świcie, po przesłuchaniu. Miałem sąsiada, już go nie ma na świecie, wtedy umarł, nazywał się Aleksy Samojłowicz. Myślę, że był to człowiek najmądrzejszy ze wszystkich, jakich w życiu spotkałem. Ale straszna była ta jego inteligencja. Nie zła, zła nie jest przecież straszna. Inteligencja jego nie była zła, była obojętna, on kpił sobie z wiary. Mnie Aleksy Samojłowicz przerażał, ale - przede wszystkim - pociągał, po prostu wciągał, nie mogłem dać sobie z nim rady. A moja wiara w wolność nie brała go wcale.

227

Życie źle mu się ułożyło. Zresztą życie jak życie, nic szczególnego, siedział z artykułu pięćdziesiątego ósmego - punkt dziesiąty, to był nasz najzwyklejszy artykuł.

A mózg miał potężny. Myśl jego porywała jak fala. Drżałem nawet, słuchając go, ziemia tak drży pod ciosami fal oceanu. Wróciłem do celi po przesłuchaniu. Długa jest lista różnych środków przemocy: płonące stosy, więzienia, niszczycielska technika - wielopiętrowe więzienne fortece, obozy wielkości

miast obwodowych. Kara śmierci zaczynała się od kija rozbijającego czaszkę, od konopnej pętli. A dzisiaj kat naciska guzik i uśmierca sto, tysiąc, dziesięć tysięcy skazańców. Nie musi wymachiwać toporem. Nasz wiek jest wiekiem najwyższej przemocy państwa nad człowiekiem. A oto, na czym polega siła ludzi, w czym pokładają nadzieję. Dwudziesty wiek właśnie zachwiał heglowską zasadą światowego procesu historycznego: „Wszystko, co rzeczywiste, jest rozumne”, zachwiał zasadą, którą wśród burzliwych wieloletnich dyskusji przyswoili sobie myśliciele rosyjscy zeszłego stulecia. I właśnie teraz, obalając prawo Hegla, w epoce triumfu potęgi państwa nad wolnością człowieka myśliciele rosyjscy w obozowych waciakach wypracowują wyższą zasadę historii świata: „Wszystko, co nieludzkie, jest bezsensowne i daremne”.

Tak, tak, tak, w okresie całkowitego triumfu tego, co nieludzkie, stało się oczywiste, że wszystko, co stworzyła przemoc, jest bezsensowne i daremne, że wszystko to nie ma przyszłości i minie bez śladu.

Wierzę w to, z tą wiarą wróciłem do celi. A sąsiad mówił mi zwykle:

- Po co walczyć o wolność? To dawniej uchodziło za prawo i sens rozwoju, a teraz jest wyraźne: rozwoju historycznego

228

w ogóle nie ma, historia to proces molekularny, człowiek jest zawsze taki sam, nic nie można z nim zrobić, nie ma żadnego rozwoju. A prawo jest proste - to prawo zachowania przemocy. Równie proste jak prawo zachowania energii. Przemoc jest wieczna, cokolwiek się robi, by ją pokonać, przemoc nie znika, nie maleje, przeobraża się tylko. Raz ma postać niewolnictwa, raz najazdu mongolskiego. Raz przenosi się z jednego kontynentu na drugi, raz przybiera charakter klasowy, raz z klasowej staje się rasowa, raz ze sfery materialnej przechodzi do średnio-wiecznej religijności, raz spada na ludzi kolorowych, raz na pisarzy i malarzy, ale ogólnie rzecz biorąc, suma przemocy na ziemi jest zawsze ta sama, a chaos wynikły z jej przeobrażeń myśliciele biorą za ewolucję i usiłują dociec, jakie rządzą nim prawa. Ale chaos nie ma ani praw, ani rozwoju, ani sensu, ani celu. Gogol, geniusz Rosji, opiewał lotną trojkę i z jej pędu usiłował przewidzieć, jaka przyszłość czeka Rosję. Nie do tej

trojki jednak, o której mówił, należała przyszłość. Oto owa trojka: rosyjska dola, anonimowa trójka, tak zwane „osoboje sowieszczanije”. Trójka, która skazywała na rozstrzelanie, układała listy chłopów wyznaczonych do rozkułaczenia, wyrzucała młodych ludzi z uniwersytetu, nie dawała kartek na chleb starej kobiecie z „byłych”.

I ze swojej przyczyny Aleksy Samojłowicz groził Gogolowi palcem:

- Pomylił się pan, Nikołaju Wasiljewiczu, nie zrozumiał, nie przyjrzał się naszej rosyjskiej lotnej trojce. Nie pęd trojki jest historią ludzi, ale chaos, wieczyste przechodzenie od jednej formy przemocy do drugiej. Pędzi lotna trojka, a wszystko zamarło w bezruchu i - co najważniejsze - w bezruchu pozostaje człowiek, jego los. Przemoc jest wieczna, cokolwiek się robi, aby ją unicestwić. Ale trojka pędzi i nic jej nie obchodzi

229

rosyjska niedola. I tej niedoli nic nie obchodzi, czy trojka pędzi, czy zamarła w bezruchu.

I okazuje się, że to nie tamta trojka, ale ta, co gdzieś tutaj podpisuje najwyższy wymiar kary, trójka...

A ja leżę na przyczynie półżywy i tylko to jedno jeszcze we mnie żyje - moja wiara: historia ludzkości jest historią wolności, przejściem od mniejszej wolności do większej, a samo życie jest wolnością. Ta wiara daje mi siłę, chwytam się bezcennej, ukrytej wśród więziennych szmat, cudownej i świetlanej myśli: „Wszystko, co nieludzkie, jest bezsensowne i daremne”.

A Aleksy Samojłowicz słucha mnie półżywego i mówi:

- To tylko pocieszające oszustwo, przecież historia życia jest historią niepokonanej przemocy, która jest wieczna i niezniszczalna, przemoc się przeobraża, ale nie znika i nie maleje.

Zresztą słowo „historia” wymyślili ludzie, historii nie ma, historia to tłuczenie wody w mózdzierzu, człowiek się nie rozwija od istoty niższej do wyższej, człowiek jest nieruchomy jak bryła granitu - jego dobroć, inteligencja, wolność, to, co ludzkie, w człowieku nie rośnie. Jakaż może być historia człowieka, jeśli jego dobroć jest niezmienna?

I wiesz, nagle poczułem, że już nic nie może być cięższe od tych minut. Leżę na przyczynie i - wielki Boże! - jak to jest, że właśnie od mądrego człowieka przyszła do mnie ta rozpacz nie do zniesienia, istne tortury. Z trudem oddycham. Pragnienie

mam jedno - nie widzieć, nie słyszeć, nie oddychać. Umrzeć. Ulga przyszła jednak zupełnie skądinąd: powlekli mnie znów na przesłuchanie, nie dali odetchnąć. I zrobiło mi się lżej. I wierzę w nadejście wolności. Do diabła z trojką, która pędzi, dzwoni i podpisuje wyroki. Wolność połączy się z Rosją! Nie słyszysz mnie! Kiedy wrócisz do mnie ze szpitala?

230

Pewnego zimowego dnia Iwan Grigorjewicz odprowadził Annę Siergiejewną na cmentarz. Nie udało mu się podzielić z nią wszystkim, co sobie przypomniał, co przemyślał i zapisał podczas miesięcy jej choroby.

Odwiózł rzeczy zmarłej na wieś, spędził dzień z Aloszą i powrócił do pracy w spółdzielni.

27

Latem Iwan Grigorjewicz pojechał nad morze do miasta, w którym pod zieloną górą stał dom jego ojca.

Pociąg jechał brzegiem morza. Na krótkim postoju Iwan Grigorjewicz wysiadł, popatrzył na zieloną i czarną, ruchliwą, pachnącą słonym chłodem wodę.

Morze i wiatr były także wówczas, kiedy śledczy wzywał go na nocne przesłuchania, i wówczas, kiedy kopano grób dla zmarłego na etapie więzienia, i wówczas, kiedy obozowe psy szczekały za oknami baraku i śnieg skrzypiał pod nogami konwoju.

Morze jest wieczne i ta jego wieczna wolność wydawała się Iwanowi Grigorjewiczowi bliska obojętności. Morze było obojętne na jego cierpienia, kiedy żył za kręgiem polarnym; ta hucząca i falująca wolność pozostanie równie obojętna na jego śmierć. Iwan Grigorjewicz pomyślał: „Nie, to nie wolność, to astronomiczna przestrzeń, która zesłała na ziemię, to fragment ruchliwej i obojętnej wieczności”.

Morze nie jest wolnością, jest jej obrazem i symbolem... Jakże piękna jest wolność, jeśli samo jej przypomnienie, widok tego, co jest do niej podobne, tak uszczęśliwia człowieka.

Po nocy spędzonej na dworcu Iwan Grigorjewicz wyruszył wczesnym rankiem w stronę domu. Na bezchmurnym niebie

232

wschodziło jesienne słońce, które nie różniło się wcale od wiosennego.

Iwan Grigorjewicz szedł wśród bezludnej i sennej ciszy.

Ogarnęło go wzburzenie, zdawało mu się, że tym razem nie wytrzyma jego serce, które tyle już wytrzymało. Świat stał się cudownie nieruchomy, miła świątynia jego dzieciństwa była wieczna i niezmienna. Stapał niegdyś po tych chłodnych kamieniach, jego dziecięce oczy wpatrywały się w te tknięte jesienną czerwoną rdzą obłe góry. Słuchał szmeru strumienia biegnącego do morza wśród miejskich odpadków - skórek arbuza i ogryzionych kolb kukurydzy.

Ulicą w stronę bazaru szedł z koszem kasztanów stary Abchaz w czarnej satynowej bluzie przepasanej rzemykiem. Może u tego starca, zastygłego i niezmiennego w swojej siwiźnie, Iwan Grigorjewicz kupował niegdyś w dzieciństwie kasztany i figi? W chłodnym i ciepłym powietrzu unosił się zapach morza i górskiego nieba. I przesycony czosnkiem swąd z kuchni, i aromat róż - takie jest na Południu poranne powietrze. Stały tam te same domki z zamkniętymi okiennicami. Te same, co czterdzieści lat temu dzieci, które nie wydorosłały, i ci sami starcy, którzy nie zeszli do grobu, spali za tymi zamkniętymi okiennicami.

Iwan Grigorjewicz wyszedł na szosę i ruszył pod górę. Strumień szemrał. A on pamiętał ten głos.

Nie widział nigdy swojego życia w całości i oto teraz je nagle zobaczył.

A zobaczywszy, nie poczuł gniewnego żalu do ludzi.

Wszyscy - i ci, co prowadzili go do gabinetu śledczego, popychając z tyłu kolbą, i ci, co nie dawali mu spać na przesłuchaniach, i ci, co nikczemnie go szkalowali na zebraniach, i ci,
233

co się go wyrzekali, i ci, co kradli mu chleb obozowy, i ci, co go bili - wszyscy w swojej słabości, brutalności, złościwości czynili zło nie dlatego, że chcieli je czynić.

Ludzie zdradzali, szkalowali, kłamali, by przeżyć; postępując inaczej, musieliby zginąć. Byli jednak ludźmi. Czyż chcieli, by - utraciwszy miłość - szedł samotny i stary do swojego opuszczonego domu?

Ludzie nikomu zła nie życzyli, ale przez całe życie czynili zło innym.

I mimo to pozostawali ludźmi. I - dziwna, cudowna rzecz: świadomie czy bezwiednie - nie dawali umrzeć wolności, na-

wet najgorsi chronili ją w swoich strasznych, okaleczonych, a jednak ludzkich sercach.

Iwan Grigorjewicz nic nie osiągnął w życiu, nie zostawił po sobie książek, obrazów, odkryć. Nie stworzył szkoły, partii, nie miał uczniów.

Dlaczego tak ciężkie życie przypadło mu w udziale? Niczego nie głosił, nie nauczał, pozostawał tym, kim był od urodzenia - człowiekiem.

Nagle wyłoniło się zbocze góry, zza przełęczy ukazały się wierzchołki dębów. W dzieciństwie chadzał tam w leśnym półmroku, oglądał ślady minionego bezpowrotnie życia Czerkiesów - zdziczałe drzewa owocowe, resztki ogrodzeń wokół domków.

Może dom rodzinny stoi ciągle taki sam, nie zmienił się, jak nie zmieniły się ulice i strumień.

Oto jeszcze jeden zakręt drogi. Przez mgnienie oka wędrowiec miał wrażenie, że ziemię zalało nieprawdopodobnie jaskrawe, niewidziane nigdy przedtem światło. Jeszcze kilka kroków i w tym świetle zobaczy dom, i matka podejdzie do

234

niego, swojego marnotrawnego syna, on przed nią uklęknie, a ona położy swoje młode, piękne dłonie na łysiejącej, siwej głowie syna.

Zobaczył cierniste zarośla i chmiel. Nie było jednak ani domu, ani studni - tylko kilka kamieni białało w zakurzonej, wypalanej słońcem trawie.

A on stał tam - siwy, zgarbiony, a mimo to ciągle ten sam, niezmienny.

1955-1963

II wojna światowa, front wschodni. Moskwa, Saratów, Kazań, Kujbyszew. Stalingrad.

Starcie dwóch totalitaryzmów. I losy ludzi - członków jednej rodziny, którzy próbują przetrwać w okopach, gettach, obozach i łagrach, w rosyjskich miastach i wsiach.

Colette opowiada o erotyzmie. W najróżniejszych jego odmianach. Pisze o ludziach, których znała. Duchowych hermafrodytach, biseksualistach, homoseksualistach, lesbijkach. O ich miłosnych fascynacjach. O smutku. I o pragnieniu czystości.

Dwa opowiadania. Malarz i kompozytor. Dopóki tylko mówią o tym, co tworzą, oczekuje się arcydzieła. Gdy wreszcie można je poznać, nie da się go zrozumieć. Wizja i rzeczywistość okazują się nieprzystawalne. Artysta jawi się jako niedościgniony geniusz lub żaloszny szaleniec. Albo i jedno, i drugie.

Chiny, lata czterdzieste ubiegłego wieku. Świat, w którym konwencje wyznaczają każdy gest, o losie człowieka decyduje tradycja, a uczucia podporządkowane są zależnościom ekonomicznym.

Siedem opowiadań. O miłości, potrzebie swobody, desperackiej chęci przetrwania. O sytuacjach bez wyjścia.

Druga połowa XX wieku, kraj nieokreślony. Rządy sprawują ludzie pozbawieni zasad. Liczy się dla nich tylko władza.

Ktoś morduje sędziów i prokuratorów. Inspektor Rogas podejrzewa, że motywem jest pragnienie zemsty. Rusza tropem mężczyzny, który mógł być ofiarą pomyłki sądowej. Do śledztwa wkrada się polityka. Inspektor zostaje wciągnięty w grę, w której prawda i sprawiedliwość nie mają już żadnego znaczenia.

Parodia kryminału. Parodia polityki.

Dino i Cecylia. Trzydziestopięcioletni kiepski malarz, który właśnie zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie ma talentu, i pozbawiona uczuć, zamknięta w sobie siedemnastolatka. Dino pograża się w nudzie i obojętności. Cecylię interesuje tylko seks. Dino rozpaczliwie stara się nawiązać kontakt z rzeczywistością. Ma nadzieję, że uda mu się to dzięki Cecylii. Ale mechaniczny erotyzm tylko potęguje poczucie braku więzi. Nuda przybiera postać niszczącej obsesji.

Redaktor serii: Karolina Iwaszkiewicz

Wszystko płynie

Przekład: Wiera Bieńkowska

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Małgorzata Denys, Katarzyna Pawłowska

Przedmowa

Przekład: Małgorzata Glasenapp

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Katarzyna Pawłowska

Redakcja techniczna: Anna Hegman

Projekt i logo serii: Sylwia Grządźka i Jacek Szewczyk

Opracowanie graficzne okładki i stron tytułowych: Jacek Szewczyk
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Sipa / East News
Fotografia autora: © Fedor Guber
Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl
Druk i oprawa: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
ISBN 978-83-7414-813-9